

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Poseł Horala buduje drugą Japonię • Chwin: Nawet ateista jest katolikiem • Lis: Miłość w ukryciu traci smak • Rusinek ogląda dziecko na polowaniu • Jak z chatbota zrobić patriotę



WYSOKIE
OBCASY

**Sąd oddał
dziecko ojcu**
– sprawcy przemocy



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Umarła królowa,
niech żyje król
KAROL III

- Przewodnik po koronacji
- Jak monarchowie pomagają demokracji

Księżę Karol z matką królową Elżbietą w dniu jego inwestytury na księcia Walii, 1 lipca 1969 r.

FOT. TOPFOTO / AVALON/BE&W, POKOLOROWANE: MARIUSZ ROSA

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Przed premierą
Sekret śmierci Stanisława Pyjasa. Nowa książka Łazarewicza



Kobiety w AK
Zamach na dowódcę SS w Warszawie Franza Kutscherę wymyśliła „Hanka”

**Czy życzyłeś śmierci
myślącym inaczej?**
19 proc. respondentów miało taką myśl ▶ 8

Bartosz T.
Wielński



Drugiej Norymbergi raczej nie będzie

Jak będzie wyglądało zakończenie wojny w Ukrainie? Ukraińcy, zażarcie się broniąc i przechodząc do kontrataku, wiele razy zaskoczyli świat, czy zaskoczą i teraz? Wojny – ta też – są nieprzewidywalne...

Nie przesadzę jednak, jeśli napiszę, że koniec tego konfliktu będzie wyglądał zgoła inaczej niż zakończenie drugiej wojny światowej w Europie, 78. rocznicę będziemy obchodzić w niedzielę. Nie, Szojgu i Gierasimow nie zostaną przewiezieni pod strażą do Kijowa, by podpisać bezwarunkową kapitulację. Rosja nie zostanie złamana, ukraińscy żołnierze nie strącą z wieży kremlowskiej Baszty Spasskiej czerwonej gwiazdy. Nie będzie upadku putinowskiego reżimu, podziału Rosji na strefy okupacyjne. Ukraina odniesie sukces, jeśli uda się jej odzyskać ziemie, które Rosja jej wydarła po 22 lutego 2022 r. Odbicie Krymu nie wydaje się bardzo prawdopodobne, to, że ukraińskie Abramsy i leopardy wjadą na rosyjskie terytorium, z dzisiejszego punktu widzenia jest niemożliwe.

Obawiam się, że wspólnota międzynarodowa będzie miała

spore trudności z rozliczeniem rosyjskich polityków, wojskowych, propagandystów z popełnionych w Ukrainie zbrodni przeciwko ludzkości. Republika Południowej Afryki, jedno z najważniejszych państw świata, rozważała wystąpienie z traktatu o Międzynarodowym Trybunale Karnym, bo w sierpniu na szczycie

grupy BRICS miał przyjechać Putin, za którym trybunał wystawił list gończy. A RPA nie tylko nie chce Putina aresztować, ale nawet potępić.

Dlatego drugiej Norymbergi raczej nie będzie. Ukraina będzie wymierzać sprawiedliwość tak, jak niegdyś robił to Izrael, uprowadzając głównego logistykę Holocaustu Adolfa Eichmanna czy zabijając terrorystów z Czarnego Września.

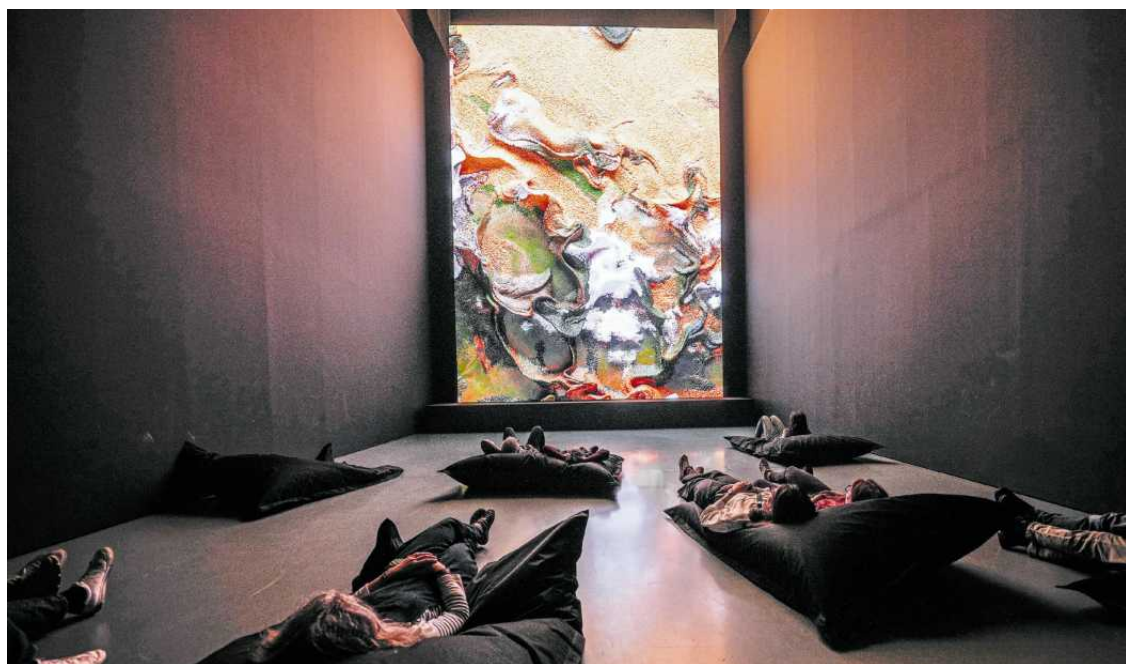
Rosja, napadając na Ukrainę, postąpiła podobnie jak 80 lat wcześniej hitlerowski Niemcy. Złamała prawo międzynarodowe, konwencje dotyczące prowadzenia wojny. Nieustannie bombarduje cywilów, morduje jeńców i ukraińskich działaczy. Rabuje, gwałci, porwya dzieci, by je rusyfikować. Inwazja na Ukrainę miała na celu nie zainstalowanie marionetkowego rządu, tylko likwidację ukraińskiego narodu razem z jego językiem, kulturą, elitami. Tak jakby kamaryla Putina korzystała z założeń Hitlera i jego wizji Lebensraumu.

Wojna prędzej czy później się skończy, ale Rosja pozostanie. Upokorzona, pogrążająca się w izolacji, coraz bardziej totalitarna, żądająca odwetu. Przez ostatnie trzy dekady Zachód (w tym każdy polski rząd) naiwnie próbował Rosję okiełznać i przyciągnąć, teraz będzie musiał ją odstraszać i powstrzymać. ●

Andrzej rysuje



Sztuka z kosmosu Halucynacje maszyn



Widzowie Kunstpalast w Düsseldorfie kontemplują oniryczną wystawę „Machine Hallucinations”. 38-letni turecki artysta Refik Anadol za pomocą sztucznej inteligencji przetworzył na dzieła sztuki dwa miliony obrazów zarejestrowanych m.in. przez teleskopy kosmiczne Hubble’a. 2 maja 2023 r.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Wokulski był stalkerem?



Jeśli jest dyskusja,
jest sens – polonistki
o lekturach na maturze

– czytaj
► Wyborcza.pl

Rockowa emerytura Aerosmith mówią: „Nadszedł czas”

Po 50 latach i graniu przed setką milionów fanów nadszedł czas na ostatni raz – napisali 1 maja członkowie legendarnej kapeli Aerosmith. Choć dodali: – Nie żegnamy się, mówimy po prostu: na razie.

Tak zapowiedzieli ostatnią trasę koncertową. „Peace Out” zacznie się we wrześniu i będzie składała się z 40 koncertów. Zespół zagra jedynie w Ameryce Północnej i Kanadzie, m.in. w Nowym Jorku, Filadelfii i Montrealu.

Cytowany przez „Independent” gitarzysta Joe Perry mówi, że dla członków Aerosmith „nadszedł czas” na odpoczynek. A to dlatego, że każdy z nich jest już po siedemdziesiątce. Najstarszy, frontman Steven Tyler, ma 75 lat.

– Nigdy nie wiadomo, jak długo będziemy w dobrej formie. Od dawna nie pojechaliliśmy w trasę. Graliśmy na stałe w Las Vegas, co było wspaniałe, ale tęskniliśmy za biciem w drodze – mówi Perry. Zagrają najsłynniejsze kawałki, m.in.



nagrane wspólnie z Run DMC „Walk this Way”, „Livin’ on the Edge”, „Crazy” i wiele innych, które uczyniły z Aerosmith jeden z najważniejszych zespołów w historii muzyki rockowej. W latach 90., w erze telewizji MTV, każdy ich teledysk stał się wydarzeniem. Występy w klipach Aerosmith zrobiły gwiazdę np. z Alicii Silverstone czy córki Stevena Tylera, Liv Tyler.

Emerytura nie jest powszechna w tej branży. Stonesi wciąż występują, 73-letni Bruce Springsteen też. I Abba gra publicznie swoje największe przeboje. Choć jako hologram. ● **Marta Górna**

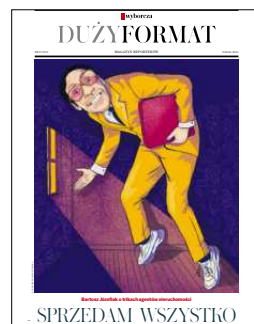
W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Obiecuj złote góry! Czego nauczyłem się od agentów nieruchomości

- Jak złapać w sidła sprzedających mieszkania?
- O czym kupcom nigdy nie mówić?
- Jak wcisnąć klientowi najgorszy lokal i żeby uwierzył, że trafił do domu marzeń?
- Jak mam kombinować, by co miesiąc zarobić 60 tysięcy złotych na rękę?

Reportaż Bartosza Józefiaka, który był na szkoleniach dla sprzedawców nieruchomości



Paweł Smoleński (1959-2023)

Pawła nie trzeba się bać

Miał intuicję człowieczeństwa jak Don Kichot i był tak bezkompromisowy jak Cyrano de Bergerac

Jarosław Mikołajewski

Czytelników, którzy czytają wiadomość o śmierci Pawła Smoleńskiego, dotyka przede wszystkim myśl, że umarł reporter, autor artykułów i książek o Ukrainie, Izraelu, Afryce, Polsce. Z mojej perspektywy odszedł przyjaciel, z którym związało mnie wieloletnie siedzenie w redakcji przy sąsiednim biurku i później – wielotygodniowe podróże po Sycylii i pisanie o wyspie. Teraz doszło do tego tych kilka odwiedzin w szpitalu, które pokazały mi jeszcze innego Pawła.

Tym, co uderzyło mnie na początku naszej znajomości, jeszcze zanim stała się przyjaźnią, była trudność ze zrozumieniem, jak to się dzieje, że tak wiele osób boi się go i nie lubi, a tak wiele kocha i uwielbia jego pisarstwo. Im bardziej zbliżaliśmy się, tym lepiej rozumiałem, że sprzecznosc ta wiąże się z odwiecznym stosunkiem, z jakim musi się liczyć ktoś tak przejęty własną intuicją człowieczeństwa jak Don Kichot i tak bezkompromisowy jak Cyrano de Bergerac. Ci, których Paweł uważał za głupców, tchórze czy nikczemników, dowiadywali się tego od niego samego. Ci, których kochał, byli – co z tego, że często niezasłużenie – obdarowywani serdeczną troską, szczodrym podziwem, dowcipem.

Dla tych pierwszych nie był pewnie zabawny. Dla tych drugich – brawurowo i niepoprawnie dowcipny. Macie pewnie w swoim gronie takich, którzy cokolwiek powiedzą, wchodzą swoim słowem w raje rozbawienia i nieoczywistości. Do moich ulubionych użytków językowych należało stosowanie wobec Jezusa Chrystusa przydomka Jozzka Dawidowicz. Bawił mnie nim (przydomkiem, nie Jezusem) niezmiennie. A kiedy, opowiadając coś, wprowadzał anegdotę słynnym: „ty sobie sprawozdania nie zdajesz”,



byłem w niebie gdzieś pomiędzy siódmym a ósmym.

Pewnie, że to, co śmiesz mnie, nie musi śmieszyć i Was, lecz był w naturze i kulturze Pawła zwyczaj tak upartego szukania w ludziach punktu nieretorycznego, niepruderyjnego porozumienia, że z każdym, z kim miał ochotę żyć w porozumieniu, prędzej czy później go wyszukiwał. Lecz jeśli ktoś wykazał się

w jego obecności sztampowym, nieświeżym, represyjnym stosunkiem do innych, rzadko mógł liczyć na przebaczenie. Wzgardę Paweł okazywał nie rzadziej, nie częściej, niż wskazywała na to jej miara.

Jako reporter dostarczał wiedzy, obserwacji i wzruszeń. Kiedy pisaliśmy razem „Czerwony śnieg na Etnie”, książkę o Sycylii, z uroczą wprost brutalnością kontra-

stował moje zachwyty. Choćby wtedy, gdy mówiłem mu o antropologicznie ciekawym pięknie sycylijskiego narodu, co on kwitował niezmiennie: „k...”, co za mordy”. Wiedząc, że nie odbiorę tego jako obiektywnej konstatacji, lecz wymierzony mi osobiście żartobliwy prztyczek.

Przejmował się, bo się wczuwał. Wchodził w los jaśminiarek, które zbierały w nocy kwiaty wystawione na wilgoć i chorobotwórcze ukąszenia kleszczy, w los Palestyńczyków, Ukraińców. Nie wahał się stanąć, jeśli okazywali się słabsi, po stronie tych, z którymi wiązało go mniej.

Cóż ja mam powiedzieć w dniu śmierci przyjaciela, który jest dla mnie człowiekiem, a dla świata

Jeśli ktoś wykazał się w jego obecności sztampowym, nieświeżym, represyjnym stosunkiem do innych, rzadko mógł liczyć na przebaczenie. Za to, jeśli okazywali się słabsi, nie wahał się Paweł stanąć po stronie tych, z którymi wiązało go mniej

ta jeszcze kimś, często autorytetem, źródłem refleksji i wiedzy? Na przemysłane słowa przyjdzie czas. Tymczasem powiem, że chorował i umierał również jak don Kichot i Cyrano. Przyjmując i okazując przebaczenie, wdzięczność, czułość, miłość. Każdemu po uważaniu. Wielkodusznie, rycersko. Choroba, a zwłaszcza jej agresywna szybkość, zaskoczyła Pawła. On ją zaskoczył brakiem trwogi. Którą uznał za nienależną jej i wszystkim, którzy walczyli przemocą z kimś z góry skazanym na wyższą formę zwycięstwa, jaką jest nieuchronna porażka.

W zeszłym roku Paweł Smoleński odebrał w Rzymie włoską Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego. Był szczęśliwy. ●

PAWŁOWI

*naszą ojczyzną jest właśnie ta pora
kiedy afrodyta kryje piersi
w mirtach
i kaleczy stopy o twarde lodygi
kosi wyciągają oleiste struny
i rozsuwają je między drzewami
aż las wydaje się z buków
dźwięków i słońca*

*wiesz
kiedy słucham że to potrwa krótko
po każdej nocy czuję że się
wstydzisz
i bardzo śmiejesz
że nas oszukałeś*

*i myślę że jesteś z tej samiuskiej
gliny
szlachetnie kruchej
wyniośle wzgardliwej
i kochającej co cyrano
don kichot*

*i ta moja suczka
niedościgle piękna
na którą szczekają wszystkie psy
osiedla
bezzadane że nigdy nie będą jak ona*

*byłem u ciebie w te dni
przedostatnie
myśląc że jesteś jak don kichot
cyrano*

Nie odkładajcie rozmów na potem

Gdy wybuchła wojna, mnie, pół-Rosjanke, Paweł zapytał: „Mogę cię uścisnąć, dzielna dziewczyno?”

Wiktoria Bielaszyn

Sklamalałabym, gdybym powiedziała, że bardzo dobrze znałam Pawła, ale nieprawdą byłoby też powiedzenie, że nie miał żadnego wpływu na moje losy i zawodowe wybory. Bo miał, choć myślę, że nawet o tym nie wiedział. Paweł był dla mnie nie tylko dziennikarskim autorytetem, ale także osobą, która jako

jedna z pierwszych we mnie uwierzyła.

W jednej z nielicznych wiadomości, trafiając w moment mego zwątpienia, Paweł napisał: „Jesteś znakomitą reporterką, a takich dzisiaj nie ma. I masz serce po dobrej stronie”. On, legenda reportażu, dobijający sześćdziesiątki, ja niewiele po dwudziestce i kilku dziennikarskich wprawkach. Żałuję, że nigdy nie miałam okazji powiedzieć mu, jak bardzo te słowa mnie zbudowały. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, jak ważne, jeśli nie kluczowe, są takie słowa, wiara i wsparcie ze strony kogoś takiego. Nie tyl-

ko dla dziennikarzy, lecz w każdym zawodzie, w którym na starcie bijesz się ze zwątpieniem i nie wiesz, czy nie porywasz się z motyką na słońce.

Paweł był człowiekiem, który mimo różnicy wieku, życiowych doświadczeń i osiągnięć traktował swoich rozmówców po partnersku. Mój redaktor często żył na „swoje” i „jego” – „a czyje, do cholery, miałyby być, gdy piszesz o tej osobie!” – ale tym razem nie pozwoliłam wykasować tego słówka. Swoich rozmówców – bo oni byli jego. Był ciekaw drugiego człowieka, dostrzegał jego mocne i słabe strony.

Nieraz miałam okazję przekonać się, że mogę liczyć na jego wsparcie i zrozumienie nawet w momentach, kiedy nie zgadzaliśmy się w pełni. A to niezwykle rzadkie. Zawsze będę mu za to wdzięczna. Ciągłe nie mogę uwierzyć, że już nie spotkamy się

On jeden z pierwszych we mnie uwierzył. Dobijał sześćdziesiątki, ja niewiele po dwudziestce

na redakcyjnym korytarzu, a Paweł nie zapyta, widząc, że moje samopoczucie w związku z toczącą się wojną nie jest najlepsze: „Można cię uścisnąć, dzielna dziewczyno?”.

Zawsze odkładaliśmy dłuższą rozmowę „na potem”, na „spokojniejszy moment”. Po raz kolejny boleśnie przekonałam się, że nigdy nie należy tego robić, bo dzisiaj jestem w stanie tylko napisać, jaki Paweł był dla mnie, a nie – sam w sobie.

Ale może to właśnie najlepsze potwierdzenie wszystkich powyższych słów? Paweł, do zobaczenia kiedyś po drugiej stronie. ●

Kto buduje Centralny Port Lotniczy w Baranowie

WSZYSTKO
NAM SIĘ
UDAJE

„Kiedy zakończymy,
będziemy jak Japonia,
Korea Południowa, Francja”.
Jak poseł Horała pomaga Polsce,
Gdyni i kolegom



Koledzy parlamentarzyści mówią o 42-letnim Marcinie Horale, że próbuje się upodobnić do premiera: mówi jak Morawiecki, ubiera się jak Morawiecki i nawet gestykuluje jak on. Do tego ciągnie za sobą pomniejszych pomorskich działaczy PiS i zawsze trzyma linię partii.

– Regularnie spotykamy się na debatach w trójmiejskiej telewizji i na początku te nasze rozmowy były nawet ciekawe: Horała przygotowywał się, słuchał, próbował przekazać coś oryginalnego – ocenia dzisiejszego wiceministra polityki regionalnej oraz pełnomocnika rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego jego konkurent z okręgu gdyńsko-słupskiego, poseł Tadeusz Aziewicz (PO). – Niestety od pewnego czasu przestało mu zależeć. Szybko się zdemoralizował. Jak magnetofon odtwarza PiS-owskie przekazy. Opowiada głupoty z pełną świadomością, że prawda leży gdzie indziej.

ANTYKOMUNISTA
OD PRZEDSZKOLA

Urodził się w Gdańsku w trakcie tzw. karnawału „Solidarności” i już w przedszkolu, za rządów Jaruzelskiego, założył antykomunistyczną organizację o nazwie Partia Wolność.

– Prędko nauczyłem się pisać i czytać, więc wypisywałem kolegom legitymacje członkowskie i na tym polegała cała nasza „banda” – mówi mi.

Ojca nigdy nie poznał. Rodzeństwa nie ma. Wychowywany przez matkę w bloku w Gdyni Kolonii, był znakomitym uczniem, do tego wyróżniającym się muzykantem – ładnie grał na cymbałkach.

– Mama pracowała jako radca prawny, ale nie miała własnej kancelarii, a jedynie etat w państwowym przedsiębiorstwie, więc w domu się przelewało,

choć nie byliśmy też szczególnie biedni. Powiedziałbym: standard lat 90.

– Wychowanie religijne?

– Polska średnia. Nie jakieś szczególnie konfesyjne, ale oczywiście chodziłem i nadal chodzę do kościoła. Nawiązując do znanego powiedzenia śp. Ludwika Dorna: należeliśmy z mamą do tych, którzy jedzą na Wigilię karpia – nie szynkę (*śmiech*).

Za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego ukończył II LO w Gdyni, za rządów SLD-PSL studiował na Uniwersytecie Gdańskim politologię i prawo, oba kierunki ukończył z dyplomami. Pierwszą pracę (na krótko) znalazł z ogłoszenia – w Eurobanku. Drugą, już wieloletnią posadą, był etat specjalisty w Bałtyckim Terminalu Kontenerowym. Pensja na początek: 2350 zł miesięcznie.

Wcześniej – bo jeszcze jako 18-latek – zapisał się do powoli schodzącej ze sceny politycznej Unii Polityki Realnej Janusza Korwin-Mikkego. Działal również w partyjnej młodzieżówce KoLibera (od: konserwatywni liberalowie). Pierwsze młodzieżowe występy polityczne skończyły się porażkami: w 2002 r. bezskutecznie kandydował do gdyńskiej rady miejskiej z komitetu „Naprzód Gdynio!” Lista Prawicowa. Dwa lata później – z podobnym skutkiem – ubiegał się o mandat europosła z ramienia UPR, gdzie doszedł do poziomu zarządu głównego. Europrzegryna uświadomiła mu jednak, że jeśli chce cokolwiek osiągnąć, to raczej nie z Korwinem – ale z braćmi Kaczyńskimi.

– Dość popularne w moim pokoleniu młodzieżowe „ukąszenie korwinizmem” zazwyczaj jest leczone przez kontakt z dorosłą rzeczywistością i zrozumienie, że całości życia gospodarczego i społecznego nie da się zakląć w kilku atrakcyjnych publicystycznie formułach stanowiących „ogólną teorię wszystkiego” – wyznał w maju 2022 Renacie Grochał z „Newsweeka”. – W moim przypadku ważnym czynnikiem leczącym był awans do ścisłych władz UPR. To pozwoliło mi z bliska obserwować działalność Korwin-

-Mikkego i wyżyć się wszelkich złudzeń co do tej postaci.

Razem z Horalą z UPR do PiS przeszli dotychczasowi przewodniczący korwinistów w Trójmieście oraz szef na Pomorzu – Krzysztof Grabowski, który przyznał szczerze: – Wszyscy mieliśmy dość siedzenia na politycznej kanapie.

– Dla Marcina od początku marzeniem była polityka ogólnokrajowa i trzeba mu oddać, że okazał się konsekwentny – stwierdzi po latach na antenie TVN jego współpracownik z Gdyni, miejski radny Zygmunt Zmuda-Trzebiatowski.

DZIEŃ BEZ MAILA OD HORAŁY
STRACONYM

Gładkie przejście do PiS było o tyle łatwe, że miał już u Kaczyńskich kontakty – działał w słynnym Powiernictwie Polskim, samozwańczej reprezentacji pokrzywdzonych majątkowo przez okupację niemiecką i sowiecką, założonej przez koleżankę z Gdyni i z KoLibra – wieloletnią posłankę i senatorkę wpięrow Platfomy, potem PiS – Dorotę Arciszewską-Mielewczuk.

– Takich osób, które krążyły między PiS i PO, było wówczas więcej – mówi mi wiceminister. – To były lata, gdy poważnie rozważano koalicję PO-PiS. O wejściu do jednej czy drugiej partii często decydował przypadek. Mnie bardziej odpowiadało gdyńskie środowisko PiS, zawsze też silny był u mnie wątek sprzeciwu wobec systemu III RP, czyli tego, co nieco później śp. Maciej Rybiński nazwał Polską Kiszczaka i Michnika.

Jako świeży PiS-owski nabytek w 2006 r. został radnym Gdyni (wybrano go z opiewanej w „Balladzie o Janku Wiśniewskim” Chylonii). Ten sukces powtórzył jeszcze dwukrotnie, w 2010 i 2014.

– W tamtych latach PiS był u nas w mniejszości dosłownie kilkuosobowej, za to bardzo głośnej – wspomina Joanna Zielińska, wieloletnia przewod-

PIOTR
GLUCHOWSKI

.....



MONTAŻ: NATALIA MICHALSKA NA PODSTAWIE ZDJĘĆ MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL / STOCK.ADOBE



nicząca gdyńskiego samorządu, działaczka komitetu prezydenta Wojciecha Szczurka. – Ścigali się na liczbę interpelacji, przysyłali je do urzędu mailem piątek czy świątek, czasem o drugiej w nocy. Znaczną część magistratu pracowała nad odpowiedziami dla tych kilku osób. A oni się czepiali wszystkiego: od brudnego żwiru w jakiejś piaskownicy po krytykę rozkładu jazdy miejskiej komunikacji. Horala był aktywny, zawsze obecny na sesjach, wypowiadał się zwykle wielce impulsywnie i bardzo chciał zwrócić uwagę.

Wyjątkową obrotność młodego radnego zapamiętała także Ryszarda Wojciechowska, wcześniej publicystka „Dziennika Bałtyckiego”: – Był zawsze świetnym piarowcem, umiał się sprzedawać. Zasypywał skrzynki mailowe naszych dziennikarzy informacjami na temat swojej działalności w Gdyni. Żartowaliśmy, że dzień bez maila od Horaly jest dla nas dniem straconym.

– Rzeczywiście na początku zaistniał jako pracowity i uparty radny – potwierdza poseł Aziewicz. – Sądziłem, że jak wejdzie do Sejmu, skupi się na merytorycznej pracy, przynajmniej będzie próbował. Niestety, szybko pokazał inną i chyba prawdziwszą twarz.

KOLEŻANKI DAJĄ MŁODE I INTELIGENTNE TŁO

W latach 2000-10 Horala sporo pisał – do korwiniowskiego „Najwyższego Czasu!”, do rydzikowego „Naszego Dziennika”, do wydawanego przez Fundację Republikańską niskonakładowego kwartalnika „Rzeczy Wspólne” i do finansowanego przez związane personalnie z PiS imperium SKOK-ów (to samo, które, upadając, zostawiło na lodzie tysiące szeregowych ciulaczy) portalu Stefczyk.info, gdzie uzasadniał konieczność głośnego upamiętniania kolejnych rocznic powstania warszawskiego. Należy to robić wbrew krytykom „walczącym z polskością, pa-

triotyzmem i tradycją narodową”, ponieważ mit powstania jest „kapitałem kulturowym, który może być żywym i atrakcyjnym magnesem przyciągającym do afirmatywnego przeżywania polskości. Musimy bowiem pamiętać, że alternatywą dla polskiego patrio-

Jest chyba czymś zwyczajnym, że jeśli partia zdobywa władzę w państwie, to się pojawiają w urzędach i na stanowiskach ludzie z tą partią związani

tyzmu romantycznego nie jest patriotyzm realistyczny, tylko wyzucie z polskości i w ogóle z jakiegokolwiek silnej tożsamości”.

W roku 2013 zebrał swoje patriotyczne teksty w książce „Wyprawa do polskości”. Sprzedało się około 300 sztuk.

Dwa lata wcześniej wystartował do Sejmu z gdyńskiej listy PiS – dostał 756 głosów i przepadł. Mimo to w 2014 r. partia wystawiła go w wyborach na pre-

zydenta miasta przeciw niepokonanemu od 1998 r. Szczurkowi.

– Jego kampanii kompletnie nie pamiętam, była raczej nieistotna, w cieniu kampanii prezydenta – wspomina Joanna Zielińska.

Dla naszej opowieści ważne jest, że w trakcie samorządowej batalii 2014 jedną z osób pomagających Horale była nieznaną jeszcze nikomu szeregową członkini PiS w Gdyni – długonoga blondynka, początkująca modelka Izabela Pek. Do jej kampanijnych obowiązków należało m.in. organizowanie na potrzeby konferencji prasowych dobrze wyglądających koleżanek, które dawałyby kandydatowi do miejskiej prezydentury – jak to określił sam Horala w wiadomości wysłanej do Izy – „młode i inteligentne” tło.

Mimo takich starań ambitny radny dostał 12 proc. głosów; urzędujący Szczurek – prawie 80 proc. Sukces przyszedł dopiero rok później: po historycznym zwycięstwie Zjednoczonej Prawicy w 2015 Horala, który nadal pracował jako skromny specjalista w BTK, nareszcie zasiadł w Sejmie. Startując z szóstego miejsca i prowadząc kampanię pod hasłem „Wpuśćmy do polityki świeżą krew”, zebrał w Gdyni i okolicy 10,5 tys. głosów. Z okazji sukcesu „Gazeta Bankowa” zapytała go, czym chciałby się zajmować jako debutant w parlamencie. Wymienił: „przywrócenie dowództwa Marynarki Wojennej do Gdyni” (nie udało się – w mieście funkcjonuje sztab niższej rangi) i „budowę północnej obwodnicy Trójmiasta” (nie ma jej, ale chyba będzie – o czym dalej). Potem zadeklarował, że najchętniej chciałby się zajmować „gospodarką morską, a szczególnie portami, logistyką i transportem...”. To życzenie się spełni.

PREZES, PREZES... I PREZES

Wchodząc do parlamentu, Horala był już od dziesięciu lat mężem (żona Beata, nauczycielka w gdyńskiej podstawówce nr 16), a wkrótce także ojcem trzech córek (Agata, Agnieszka i najmłodsza, trzyletnia dziś Marta). Na własnej stronie internetowej Horala.pl pisze również o hobby: proza George’a R.R. Martina (tego od „Gry o tron”) i jej ekranizacje. Z seriali – „House of Cards” oraz „Homeland” – amerykańskie opowieści o brudnej polityce i świecie służb specjalnych. Ze sportów – koszykówka.

– Gra pan czy tylko kibicuje?
– Kiedyś trochę grałem, teraz głównie to drugie, a i na to brakuje czasu. Umiem wymienić skład drużyn NBA z lat 90., z tymi współczesnymi byłby kłopot.

Poseł lubi także pomagać przyjaciółom – jego koledzy z gdyńskiego klubu radnych PiS (i nie tylko) po roku 2015 zaczęli się pojawiać w licznych instytucjach i spółkach państwowych związanych z „portami, logistyką i transportem”.

Młodszy od Marcina Patryk Felmet, absolwent dziennikarstwa, który zajmował się wcześniej m.in. gastronomią, został pierw jego asystentem parlamentarnym, później przez krótki czas był członkiem rady nadzorczej spółki Energa-Obrót, by po roku zająć stanowisko szefa Przedsiębiorstwa Usług Portowych „Rezerwa” – firmy zajmującej się terenem portu w Gdańsku (odsnieżanie, utrzymanie trawników itd.). Ulokowanie Felmeta w fotelu prezesa było o tyle łatwe, że do rady nadzorczej Rezerwy udało się wcześniej wprowadzić innych działaczy PiS – Romana Dambka, sekretarza gdyńskiego zarządu powiatowego partii i zarazem asystenta gdańskiej europosłanki i szefowej MSZ w pierwszym rządzie PiS Anny Fotygi, oraz Marka Dudzińskiego, partyjnego kolegę Horaly z gdyńskiego klubu radnych, wcześniej lektora i ceremoniarza w parafii Niepokalanego Serca Maryi i członka Ruchu Światło-Życie.

Ten ostatni został również członkiem rady nadzorczej gdyńskiej stoczni wojennej, a po roku 2018 – dyrektorem ds. organizacji, wizerunku i public relations w Enerdze.

Ta państwowa firma, którą wiceprezes Grzegorz Ksepko uroczyście zawierzył w 2017 r. Matce Najświętszej Gromnicznej (od czasu zawierzenia wartość akcji spadła z 10 do 6 zł), jest spółką matką nie tylko wspomnianej Energi-Obrót, ale także kilku innych, między innymi kierowanej przez byłego kandydata PiS na prezydenta Sopotu Piotra Melera firmy Energa-Oświecenie. W niej pierw doradcą zarządu, a potem prezesem po Melerze został drugi (obok Patryka Felmeta) asystent parlamentarny Horaly – Michał Belbot, z wykształcenia historyk i ekonomista poprzednio zatrudniony w grupie SKOK.

Kolejny znajomy posła – Marcin Osowski, wcześniej handlowiec w Philip Morris Polska, który pomagał Horale przy prowadzeniu kampanii prezydenckiej w Gdyni – objął jesienią 2016 r. wiceprezesurę Portu Gdańsk.

W tym samym roku w podległej portowi Rezerwie pojawił się – od razu na kierowniczym stanowisku – inny znajomy: Sławomir Stankuć, który szybko został także prezesem portowej Straży Ochrony. I na nim się zatrzymamy – choć lista znajomych posła w trójkącie Port Morski – Rezerwa – Energa jest o wiele dłuższa. Teraz coś o kłopotach.

WYŚRUBOWANE STANDARDY NIE MAJĄ WIELKIEGO SENSU

Gdański port (m.in. Osowski) zlecał Rezerwie (m.in. Felmet, Stańkuć, Dudziński) coraz więcej robót za coraz wyższe stawki. I wszystko byłoby dobrze, gdyby dział księgowości Straży Ochrony nie odkrył ubytków w kasie – chodziło o „niewłaściwie pobierane” przez Stankucia zaliczki (brakowało przeszło 100 tys. zł). Dwa razy większy brak wykryto w szkatule Rezerwy. W 2020 r. gdańska prokuratura postawi byłemu już prezesowi strażników i zarazem wspólnikowi Felmeta w prywatnej agencji obrotu mieszkaniami – teraz opisywanemu jako Sławomir S. – zarzut przywłaszczenia. Doniesienie złożył... Felmet.

Co to ma wspólnego z Horalą? Wiosną 2016, podczas posiedzenia sejmowej komisji gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, poseł Aziewicz zapytał ministra od spraw morskich Marka Gróbarczyka: dlaczego Dudziński (ten z Ruchu Światło-Życie), nie mając uprawnień do zasiadania w radach nadzorczych przedsiębiorstw, siedzi w radzie Rezerwy? Dlaczego to samo robi podobnie pozbawiony kompetencji Dambek (ten od Anny Fotygi)? Dlaczego Belbot i inni?

– Minister musiał mi przyznać rację i kazał tych ludzi odwołać – wspomina Aziewicz. – To były początki rządów PiS, nie byli jeszcze wówczas tacy rozpasani...

Posady w radach nadzorczych stracili za jednym zamachem nie tylko Belbot, Dudziński i Dambek, lecz także dwaj inni młodzi ludzie związani z partią rządzącą: Jacek Milewski, syn radnego PiS z Gdańska, i Paweł Żytkiewicz, znajomy Horaly, szef gdyńskiej młodzieżówki partyjnej, lat 27.

Teraz już wkracza sam poseł. Dwa tygodnie po kadrowej decyzji Gróbarczyka złożył do laski marszałkowskiej projekt „zmian w ustawie o działach administracji rządowej i w niektórych innych ustawach”. Jedną z tych nowelizacji (co wykrył poseł opozycji) znosiła obowiązek posiadania przez członków rad nadzorczych pewnych spółek – między innymi portowych – wymaganych dotychczas uprawnień.

Horalą tłumaczył, że wyśrubowane standardy w przypadku firm, jak Rezerwa, która zajmuje się w praktyce „głównie koszeniem trawy”, nie mają wielkiego sensu. – Stawianie zawyżonych wymogów formalnych uważam za niezasadny relikt – argumentował na komisji administracji i spraw wewnętrznych.

Sejm nowelizację przyjął, a gdy trafiła do Senatu, marszałek Bogdan Borusewicz (gdańszczanin) nazwał ją „lex Horala”.

– Jak pan odeprze zarzuty o kumoterstwo? – pytam wiceministra.

– Jestem w polityce od dawna, poznałem kilka tysięcy ludzi, głównie z opcji obecnie rządzącej. Zawsze ktoś znajdzie znajomych, których da się wytknąć, zwłaszcza że to bardzo niejasne określenie. Z wymienionych przez pana ludzi jednych znam lepiej, innych poznałem dopiero, gdy pełnili już swoje funkcje. Ani przez moment żaden port morski w Polsce mi nie podlegał, nie podejmowałem decyzji o sprawach kadrowych. Pan mówi, że gdański port zlecał Rezerwie roboty... To chyba normalne, że spółka matka, mając w grupie kapitałowej spółkę córkę, zleca jej wykonywanie różnych prac. Natomiast po wykryciu nieprawidłowości związanych z osobą pana Stankucia zadziałano wręcz modelowo: zwolnienie, zawiadomienie do prokuratury... Ja zresztą tego człowieka widziałem osobiście może dwa razy w życiu.

– A pana Felmeta?

– Znam dużo lepiej. Jest chyba czymś zwyczajnym, że jeśli partia zdobywa władzę w państwie, to się pojawiają w urzędach i na stanowiskach ludzie z tą partią związani. W końcu politykę rządu muszą realizować ci, którzy go popierają – bo chyba nie opozycja... prawda? Pan pomija kompetencje, doświadczenie, osiągnięcia – w pańskiej narracji liczy się tylko „znajomość”. No to wspomnę, że poseł Aziewicz, który dziś tak chętnie mnie krytykuje, bronił byłego prezesa portu w Gdyni odwołanego za naszych rządów jako super apolitycznego fachowca. Kilka tygodni później można go było zobaczyć na Facebooku, jak na zebraniu koła PO siedzi obok Aziewicza.

KAŻDY DOSTAŁ 40 MINUT NA TUSKA

Poza Pomorzem poseł z Gdyni stał się rozpoznawalny latem 2018, gdy objął stanowisko przewodniczącego komisji śledczej ds. wyłudzeń VAT.

W gronie, które miało rozliczyć od strony finansowej (i stosownie napiętnować) rządu PO-PSL, zasiadło pięcioro posłów PiS, jedna osoba z Kukiza i troje reprezentantów opozycji z lewej. Przewodniczący Horalą z mównicy sejmowej zapowiedział:

– W roku 2007 Polska była pod względem ściągальności podatku VAT w absolutnej czołówce europejskiej. Luka VAT-owska wynosiła niecałe 9 proc. Po ośmiu latach rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz ta sama luka, według Komisji Europejskiej, wyniosła 26 proc.! Każdemu Polakowi, od niemowlaka po stuletnią staruszkę, ukradziono w ten sposób po jakieś 8 tys. zł. Jak to się stało? Zamierzamy wyjaśnić...

– I pod pozorem tego wyjaśniania krzywdził przyzwoitych ludzi, by zyskać moją sławę – mówi mi Aziewicz. – Jest wystarczająco inteligentny, żeby zrozumieć, że nie przesłuchiwał aferzystów, tylko polityków, którzy chcieli dobrze. Wykorzystał komisję, aby zyskać rozpoznawalność i pokazać swym szefom z PiS, że może realizować partyjne zlecenia bez zahamowań etycznych.

Zbigniew Konwiński, słupski poseł i jedyny członek komisji z PO, zgadza się, że przewodniczący traktował to gremium jako trampolinę dla własnej kariery:

– Niemniej praca tam była ciężka, bo wiele zagadnień, mnóstwo dokumentów, a pan Horalą, który bardzo chciał znaleźć winnych luki VAT-owskiej wśród polityków Platformy, był przeciwnikiem trudnym. Niewątpliwym fighterem. Próbował zachowywać pozory bezstronności, lecz polityczny podtekst przedsięwzięcia i tak wychodził na wierzch.

– Poda pan jakiś przykład?

– Horalą produkował seryjnie, bazując na wątpliwych przesłankach, doniesienia do prokuratur w sprawie ministrów z PO. Potem to wszystko było umarzane, lecz ludzie zostali skrzywdzeni.

Doniesienia przewodniczącego komisji dotyczyły m.in. ministrów finansów z lat 2007-15 Jana Vincenta-Rostowskiego i Mateusza Szczurka oraz wiceministra resortu Andrzeja Parafianowicza. Żaden z nich nie został później oskarżony w sprawie.

– Bo też nie o to chodziło, liczył się polityczny teatr – mówi dalej Konwiński. – A głównym aktorem był oczywiście Horalą. Nie tak emocjonalny jak Małgorzata Wassermann z równoległe pracującej komisji do spraw Amber Gold, raczej przygotowany na zimno. Chwilami dość bezwzględnie egzekwował swoje uprawnienia.

Tak było na przykład 17 czerwca 2019, w dniu przesłuchania Tuska, którego wezwano z Brukseli. Konwiński: – Horalą sprawił, że każdy z posłów PiS miał na przesłuchiwanie byłego premiera 30-40 minut, a opozycja dostała nawet nie pełny kwadrans.

Pierwszy przesłuchiwał sam przewodniczący. Na wstępie z widoczną lubością pouczył szefa Rady Europy o groźnej mu – w razie fałszywych zeznań – odpowiedzialności karnej do lat ośmiu włącznie. Po-

Liczby inwestycji

100 OSÓB

- zatrudniała spółka odpowiedzialna za CPK w 2019 r.
- 170 rok później
- 200 w następnym roku

30 MLN

- kosztowały ich pensje w 2021 r. – bez umów o dzieło

2,5 MLN

- wynoszą zarobki 4-osobowego zarządu

3 MLN

- wynosi budżet biura pełnomocnika rządu ds. CPK, czyli Horaly

0 KM

- tyle zbudowano pasów startowych i kilometrów szybkiej kolei

tem Tusk próbował dowodzić, że jego rząd robił wiele, aby lukę VAT-owską likwidować, jednak przeszkadzała mu w tym opozycja, czyli głównie PiS. Horalą próbował dowodzić, że Tusk nad niczym nie panował, a przestępcy VAT-owscy hulali w tym czasie bezkarnie. Dziś mówi mi tak:

– Ci, którzy twierdzą, że komisja niczego nie dowiodła, chyba nie czytali raportu końcowego. Gdyby to zrobili, zobaczyliby, że wykazaliśmy jasno wielowymiarową porażkę państwa, które dopuściło do gigantycznych strat. Gdyby rząd PO-PSL utrzymał ściągальność VAT na poziomie z roku 2007, miałby 200 mld zł więcej w budżecie państwa.

W raporcie końcowym – ogłoszonym krótko przed wyborami parlamentarnymi 2019 – PiS-owska część zespołu postawiła wniosek o Trybunał Stanu dla Tuska, Ewy Kopacz oraz dwóch ministrów. Tyle że dla ich postawienia przed sędziami trzeba by znaleźć w Sejmie 276 głosów.

– Mam nadzieję, że dzięki wyborcom taka większość znajdzie się w nowym parlamencie – mówił dziennikarzom Horalą, prezentując raport. Nadzieja się nie ziściła, a w dodatku finalny dokument został rozjechany przez członków komisji z opozycji. Mirosław Pampuch (Nowoczesna) mówił o „kłamstwach, manipulacjach i realizacji politycznych wytycznych płynących z Nowogrodzkiej”.

Politycy PiS odpowiadali narracją o Platformie niepotrafiącej ściągać podatków i własnym rządzie, który pokazał, że można. Popularność Horaly – mierzona liczbą występów w mediach i wskaźnikami Google Trends – rosła.

FAJNIE MIEĆ SEKRETARKE Z KIEROWCĄ

Posel zaczął być zapraszany do Radia Maryja, gdzie występował obok prezesa Kaczyńskiego, premierów Szydło i Morawieckiego, Ziobry, Macierewicza... Jesienią 2018 ponownie wystartował na prezydenta Gdyni

– i znowu przegrał ze Szczurkiem, choć teraz zdołał zgromadzić 16 proc. głosów (prezydent – 68 proc.). Nie o to jednak chodziło, aby rządzić Gdynią.

– Celem było pokazać, że się jest gotowym nawet do trudnych zadań, bez szans na powodzenie – mówi mi (anonimowo) poseł PiS z Pomorza. – Efekty przysły szybko. Po pierwsze Marcin przejął po Januszu Śniadku pomorskie struktury partii...

Wewnątrzpartyjny sukces oznajmił tweetem: „Bardzo dziękuję Prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu oraz Przewodniczącemu Komitetu Wykonawczego Krzysztofowi Sobolewskiemu za okazane zaufanie. Dam z siebie wszystko – do zwycięstwa!”. Plus palce ułożone w znak „V”.

– Po drugie został dostrzeżony przez Morawieckiego – mówi mi dalej poseł. – Premier z początku nie miał w partii własnego środowiska. A szukał młodych, ambitnych, inteligentnych, konkretnych, gotowych do ciężkiej pracy, najlepiej po studiach prawnych lub ekonomicznych. Oferował posady sekretarzy stanu.

Horalą znalazł się w jednym zaciągu z Arturem Soboniem (trzy lata starszym od siebie posłem z Lublina, absolwentem ekonomii i prawa unijnego, od 2018 r. sekretarzem stanu w Ministerstwie Inwestycji), z Grzegorzem Pudą (urodzonym w 1982 r. posłem z Bielska-Białej, sekretarzem stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej) i z Waldemarem Budą (rocznik ten sam, co poprzednio, poseł z Łodzi, wykształcenie prawnicze, sekretarz stanu od 2019).

– Lepiej być wiceministrem niż posłem z tylnych ław. Jest gabinet i sekretarka, samochód z kierowcą, jest fundusz reprezentacyjny... a do tego nie trzeba rezygnować z diety parlamentarnej – kwituje poseł PiS.

Wchodząc do rządu w roli sekretarza stanu w Ministerstwie Infrastruktury, Horalą nie był bogaty. Z oświadczenia majątkowego wynika, że jego oszczędności oscylowały wokół 100 tys. zł; mniej więcej połowa w gotówce, reszta w jednostkach funduszy, obligacjach skarbowych itp. Do tego wspólne z żoną 67-metrowe mieszkanie i fiat tipo z 2017 r. Po stronie „winien” – resztką kredytu mieszkaniowego we frankach (6780 CHF) oraz niewielki kredyt gotówkowy (6144 zł).

„PRZESTAŃ MYŚLEĆ PIZDĄ”

W wyborach 2019 wiceminister dostaje gdyńsko-słupską „jedynekę” i bez trudu zdobywa mandat z wynikiem ponad 86 tys. głosów. Coraz częściej staje na sejmowej mównicy, w mediach wypowiada się na wszelkie możliwe tematy. O aborcji: „ochrona życia powinna być pełna, a nie różnicowana ze względu na stan zdrowia dziecka”. O edukacji seksualnej: „dochodzi do tego, że u czteroletków jednym z poruszanych tematów ma być osiąganie przyjemności z dotykania swego ciała w miejscach intymnych, nie możemy się na to godzić”. O ruchu LGBT: „postulaty tych środowisk są dla mnie nieakceptowalne”.

Jest też hiperaktywny na Twitterze, gdzie ciśnie po opozycji ze szczególnym uwzględnieniem Tuska. Gdy w trakcie igrzysk w Pjongczangu polski skoczek Kamil Stoch pokonuje niemieckiego rywala – Andreasa Wellingera – Horalą wrzuca tweet ze zdjęciem byłego premiera, który stoi ze zmartwioną miną (oglądał skutki tornada na Opolszczyźnie). Podpis Horaly pod markotnym Tuskiem: „Bo Wellinger przegrał...”.

Wschodząca gwiazda zaczyna ściągać uwagę poważnych dziennikarzy. Grzegorz Łakomski i Łukasz Karusta z TVN 24 odkrywają, że 21 pracowników państwowych spółek, którzy objęły stanowiska dzięki poparciu PiS, wpłaciło w sumie 120 tys. zł na sejmową kampanię Horaly. Donatorami są m.in. prezesi, dyrektorzy i członkowie rad nadzorczych Lotosu, PGNiG, Energi-Oświetlenie, Energi-Invest, Energi-Ochrona i Energi-Operator. Wśród nich koordynator ds. kontaktów z mediami Operatora Grzegorz Baran, który startując w 2018 r. do pomor-

skiego sejmiku, wykupił wspólne z Horałą billboardy; dalej Zenon Żynda ze Związku Pracowników Energi, który podniecony nadciągającym zwycięstwem Zjednoczonej Prawicy jesienią 2015 pisał na Facebooku o politykach PO: „Po wyborach będą mieli tyle do gadania, co żyd w gettcie” (pisownia oryginalna); wreszcie wspomniani już Piotr Meler z Energi-Oświeetlenie (ten, który kandydował na prezydenta Sopotu) i Grzegorz Ksepko (ten, który zawierzył Energę Matce Bożej).

Indagowany przez dziennikarzy TVN Horała tłumaczy przed kamerą, że afery nie ma, ponieważ „jednym z elementów kampanii wyborczej jest to, że się prosi różne osoby o wsparcie, i to rzecz naturalna, a osoby zatrudnione w spółkach państwowych nie mają ograniczonych praw obywatelskich i mogą wpłacać na taką kampanię, na jaką chcą”.

Jest jednak i inny kłopot – stara znajomość z Izabelą Pek, która stała się w międzyczasie bohaterką skandalu. 30-latką wcześniej prezentująca wdzięki na stronach modowo-bieliznianych (pseudonim „Czarna Pantera”) podjęła współpracę z „Tygodnikiem Solidarność”, wzięła udział w kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy – jeździła z nim „dudabusem” – i zaczęła uczęszczać na miesięcznice smoleńskie, gdzie poznała starszego o 14 lat żonatego posła PiS z Bielska-Białej Stanisława Piętę. Teraz ich romans wychodzi na jaw, tabloidy zamieszczają pikantne szczegóły, a Pięta rzuca Izę. Ta zwraca się więc o pomoc i pociechę do dwóch byłych patronów: prezydenta Polski i posła Horały. Duda wspiera ją, pisząc na Messengerze: „Stasiu to specyficzny człowiek. Myślałem, że moralnie czysty, ale... samo życie. Taka prawica konserwatywna... Proszę o więcej ostrożności na przyszłość”. Rada od Horały jest krótsza i wskazuje na większy stopień zażyłości z modelką: „Prze-stań myśleć pizdą”.

Gdy reporter Jacek Harłukowicz ujawnia tę korespondencję na łamach „Wyborczej”, dziennikarze Wirtualnej Polski pytają Horałę, czy to ładnie w ten sposób do kobiety... Wiceminister odpowiada z uśmiechem:

– Nie jest tajemnicą, że pani Izabela to osoba mi znana, natomiast do treści naszych prywatnych rozmów nie będę się odnosił. Powiem tyle, że moja porada bardziej ciężkiego prowadzenia się czy ciężkich obyczajów była chyba w tym momencie na miejscu.

„DYZMA POLSKIEGO LOTNICTWA”

W roku 2022 wiceminister infrastruktury jest już pełnoprawnym uczestnikiem wszelkich rządowych posiedzeń, ma swobodny dostęp do premiera i prezesa PiS, podlegają mu liczne urzędy, agencje i instytucje, w tym Polska Agencja Żeglugi Powietrznej. I tu rodzi się nowy kłopot. Kontrolerzy ruchu lotniczego, których wysokie zarobki spadły w trakcie pandemii z powodu zamrożenia lotów, grożą gremialnym odejściem z pracy, co może sparaliżować – i to przed wakacjami! – krajowe lotniska. Horała nie zamierza godzić się na podwyżki.

– Pewna niezwykle dobrze zarabiająca, uprzywilejowana grupa nie przyjmuje do wiadomości, że na jakiś czas musi nieco mniej zarabiać – mówi w Radiu ZET.

W Sejmie reaguje Lewica. Poseł z Rybnika Maciej Kopiec domaga się w imieniu swego klubu natychmiastowej dymisji „Dyzmy polskiego lotnictwa”.

– Trwa protest kontrolerów, do strajku szykują się kolejarze z Polregio i PKP Cargo – mówi z trybuny. – Szykuje się paraliż polskiego transportu, za który odpowiedzialny jest polski rząd i jego brak chęci do prowadzenia rozmów. Uosobieniem tych problemów jest minister Marcin Horała!

Wywołany do odpowiedzi przypomina, że „średnia pensja kontrolera na warszawskim Okęciu wynosi 33 tys. miesięcznie brutto, a na lotniskach regionalnych – 21 tys.”.

– W dodatku tydzień pracy kontrolera to jest 30 godzin, w tym 25 proc. tego czasu na odpoczynek w miejscu pracy. Więc przytłaczająca większość wyrabia jeszcze nadgodziny i nabija sobie ogromne zarobki.

– Kiedy był kryzys w systemie ochrony zdrowia, politycy PiS atakowali lekarzy rezydentów. Gdy trzeba było reformować edukację, atakowali nauczycieli. Teraz padło na kontrolerów – odpowiada poseł Platformy Cezary Tomczyk. – Kontroler lotu zarabia sporo, ale pan Horała zarabia jeszcze więcej i gdybym miał zdecydować, czy dać podwyżkę wiceministrowi, czy kontrolerom lotów, nie zastanawiałbym się ani chwili.

Ostatecznie z prób odwołania wiceministra nie wychodzi nic, zaś konflikt z kontrolerami zostaje rozwiązany – wbrew twardej postawie Horały – polubownie. Doprowadza do tego zwierzchnik – minister infrastruktury Andrzej Adamczyk. Po tej akcji obaj panowie się żegnają – gdyński poseł przechodzi z resortu Adamczyka na stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej, czyli do Grzegorza Pudy, zachowując jednocześnie objętą dwa i pół roku wcześniej posadę pełnomocnika rządu ds. centralnego portu, którego budowa ma ruszyć w podwarszawskiej gminie Baranów, w powiecie grodziskim.

40 TYS. MIESIĘCZNIE ZA WKURZANIE LUDZI Z BARANOWA

Zagadkę „Co znaczy skrót CPK?” wymyślił najprawdopodobniej poseł Lewicy Andrzej Rozenek. Odpowiedź: „cały PiS kradnie”.

Faktycznie – o zarobkach wypłacanych w spółce (teoretycznie) budującej lotnisko i prowadzące doń tory krążą od lat legendy podsycane niechęcią rządzących do ujawniania liczb. Wiadomo, że gdy Horała obejmował pełnomocnictwo – w 2019 r. – zatrudnienie w zajmowanym przez CPK biurowcu koło Dworca Zachodniego w Warszawie wyniosło 100 etatów; w połowie kolejnego roku – już 176; niecały rok później – po-

na, a potem wiceprezes w Lotosie. Za mniej więcej 40 tys. zł miesięcznie miał się zająć płynnym wykupem gruntów pod przyszłe pasy startowe. Nie wyszło – większość rolników gruntów nie sprzedawała – więc po kilku miesiącach musiał odejść na wiceprezesa w państwowym Tauronie. W tym czasie analogiczne stanowisko członka zarządu CPK ds. kontaktów z mieszkańcami gminy Baranów (nie tylko rolnikami) dostał Patryk Felmet, który pomiędzy gdańską Rezerwą a centralnym portem również zaliczył Lotos. W Baranowie – choć dostawał za to 40 tys. miesięcznie – nie udało mu się zjednać mieszkańców. Wręcz przeciwnie: protestujący najpierw zablokowali zjazd z autostrady A2 w Wiskitkach, potem przyszli pod Sejm. Powstał nawet ruch społeczny „NIE dla CPK”. W ogłoszonym przez gminę referendum 82 proc. głosujących opowiedziało się przeciwko ulokowaniu lotniska w ich sąsiedztwie, a 93 proc. zanegowało warunki wykupu ziemi proponowane przez spółkę Wilda i Horały.

Jest jeszcze finta w fincie: choć w gminie Baranów nie wbito łopaty, to spółka CPK już się dołożyła do budowy szosy w okręgu wyborczym Horały. Nowa Czerwona Droga ma połączyć port gdyński z autostradą A1, zatem to powrót do złożonej przez święto upieczonego posła Horałę obietnicy północnej obwodnicy. W kwietniu zeszłego roku wiceminister – ubrany w swój ulubiony sztormiak z godłem państwowym i nadrukiem „Marcin Horała” – przekazał na ten cel 20 mln zł. Uprzedzając nieuchronne pytania, zwrócił się do zgromadzonych na gdyńskim nabrzeżu dziennikarzy:

– Centralny Port Komunikacyjny to program budowy nowego systemu transportowego Polski. A jedną z białych plam w tym systemie jest właśnie brak połączenia portu w Gdyni z systemem autostrad.

ZBUDUJEMY W POLSCE DRUGĄ JAPONIĘ

Sęk w tym, że zgodnie z planem spółka CPK miała budować tory, nie szosy. Kto by się

ła półtorej minuty, a zawarł tam osiem kłamstw. Nie ma żadnego przypadku, żeby szpital czy kościół był zagrożony. Jeśli mowa o protestach przy autostradach, to za rządów PO-PSL było tych protestów mnóstwo, ja sobie nawet wydrukowałem cały plik. Ale nie oszukujmy się: nie ma żadnej wielkiej inwestycji, która by jakichś protestów nie wywoływała.

– A jak pan odpowie na zarzuty, że „prezesi zarządzający łaką zarabiają krocie”? – pytam.

– 30 tys. miesięcznie dla członka zarządu to niemal idealny środek ustawowych widełek określających poziom zarobków zarządcy spółki o tych parametrach. CPK to przecież nie tylko lotnisko. To program inwestycyjny o skali porównywalnej np. z programem budowy dróg krajowych i autostrad. Kilkadziesiąt olbrzymich inwestycji, które będą realizowane przez dwie perspektywy unijne. I nie zarządzamy łaką, tylko ciężko pracujemy. Każdy, kto się zajmował kiedyś procesem inwestycyjnym, wie, że przed wbiciem łopaty trzeba przeprowadzić kilkadziesiąt projektów, przetargów, trudnych niekiedy negocjacji z partnerami zagranicznymi. Do tego badania środowiska, program dobrowolnych nabyć dla właścicieli gruntów, przypomnę, że kiedy nasi poprzednicy stawiali autostrady – takiego programu nie było – od razu szły wywłaszczenia.

– Czyli: wy się staracie, a niewdzięczni mieszkańcy na złość protestują?

– Ci rzekomi mieszkańcy to są często działacze Agrounii, PO, jest całe środowisko: w jednym tygodniu są zatrudnianymi mieszkańcami Śląska, w drugim – Baranowa, w trzecim – Kalisza. Ja większość twarzy z tych protestów już znam osobiście.

– Kogo konkretnie?

– Jest tam pan Tadeusz Szymańczak, był poseł PSL, który uważa, że należy mu się 200 zł za metr ziemi rolnej, czyli w przypadku jego gospodarstwa jakieś 200 mln. Jest pani Karina Kozłowska, działaczka Agrounii. Grupę facebookową „NIE dla CPK” prowadzi asystentka posła PO Macieja Łaska. Część z nich faktycznie mieszka w oko-

Gdy na igrzyskach zimowych skoczek Kamil Stoch pokonuje Niemca Andreasa Wellingera, Horała wrzuca tweet z Tuskiem ze zmartwioną miną i podpisem „Bo Wellinger przegrał”. Tusk ze zdjęcia oglądał skutki tornada na Opolszczyźnie

nad 200, a dalej – jeszcze więcej. Roczne wypłaty za 2021 r. przekroczyły 30 mln zł, nie licząc umów o dzieło, zaś pensje czteroosobowego zarządu – około 2,5 mln. Dodatkowo obsługa biura pełnomocnika (czyli posła Horały) kosztuje podatników przeszło 3 mln, same wydatki na cele reprezentacyjne, usługi marketingowe i public relations – ponad 2 mln.

I to w sytuacji, gdy budowa się jeszcze nie zaczęła.

– My zatrudniamy wręcz za mało ludzi – broni się Mikołaj Wild, prezes CPK (nie mylić z pełnomocnikiem rządu). – Nie da się zaplanować, zaprojektować i wybudować portu przesiadkowego oraz prowadzącej doń sieci prawie 1800 km linii kolejowych, nie zatrudniając inżynierów, informatyków, prawników, rzeczoznawców i ekspertów w swych branżach – przekonuje.

W tym branżowo-eksperckim gronie odnajduję starych znajomych. Etat w szklanym biurowcu przy Alejach Jerozolimskich dostał kolega Horały z pomorskiego PiS – Patryk Demski – były burmistrz Pelpi-

jednak wglębiał... 12 kwietnia, dzień po kolejnym proteście mieszkańców Baranowa pod Sejmem, Horała występuje w głównym programie publicystycznym TVP: „Gościu Wiadomości”. Zapewnia, że budowa lotniska rozpocznie się „późnym latem”, będzie kosztować w sumie 8 mld euro i z czasem przyniesie dochody.

– Kiedy zakończymy inwestycję w połowie lat 30. tego wieku, Polska będzie na światowym, topowym poziomie, jak Japonia, Korea Południowa, Francja. Korzyści dla polskiej gospodarki sięgną biliona złotych.

Prowadząca program – sama Danuta Holeccka, flagowa prezenterka „Wiadomości” – zauważa, że „Donald Tusk na swoim spotkaniu z wyborcami mówi o miejscowościach sterroryzowanych przez CPK, o planowanych liniach kolejowych przez tereny szpitali i kościołów, a do tego twierdzi, że za rządów PO-PSL – gdy budowano autostrady – takich protestów nie było”.

Horała w studiu: – To była sekwencja w wystąpieniu pana Tuska, która trwa-

licy przyszłego lotniska, ale de facto to politycy. Jest oczywiście również naturalny niepokój mieszkańców, niestety celowo podsycany dezinformacjami. Na wczesnych etapach procesu inwestycyjnego mieliśmy wiele niewiadomych, pozostawiających pole do nadinterpretacji, wręcz kłamstw. W miarę postępu prac coraz więcej wiadomo i to prowadzi do uspokojenia emocji. W przypadku samego lotniska zdecydowana większość właścicieli zgłosiła już wolę dobrowolnej sprzedaży.

Ostatnie pytanie Danuty Holecckiej: – Kiedy pierwszy samolot odleci z tego lotniska?

Horała: – Planujemy, że w roku dwudziestym siódmym. To bardzo ambitny harmonogram. Oczywiście jeszcze dużo rzeczy może się nie udać, ale na razie wszystko się udaje. ●

„Czy kiedykolwiek życzy-
leś śmierci osobie, którą
znasz?”. 13 proc. responden-
tów miało taką myśl.

Z SOCJOLOŻKAMI, **KATARZYNA
FERENIEC-BŁOŃSKĄ** I **MARIA
WIERZBICKĄ-TARKOWSKĄ** Z
ZESPOŁU BADAWCZEGO „CIEKAWOŚĆ”,
WSPÓŁAUTORKAMI BADANIA PT.
„TWARZE POLSKIEJ RADYKALIZACJI”
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**



Do waszego badania zaprosiliście
wyłącznie osoby ze średnim i z wyższym
wykształceniem, dlaczego?

KATARZYNA FERENIEC- BŁOŃSKA:

O radykalizacji mówi się zwykle wtedy, kie-
dy przybiera ekstremalną postać – w kon-
tekście zachowań kibolskich, faszyzujących
środków, islamskich fundamentalistów,
itd. A ona zaczyna się dużo wcześniej, kiedy
odmawiamy innym prawa do własnych po-
głądów, nie chcemy rozmawiać.

MARIA WIERZBICKA-TARKOWSKA:

Zdecydowałyśmy się wyłączyć z badania
osoby z podstawowym wykształceniem też
trochę po to, żeby uniknąć bagatelizowania
wyników w duchu: „No tak, radykalizujemy
się, ale na pewno dotyczy to głównie osób
o niższych kompetencjach społeczno-kul-
turowych”. Chciałyśmy wziąć pod lupę nas,
czyli tak zwaną klasę średnią.

Wam też zdarzyło się życzyć śmierci
obcej osobie, która ma inne poglądy? Py-
tam, bo 19 proc. waszych respondentek
i respondentów przyznało, że tak.

MW-T: Może nie dosłownie śmierci, ale na
pewno nie raz złorzeczyłam jakiemuś poli-
tykowi lub polityczce. To pytanie nie wzię-
ło się zresztą znikąd. W pierwszej, eksplo-
racyjnej części badania, w której robiły-
śmy pogłębione wywiady, żeby móc stwo-
rzyć pytania do kwestionariusza, który po-
tem wypełniło tysiąc osób, ten wątek sam
się pojawił. Zwykle w emocjonalnych roz-
mowach o aktualnej sytuacji politycznej.
Widać go też w mediach społeczno-

wych, kiedy ludzie w komentarzach życzą
polityczkom i politykom źle, piszą: „a niech
ich szlag trafi”, „będą się smażyć w piekle”,
i tak dalej.

Wydaje mi się jednak, że to życzenie
śmierci nie jest dosłowne. Jest raczej wy-
razem frustracji i bezsilności, że nic się nie
zmienia. Jest tylko gorzej.

KF-B: Obawiałam się, że ludzie uznają to
pytanie za mocne. Ale po tym, jak w bez-
pośrednich rozmowach usłyszałyśmy dużo
mocniejsze rzeczy, nie miałam oporu, żeby
je dodać do kwestionariusza.

Co może być mocniejsze niż życzenie
komuś śmierci?

KF-B: Dehumanizacja konkretnej gru-
py społecznej, na przykład. Chęć wycięcia
z Polski całej mniejszości. A takie życzenia
się pojawiały.

MT-W: Niektórzy mówili wprost, że „Pol-
ska powinna być czysta”. Zarzekali się, że
„może to nieładnie brzmi”, ale potem przy-
znawali, że w sumie tak myślą.

„Czysta Polska”, czyli jaka?

MT-W: Homogeniczna. Bez mniejszości,
bez obcych wpływów.

Życzenie komuś obcemu śmierci w my-
ślach pełni funkcję wentyla i raczej nie
przełoży się na siłowe rozwiązania. Nato-
miast wyrażanie wprost bardzo negatyw-
nego stosunku do jakiejś grupy, a zwykle
chodziło o uchodźców, mniejszości naro-
dowe i osoby nieheteronormatywne może,
moim zdaniem, prowadzić do dramatycz-
nych konsekwencji.

KF-B: I pod tym kątem mnie chyba bardziej
poruszyły twierdzące odpowiedzi na pyta-
nie: „czy kiedykolwiek życzyłeś śmierci oso-
bie, którą znasz?”. 13 proc. respondentów
miało taką myśl.

To już chyba nie wynika z bezsilności
wobec polityki. Co się może za tym kryć?

MW-T: Socjolog Marek Krajewski twier-
dzi, że ludzie są coraz bardziej zmęcze-
ni złożonością świata. Dlatego pragną pro-
stych rozwiązań, spokoju. A spokój bierze
się między innymi stąd, że wszystko dooko-
ła jest zrozumiałe, zgodne z „moim” syste-
mem wartości i przekonaniami. W związ-
ku z tym pojawia się pragnienie, żeby wy-
eliminować elementy, które są źródłem na-
pięć, wywołują negatywne emocje, kon-
frontują z czymś niewygodnym.

Patrzę na obraz, który wisi na ścianie
przed nami i przedstawia człowieka idące-
go przez pustynię. I myślę sobie, że wiele
i wielu z nas tego by właśnie chciało.

Takiej pustyni?

– Pozbyć się wszystkiego co wywołuje dys-
komfort, żeby świat znów stał się bezpiecz-
ny, przewidywalny, bez zakłóceń.

KF-B: W wyniku polaryzacji, którą mamy,
bardzo wiele tematów od razu włącza silne
emocje. Tak silne, że można znienawidzić
kogoś tylko dlatego, że powiedział coś, co
stoi w sprzeczności z naszymi poglądami.
Inność nie ciekawi, w najlepszym przypad-
ku - męczy. Ale drugim powodem niechęci
do niej są czasy, w których żyjemy. W roz-
mowach z ludźmi czuć było bardzo duży
lęk i zmęczenie.

Lęk związany z czym?

KF-B: Z galopującą inflacją. Z tym, że za-
robki nie nadążają za wydatkami, że jest
wojna za granicą, która szczególnie u star-
szych wywołuje traumatyczne skojarzenia.
Ludzie boją się o pracę, o przyszłość. Przy
takim zestresowaniu i „zarobieniu” nie ma
przestrzeni na inność i na znoszenie trud-
nych emocji.

77 proc. uczestniczek i uczestników wa-
szego badania, niezależnie od światopo-
glądu, uważa, że Polska zmierza w złym
kierunku. Większość boi się tego samego
– biedy, skutków kryzysów – energetycz-
nego, gospodarczego, klimatycznego.
Martwi się o przyszłość swoją, swoich
dzieci, wnuków. Dlaczego ten współdzie-
lony lęk nie działa jako spoiwo?

KF-B: W naszym badaniu na różnych po-
ziomach, również na poziomie poglądów
politycznych, wychodził silny indywidu-
alizm. Ciężko było ludziom odnieść się do
jakiegokolwiek wspólnego światopoglą-
du, wartości. Zazwyczaj chcieli, żeby rząd
realizował ich jednostkowe interesy, które
zresztą bywały sprzeczne. Mówili na przy-
kład: „powinna być lepsza edukacja, lepsze
drogi i... niższe podatki”. Nikt się nie zasta-
nawiał – w jakim świecie my, Polacy, chce-
my żyć.

Biorąc pod uwagę to, że jesteście różni?

– Tak. Każdy w zasadzie mówił wyłącznie
o swojej perspektywie. 500 plus jest dobre,
jeśli mam niepełnoletnie dziecko. Ale, jeśli
moje dzieci są dorosłe albo jestem bezdziet-
na, to jest to marnotrawienie pieniędzy.

MW-T: Świadomość, że na przykład trze-
ba będzie wyjechać, jeśli zagrożenie wojną
zrobi się realne, sprawia, że ludzie siłą rze-
czy skupiają się na kręgu najbliższych. Nie
są w stanie myśleć o czymś tak abstrakcyj-
nym jak „dobro wspólne”.

KF-B: Nie istnieje też duma ze wspólno-
ty. Dobrze o sobie możemy mówić, wyłącz-
nie porównując się z innymi nacjami. Na-
tomiasz, nie ustawiając się w kontrze, trud-

no dopełnić to „my, Polacy” czymś pozy-
tywnym.

Nawet tym konserwatywnym?

– Nawet. Jak pytałyśmy osoby, które miały
zapędy autorytarne, dlaczego uważają, że
jeden przywódca jest lepszy niż demokra-
tycznie wybrany rząd, odpowiadały, że „my,
Polacy jesteśmy za głupi na demokrację”,
„nas trzeba wziąć za mordę”, „historia po-
kazała, że nie umiemy sobą rządzić”.
MW-T: Brakuje też autorytetów, które by
łączyły. W ogóle, autorytetów. Mamy teraz
sytuację z Janem Pawłem II. W naszym ba-
daniu wielokrotnie pojawiał się jako auto-
rytet, ale już taki co do którego jest dużo
wątpliwości. Ludzie nie wiedzą, czy w obli-
czu faktów, mogą go dalej za takiego uwa-
żać. Niektórzy czują, że już nie wypada. In-
ni starają się poddawać to jakiejś krytycz-
nej refleksji.

Jeden z waszych respondentów mówi:
„Moje autorytety umarły, takie osoby
z przenikliwym spojrzeniem, giganci,
odeszli. Geremek, Bartoszewski, Kuroń”.
Dla kogoś innego to mogą być inne na-
zwiska. Stare autorytety odchodzą, a w
ich miejsce nie przychodzą nowe.

MW-T: Stąd między innymi bierze się tę-
sknota za silnym przywódcą, którą wyrazi-
ło 18 proc. badanych, znów niezależnie od
światopoglądu. To tęsknota za liderem, któ-
ry będzie budził powszechne zaufanie, któ-
ry będzie „mężem stanu”, jak to wyrazili
nasi respondenci i respondenci. Zauważ,
że powiedziałam „mężem”, czyli raczej
mężczyznę. Charyzmatycznym, silnym.

KF-B: Kimś kto stawia przede wszystkim
na dobro obywateli. Bo kolejną ważną emo-
cją, która się wylania z naszego badania jest
całkowite zmęczenie polityką. Ludzie mają
świadomość, że to jest głównie rozgrywka
jakiś wewnętrznych wojenek.

MW-T: 67 proc. uważa, że wszyscy politycy
są uprzywilejowani, a 75 proc., że rządzący
politycy są uprzywilejowani.

KF-B: Oczywiście, te wskazania było nie-
co wyższe u osób, które głosują na opozy-
cję niż u tych, którzy głosują na PiS, ale róż-
nice między obiema grupami były znacznie
mniejsze niż można by zakładać.

Widać też ogromne rozczarowanie de-
mokracją.

Tylko 61 proc. uważa, że demokracja jest
najlepszym ustrojem. Pytanie jakiego
ustroju chciałoby pozostałe 39 proc.? 41
proc. twierdzi, że wybory demokratycz-
ne prowadzą do tego, że rządzą nami
„ludzie niekompetentni i nieprzygoto-
wani”.

NIE CHCE MI SIĘ
Z TOBĄ GADAĆ

KF-B: W tej kwestii jest ogromna różnica między młodymi a starszymi. Bo ze stwierdzeniem, że demokracja jest najlepszym ustrojem, zgodziło się około 80 proc. osób powyżej 65 r.ż, natomiast wśród osób pomiędzy 18 a 24 r.ż. już tylko 48 proc.

Z jednej strony to szokuje, z drugiej nie. Demokracja wszędzie przeżywa kryzys.
MW-T: Nasze badanie pokazuje, że ludzie generalnie nie rozumieją zasad demokracji. Respondenci często nie pamiętali, co ile lat odbywają się wybory. Nie wiedzieli, ile trwa kadencja Sejmu, Senatu, ile prezydentka. A mówimy o osobach ze średnim i z wyższym wykształceniem.
KF-B: Jest jak w tym chińskim powiedzeniu, że cesarz i niebo są daleko. Sfera polityki dla większości osób stała się czymś odległym. Nie przekłada się na codzienne życie. Myślę, że osobom, które odrzucają demokrację, nie podoba się to, co jest, ten chaos. Chcieliby, żeby było inaczej, ale jak? To już nie jest poddawane głębszej refleksji.
MW-T: W pogłębianych wywiadach wybrzmiała też myśl, że to, że „bierzemy udział w wyborach, głosujemy na konkretne ugrupowania, stawiamy krzyżyki przy konkretnych nazwiskach, nie oznacza wcale, że potem myślimy o tych ludziach jako o swoich reprezentantach”. Większość respondentów nie miała poczucia, że to, co się dzieje na Wiejskiej, ich dotyczy, że politycy dbają o ich interesy. Z jednej strony, opowiadali o nich jak o osobach, które biorą udział w jakimś „show”...
KF-B:...a z drugiej nie pamiętali kluczowych nazwisk. Mówili na przykład „ta brzydka z PiS-u” albo „ten mały z PO”. Czasami miałam wrażenie, że biorę udział w jakiejś zgadywance. Niektórzy wyborcy Konfederacji nie pamiętali nazwiska Bosaka.
MW-T: Można było odnieść wrażenie, że na scenie politycznej jest wyłącznie Kaczyński, Tusk no i może jeszcze Biedroń.
KF-B: Nasi rozmówcy mieli poczucie, że politycy są z jednej strony odrealnieni, nie wiedzą, jak żyją przeciętni Polacy, a z drugiej – są bezkarni. Pojawiało się marzenie o komisji, która prześwieciłaby konta lu-

dzi przed wejściem w politykę i po wyjściu z niej. Padaly stwierdzenia, że wspaniały byłby świat, w którym politycy nie kradną, a jednocześnie słyhać było, że ludzie już nie wierzą, że coś z tym można zrobić.

Niechęć do polityków też jest wspólna.
KF-B: ...ale nie jest „lepem”.
MW-T: Bo tu dochodzi kwestia braku ufania.
Nasi badani podkreślali, że żyjemy w czasach kłamstwa. 58 proc. uważa, że media kłamią, 72 proc. że manipulują, a 78 proc., że są podporządkowane celom politycznym. Nie wiadomo komu ufać. Chcielibyśmy transparentności i faktów, ale nawet jak one się pojawiają, od razu pada podejrzenie, że na pewno są zmanipulowane. Z założenia każda informacja, która do nas dociera i nie jest stuprocentowo spójna z tym, jak postrzegamy rzeczywistość, staje się wątpliwa.
Oczywiście, to nie jest wyłącznie polski problem, jednak dla mnie ten kryzys opinotwórczych mediów jest czymś porażającym. Coraz więcej osób ma poczucie, że nigdzie nie dowie się prawdy, więc zamykają się w swoich bańkach i jednostronnym widzeniu świata. Nieliczni starają się zde-rzać ze sobą komunikaty z różnych źródeł i poddawać je analizie. Jeśli już komuś ufamy to najbliższym. Autorytetami są dla nas rodzice, rodzeństwo, przyjaciółka.
KF-B: Co staje się pożywką dla zupełnie kosmicznych rzeczy. W zeszłym roku prowadziliśmy badanie – przez tydzień różne kobiety pokazywały nam co oglądają w Internecie. Odkryliśmy wtedy takie jego zakamarki, o których istnieniu nie miałyśmy pojęcia. Jeśli ktoś uważa, że oficjalny przekaz jest kłamliwy, to zaczyna szukać „prawdy” gdzie indziej, a wtedy łatwo odjechać w różne teorie spiskowe, pójść za jakimś „guru”, który ma proste rozwiązania na wszystko.

Rozumiem, że nieufność do polityków i do mediów, przekłada się na relacje? Dwie piąte badanych twierdzi, że woli, aby ich przyjaciele i osoby, którymi się otaczają mieli takie same poglądy jak one.
KF-B: Bo wszystko stało się polityczne. Nie raz słyszałyśmy, że możesz zacząć rozmawiać na dowolny temat- o węglu, warzywach, zimie – chwila nieuwagi i już lądujesz w centrum sporu światopoglądowego.

Dlatego, jak można wyczytać w waszym raporcie, wiele osób przestaje w ogóle ze sobą rozmawiać. W rodzinach podzielo-nych światopoglądowo, rozmowy przy

stole sprowadzają się do: czy możesz podać sałatkę? Albo: czy Jasio jeszcze ma katar?
MW-T: Są rodziny, w których gremialnie podejmuje się decyzję, że ponieważ polityka bardzo nas różni, bo na przykład ojciec i wuj mają skrajne przekonania, czytaj jeden głosuje na PiS, drugi na Koalicję Obywatelską, tematów politycznych przy rodzinnym stole nie poruszamy.
Myślę, że finalnie część z tych osób po prostu przestaje się przy tym wspólnym stole spotykać. Co ciekawe, aż 80 proc. naszych badanych ma świadomość, że Polska jest podzielona, tylko mało jest tych, którzy są gotowi to przełamywać.
KF-B: Bo praktycznie się tego nie uczymy. Kultury dialogu, otwartości na to, że ktoś może mieć inne zdanie. Niektórzy mówili nam, że dla nich to jest za duży dysonans poznawczy. Na przykład szwagier, którego bardzo lubią jest dobrym człowiekiem, a jednocześnie ma takie poglądy, które sprawiają, że im się to nie „klei”, więc wolą z nim nie dyskutować, żeby nie widzieć tej jego drugiej twarzy.

17 proc. badanych zdarzyło się zakochać znajomość z kimś, kto ma inne poglądy. Czytając wasz raport zastanawiałam się, jak to było kiedyś? Przecież ludzie wcześniej też się różnili, ale nie było chyba aż tak źle. Co podgrzewa ten rozłam?
MW-T: Nie wiem, czy umiem odpowiedzieć na to pytanie...Powiem tylko, że dla 85 proc. naszych badanych internet jest głównym źródłem informacji. I że 80 proc. styka się tam z hejtem, z podsycaniem lęku, gniewu. Co czwarta osoba przyznaje, że komentując coś w internecie nie przebieira w słowach. Traktuje ją jako przestrzeń, w której może się wyżyć, „skoro nie mogę wymienić ostrych poglądów przy rodzinnym stole”.

Lepiej „nawrzucać” komuś kogo się nie zna, niż ulubionej cioci.
MW-T: Dokładnie. Ale ja się cały czas zastanawiam nad twoim pytaniem – czy kiedyś było inaczej? Nie pytałyśmy o to wprost, jednak niektórzy odnosili się do przeszłości, na przykład do czasów komun-y. I szczególnie ci o pro-demokratycznych poglądach mówili, że wtedy nie było aż takiej wrogości między ludźmi. No, ale to jest grupa, która docenia demokrację, nawet jeśli uważa ją za niedoskonałą.

Kiedyś, też pewnych rzeczy nie wypadało mówić, a na pewno nie publicznie.
KF-B: Chyba się bardziej dbało o relacje, po prostu. Teraz jest takie tempo życia, że dla

niektórych nie jest aż tak ważne, że skłócając się z przyjaciółką z dzieciństwa, bo myśleli inaczej.

60 proc. badanych uważa, że ich pogląd jest jedyny słuszny i są gotowi go bronić. Co piąta osoba dopuszcza, że w ramach tej obrony można łamać prawo.
KF-B: Światopogląd mocno połączył się z moralnością. Na przykład to czy jesteś za, czy przeciw aborcji świadczy o tobie, definiuje cię we wszystkich aspektach. Kiedyś mam wrażenie, pogląd był bardziej odcrywany od tego, jak cię oceniano jako człowieka.
MW-T: Respondenci, których zaklasyfikowałyśmy jako Wojujących Demokratów mówili nam, że prawo ich zdaniem jest złe, skorumpowane, niehumanitarne, dlatego mają moralny obowiązek mu się przeciwstawiać. Dotyczyło to na przykład sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Takie prawo mnie nie obowiązuje-mówili nam.

Opowiedzcie o tych pięciu typach, które wyłoniłyście w badaniu. Często mówi się o dwóch obozach w Polsce, ale wasze badania pokazują, że to już jest nieaktualne.
KF-B: Najbardziej radykalni są Wojujący Autokraci i Wojujący Demokraci. Pierwsi stanowią 13 proc. badanych, drudzy 10 proc.. Bardzo dużą grupą są Niezdecydowani, czyli właściwie ludzie bez poglądów, jest ich 27 proc. Największą są Dyplomatyczni Demokraci, 33 proc. Dyplomatyczni Autokraci to 17 proc. badanych.

Zacznijmy od Wojujących Autokratów i Wojujących Demokratów.
KF-B: W gruncie rzeczy te dwie grupy są do siebie bardzo podobne. Uważają, że świat, który był dla nich atrakcyjny i który postrzegali jako dominujący, się chwieje. Albo dlatego, że partia opozycyjna doszła do władzy, albo dlatego, że świat się zmienia w kierunku, który im nie odpowiada. To oni najbardziej marzą o homogeniczności, żeby było tak jak oni uważają za słuszne. W obydwu grupach mocny jest podział na „my” i „oni”. Widać też po-błażliwe podejście do osób inaczej myślących, które są postrzegane jako głupsze, jako te, które nie rozumieją, albo które zostały omamione (przez ideologię, religię, PiS- do wyboru). Zarówno Wojujący Demokracji jak i Wojujący Autokraci mają silną potrzebę manifestowania swoich poglądów i są gotowi ich bronić za wszelką cenę, nawet w bliskich relacjach. Jest w nich więcej agresji.

Ludzie są zmęczeni złożonością świata.
Pragną prostych rozwiązań,
spokoju – że wszystko dookoła jest zrozumiałe,
zgodne z „moim” systemem wartości

A przyzwolenie na agresję wobec inaczey myślących?

KF-B: Mało kto powie wprost, że „hejtu-je” czy podzega do „hejtu”. Mówi się raczej o „walce o prawdę”.

MW-T: W tych grupach pojawiały się też takie głosy, że jeśli „biorę udział w demonstracji, w ważnej dla siebie sprawie i kontrdemonstranci agresywnie zaczepiają moją grupę, to mogę ich spacyfikować przy użyciu „ostatecznych środków”.

Czyli co, opluć? Zwyzywać?

MW-T: Nikt się nie przyznał, że da komuś fangę w nos. Ale między wierszami można było wywnioskować, że jest gotowość do użycia siły.

KF-B: I jedni, i drudzy uważają, że NASZE manifestacje są słuszne. MY możemy podważać prawo, jeśli występuje przeciwko NASZYM wartościom. Natomiast ci drudzy to jest jakiś motłoch. Standardy są podwójne. **MW-T:** Tym, co różni jednych od drugich, jest to, że Wojujący Autokraci jednoznacznie mówią, że silny przywódca rozwiązałby polskie problemy. Chcą Polski czystej. A Wojujący Demokraci – Polski otwartej, różnorodnej. Radykalność ich postaw jest wokół innej sprawy.

Co jest złego w wojującej demokracji?

Kiedy władza łamie prawo, nie przebiera w środkach. Czy pokazywanie tego, że te dwie grupy są w sumie podobne, nie jest wyrazem „symetryzmu”?

MW-T: Porównując te grupy, brałyśmy pod uwagę wyłącznie wskaźniki radykalizacji, których wyróżniłyśmy trzy: zamknięcie na dialog, gotowość do zachowań radykalnych i poziom autokratyzmu. Wojujący Demokraci mają bardzo wysokie wskazania we wszystkich kategoriach, poza autokratyzmem. I na tym się skupiliśmy w tym badaniu. Na gotowości do podjęcia radykalnych działań. Nie ocenialiśmy, która strona ma rację.

Kolejna grupa to Dyplomatyczni Autokraci. Brzmi jak oksymoron.

KF-B: Stanowią 17 proc. badanych. To osoby, które częściej mieszkają w mniejszych miastach i na wsiach. Uważają, że człowieka nie definiują jego poglądy, tylko to, czy jest dobrym sąsiadem, dobrym mężem, żoną, czy jest uprzejmy, życzliwy. Ich zdaniem kwestie światopoglądowe i polityczne powinny zostać w sferze prywatnej. Rozmowa o tym nie jest w dobrym tonie, ponieważ prowadzi do napięć i konfliktów. To są też osoby, które są dobrze nastawione na przykład do osób nieheteronormatywnych, uważają, że nie powinno się im odbierać praw. Część ma takich znajomych, dobrze o nich mówi...

...tylko, żeby się nie „afiszowały”?

KF-B: Oczywiście! Dopóki nie wychodzą na ulicę i nie „deprawują” ludzi, wszystko jest w porządku. To jest zresztą osobny wątek, ile osób nam opowiadało, nie tylko zresztą Dyplomatyczni Autokraci, jak się można zarazić homoseksualizmem od samego partrzenia na Paradę Równości... Niezależnie od tego co nam się wydaje, nadal jesteśmy konserwatywnym społeczeństwem.

W tej grupie jest też duży szacunek do autorytetu państwa, instytucji, urzędów, dlatego obrażanie prezydenta, premiera, bezczeszczenie flag, pomników jest przez nich bardzo źle odbierane.

Kolejni są Dyplomatyczni Demokraci.

MW-T: To najliczniejszy z typów. Stanowią 33 proc. badanych, co jest dość optymistycznym wynikiem. To są osoby, które częściej mają wyższe wykształcenie i raczej mieszkają w dużych i średniej wielkości miastach. W deklaracjach stawiają na dialog. Bardzo dużo mówią o tym, że różnorodność postaw jest dla nich oczywistością, że możemy się „pięknie różnić”. Twierdzą, że mają wśród znajomych osoby, które myślą zupełnie inaczej. Nie rezygnują też z rozmawiania na tematy, które mogą być kontrowersyjne.

Ale?

MW-T: Jak się tak trochę bardziej poskrobie, to się okazuje, że z jednej strony deklarują otwartość, a z drugiej nie są w stanie przyjąć, że ich światopogląd może nie być jedynym słusznym, i nie są gotowe pracować nad kompromisem. Mówią: „możemy się wysłuchać, wygłosić swoje stanowiska i tyle”. Nawet w tej grupie kompromis uznawany jest za słabość, porażkę. Oznacza de facto rezygnację ze swoich wartości.

Czyli nawet tu jest: albo „po mojemu, albo wcale”.

MW-T: W tej grupie pojawiały się też osoby, które wcale nie były pozytywnie nastawione do osób LGBT+. Oczywiście twierdziły, że mają prawo funkcjonować w społeczeństwie, wyrażać swoje poglądy, a nawet oczekiwania wobec państwa, ale gdyby chciały w jakiś zdecydowany sposób przekonywać do tego, co sądzą na temat rzeczywistości, agitować, to jest przesada. Manifestacje, demonstracje to dla Dyplomatycznych Demokratów też już za dużo. Jeśli dialog to wyłącznie spokojny, polegający na zaprezentowaniu stanowisk, potem można się rozejść.

To żaden dialog.

MW-T: No, właśnie. Nie prowadzi do konstruktywnego szukania rozwiązań tego jak się możemy w tej różnorodności spotkać. **KF-B:** Uważam, że jak na Anno Domini 2023 to i tak dobrze. A jaką wy macie otwartość na zmianę poglądów w ważnych dla siebie sprawach?

Osoby, które miały zapędy autorytarne, mówiły że „my, Polacy jesteśmy za głupi na demokrację”, „nas trzeba wziąć za mordę”

Słuszna uwaga. W niektórych żadnej. Do jakiej grupy same siebie zaliczyłyście?

KF-B: Chciałabym się pewnie znaleźć w Dyplomatycznych Demokratach, ale czuję, że skręcam albo już jestem w tych Wojujących. **MW-T:** Ja podobnie. A ty?

Zdecydowanie w Wojujących Demokratach. Miałam w sobie ogromną chęć do dialogu, próbowałam go nawet podejmować, ale się już wypaliło.

MW-T: I tę rezygnację słychać w wypowiedziach Wojujących Demokratów. A za nią idzie poczucie, że skoro tyle lat prób wykorzystywania demokratycznych narzędzi, demonstrowania swojego sprzeciwu nie przyniosło efektów, to znaczy, że teraz trzeba zacząć działać radykalnie.

KF-B: Ja mam wrażenie, że jeśli się okopiemy w takim wyższościowym tonie, to za daleko nie zajdziemy.

Kim są Niezdecydowani, ostatni z waszych typów?

MW-T: Ta grupa jest najbardziej przygnębiająca. Niezdecydowani, a jednocześnie zrezygnowani. To osoby, które na pytania o stosunek do różnych spraw najczęściej wybierały tak zwaną odpowiedź środka, czyli „trudno powiedzieć”, „nie ustosunkowuję się”, „nie mam zdania.”

KF-B: Częściej niż reszta nie biorą udziału w wyborach, zupełnie wycofują się w życie prywatne.

MW-T: Nie chcą się w nic angażować. Uważają, że polityka jest brudnym, dalekim od ich rzeczywistości światem. Przyznają, że nie wiedzą właściwie, co się dzie-

je na arenie politycznej, i nie śledzą tych konfliktów, bo to „generuje niepotrzebne nerwy”. Tkwią w stanie, który opisaliśmy jako przedłużającą się hibernację. Są skupieni na swojej codzienności i mają poczucie, że nieważne, jakie są rządy, ich osobistej sytuacji i tak to nie zmieni. Przygnębiające jest też to, że stanowią prawie jedną trzecią.

27 proc. „Niezdecydowanych” plus 33 proc. Dyplomatycznych Demokratów plus 17 proc. Dyplomatycznych Autokratów daje 77 proc. osób, które nie są nastawione bojowo. To skąd właściwie przesłanie o tym, że się radykalizujemy?

KF-B: Świadczy o tym kilka rzeczy. Po pierwsze, ogromna większość zgadza się z tym, że nasze społeczeństwo jest skonfliktowane i że temperatura tego sporu jest tak wysoka, że nie da się już właściwie ze sobą rozmawiać. Po drugie, co piąta osoba życzy śmierci komuś, z kim się nie zgadza. Co piąta chciałaby silnej władzy. No i ta dramatyczna utrata wiary w demokrację.

Jest jeszcze jeden wskaźnik. Prawie połowa badanych uważa, że ukraińscy uchodźcy w Polsce nie powinni dostawać świadczeń socjalnych. Stąd już krok od tego, żeby sądzić, że w ogóle powinny im przysługiwać mniejsze prawa.

MW-T: No i to jest ciekawa dana. Bo jednocześnie bardzo dużo osób mówiło nam, jak ważne było dla nich to niezwykle doświadczenie wspólnoty, które połączyło Polaków bezpośrednio po wybuchu wojny, kiedy to

jest dialog, oraz docenili jego wartość. Jedno jest pewne, oglądając transmisje sejmowe czy debaty polityków, tego się nie nauczymy.

To gdzie można się tego uczyć?

MW-T: Chociażby w tych naszych mikroswiatach. Jako rodzic czuję na sobie odpowiedzialność uczenia dialogu dzieci w mojej rodzinie. Marzą mi się szkoły, w których organizowane są debaty, gdzie dzieci uczą się, jak rozmawiać z poszanowaniem różnych stanowisk, jak słuchać ze zrozumieniem. Ale żeby to się udało muszą zaistnieć pewne warunki.

Na przykład jakie?

MW-T: Przestrzeń do dialogu otwiera się wtedy, kiedy jedna ze stron, ta, która dokonała jakiejś krzywdy, albo popełniła błędy, potrafi się do tego otwarcie przyznać. To pozwala z jednej strony te krzywdy, czy te błędy wybaczyć, a z drugiej otwiera pole do rozmowy ze wzajemnym szacunkiem.

Dziś tego przyznawania się do błędów brakuje. Politycy tego nie robią. Nie mówią, że coś im się nie udało, że gdzieś się pomylili, coś zaniedbali, że jakieś decyzje były zły. Nawet, jeśli ktoś się podaje do dymisji i wiadomo kto i co zepsuł, nie idzie za tym komunikat: to moja wina.

Słowo „przepraszam” wypadło ze słownika w przestrzeni publicznej.

KF-B: Również w prywatnych, czy w zawodowych rozmowach stało się słowem, które z jakiś powodów lepiej omijać.

Co się może stać, jeśli zamknięcie na dialog, zgoda na użycie siły, tęsknota za silnym przywódcą będą się nasilać?

KF-B: Do władzy dojdą partie jeszcze bardziej populistyczne.

Wojna domowa?

KF-B: Chyba jednak, nie. Bo przy podnoszeniu temperatury tego sporu toczą się równoległe dwa procesy. Z jednej strony radykalizacja, a z drugiej- wycofywanie ze sfery publicznej, wspólnotowej, o czym świadczy liczna grupa Niezdecydowanych. Tego czego bym się chyba najbardziej obawiała to narastający egoizm. Państwa, w którym każdy troszczy się wyłącznie o siebie.

MW-T: Lęk o podstawowe potrzeby, o byt jest przepotężnym motorem do tego, żeby się coraz bardziej radykalizować. Jak ten proces przebiega świadczą chociażby lata 30. ubiegłego wieku. I jak myślę o czarnym scenariuszu to głównie myślę o młodych, o pokoleniu naszych dzieci.

Wczoraj słuchałam sejmowej debaty o polityce mieszkaniowej, w której poseł Franek Starczewski mówił, że połowa Polaków do 35. roku życia mieszka z rodzicami, bo nie stać ich na wynajem, a już na pewno nie mają szansy na kredyt. Gdzie będą ci młodzi ludzie za pięć, dziesięć lat? Jak ich lęki i frustracje będą karmione? W kontekście wyników naszych badań najbardziej przeraża mnie to, że te rosnące frustracje robią miejsce dla charyzmatycznej liderki, czy lidera, którzy chętniej odwołają się do tych tęsknot za mikro-komfortem, za tym, żeby się nie martwić czy starczy mi do pierwszego, kosztem wolności, poszanowania prawa, nie wiadomo czego jeszcze.

Jednocześnie, jak wynika nie tylko z waszych badań, młodzi w większości nie interesują się polityką, a demokrację uważają za system przestarzały, zdegenerowany.

MW-T: Tym bardziej jest się czym martwić. ●

Badanie pt. **„Twarze polskiej radykalizacji”** przeprowadził zespół ośrodka badawczego „Ciekawość” (www.ciekawosc.to) : Katarzyna Bator, Anna Buchner, Katarzyna Fereniec-Błońska, Marta Filippek, Katarzyna Kalinowska, Maria Wierzbička-Tarkowska – na zlecenie Komitetu Dialogu Społecznego KIG i Laboratorium „Więzi”.

Kiedy wypłynie następna taśma

Plan wrogów Morawieckiego: umoczyć go w rosyjskie powiązania, zanim przejmie TVP.

Dominika Wielowieyska



Ostatnie manewry obozu rządzącego tylko pozornie są wymierzone w Tuska. Tak naprawdę mogą uderzyć w Mateusza Morawieckiego. Zbigniew Ziobro i jego sojusznicy w PiS bardzo na to liczą.

W 2021 r. pisaliśmy, że w sprawach Ciechu i PKP Cargo celem dla prokuratury może być także Morawiecki i jego ludzie. Prokuratura Ziobry od lat ściga urzędników i menedżerów państwowych spółek z czasów rządu PO-PSL. W dwóch śledztwach – Ciechu i PKP Cargo – pojawiają się banki BZ WBK i PKO BP. To mógł być powód, dla którego śledztwa ciągną się w nieskończoność: bo pozwalają trzymać na celowniku Morawieckiego i Zbigniewa Jagiellę. Jagiellę już nie ma w fotelu szefa PKO BP, ale konflikt między Ziobrą a Morawieckim nie wygasł.

Ostatnimi czasy dwie sprawy wróciły do politycznej agendy.

Pierwsza: warszawska prokuratura okręgowa wszczęła śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień w 2014 r. przez Tuska. Zawiadomienie w listopadzie złożył Marek Falenta, a chodziło o spółkę Składy Węgla. Tusk miał bezprawnie nakazać kontrolę tej firmy „w celu wymuszenia zaprzestania importu węgla z Federacji Rosyjskiej i działania tym samym na szkodę interesu prywatnego ww. spółki”.

Pierwsza myśl była taka: PiS upadł na głowę, bo chce teraz ścigać Tuska za to, że blokował sprowadzanie „ruskiego” węgla. A przecież były premier cały czas jest oskarżany przez rządzących, że był nazbyt uległy wobec rosyjskiego lobby. Coś się tu nie spina. Tym bardziej że ową drugą sprawą jest komisja, która ma zbadać wpływ rosyjskie w Polsce – w założeniu wszechwładna i bezkarna, w istocie mogąca skazać na śmierć cywilną i polityczną na dobrą sprawę każdego, a na jej celowniku ma być przede wszystkim właśnie Tusk.

Może jednak w obu sprawach nie lider Koalicji Obywatelskiej jest prawdziwym celem, ale Morawiecki, z którym Zbigniew Ziobro od dawna prowadzi wojnę. Ta walka będzie się nasilać, bo dotyczy podstawowego pytania: kto zagospodaruje polityczną schedę po Kaczyńskim, a właściwie: kto jaką część jej przejmie, bo trudno zakładać, by obóz PiS utrzymał jedność w dłuższej perspektywie. A na krótką metę chodzi o to, by Ziobro mógł szachować Nowogrodzką rozmaitymi śledztwami prokuratorskimi i w ten sposób wynegocjować dla swoich ludzi dobre miejsca na listach wyborczych. Lider kiedyś Solidarnej, a teraz Suwerennej Polski, cały czas się boi, że Kaczyński go wyprowadzi w pole, dając miejsca „niebiorące” i sprowadzając koalicjanta do roli politycznego kadłubka bez znaczenia.

Jeśli chodzi o przyczynę powrotu śledztwa z doniesienia Falenty, to Ziobro może zakładać, że dzięki temu powróci afera podsłuchowa, w której został nagrany Morawiecki. Opinia publiczna odświeży sobie pamięć o dawnych czasach, kiedy to obecny premier był dobrym kolegą ludzi związanych z Platformą Obywatelską i był doradcą Donalda Tuska. Do mediów wyciekło tylko jedno nagranie z Morawieckim, choć z akt śledztwa wynika, że mogło być jeszcze jedno. Ciekawe, bo dzisiejszy premier miał na nim rozmawiać z kimś o kupowaniu czy kredytowaniu nieruchomości na podstawione osoby. Może w kampanii ta taśma wypłynie zupełnie zniecka? Pisał o tym niedawno w „Wyborczej” Wojciech Czuchnowski.

W komisji badającej wpływy rosyjskie Ziobro może się politycznie pożywić i osłabić premiera. Publicznie mogą być podnoszone wątki związane z Bankiem Zachodnim WBK, którego Morawiecki był prezesem.

To ten bank rekomendował w grudniu 2011 sprzedaż PKP Cargo kolejom rosyjskim. W 2021 r. były prezes PKP Jakub Karnowski napisał na Twitterze: „10 lat temu BZ WBK, którym kierował Mateusz Morawiecki, rekomendował PKP S.A. sprzedaż PKP Cargo inwestorowi branżowemu lub finansowemu. Na krótkiej liście były Koleje Rosyjskie kierowane przez W.Jakunina, przyjaciela Putina. Zablokowałem tę transakcję. #ruskiład”.

Falenta, węgiel, PKP Cargo, TK Telekom, Azoty – rozmaite wątki rosyjskie można połączyć tak, by Morawiecki co rusz wyskakiwał jak królik z kapelusza

Co ciekawe, spółka Hawe kontrolowana przez Falentę wygrała w 2012 r. proces prywatyzacyjny na zakup TK Telekom. Ówczesne władze unieważniły ten proces w lutym 2013. Możliwe, że Rosjanie chcieli ten segment kontrolować. TK Telekom to operator, który posiada szkieletową sieć światłowodową i obsługuje głównie grupę PKP. Falenta mógł potem tego atutu użyć do rozliczeń ze swoimi rosyjskimi partnerami, z którymi handlował węglem. Można sprawnie połączyć te rozmaite wątki rosyjskie tak, by Morawiecki co jakiś czas wyskakiwał jak królik z kapelusza.

Poza tym w 2017 r. w trakcie sejmowej debaty nad wotum zaufania dla Morawieckiego PO zarzuciła mu pośrednictwo w próbie wrogiego przejęcia spółki skarbu państwa przez BZ WBK. Dom maklerski tego banku pośredniczył w próbie przejęcia Azotów Tarnów przez rosyjską spółkę Acron. Zarzut jest wyjątkowo poważny, ponieważ walka o utrzymanie Azotów – największej polskiej spółki produkującej nawozy – pod kontrolą skarbu państwa była jednym z najgorętszych tematów latem 2012. „Rosyjska spółka Acron kupiła w wezwaniu ponad 7 mln akcji Zakładów Azotowych Tarnów” – podał pośredniczący w wezwaniu dom maklerski BZ WBK w lipcu 2012. „Walory te stanowią 12,03 proc. wszystkich akcji spółki” – brzmi depesza PAP z 19 lipca opublikowana na kilkunastu portalach biznesowych.

Rosjanie przy próbie przejęcia Azotów nie tylko korzystali z usług domu maklerskiego BZ WBK, lecz także mieli otwarte możliwości finansowania transakcji z kredytu w tym banku. Jednak rząd PO – PSL z pomocą instytucji finansowych obronił swoją pozycję w spółce i zapobiegł wrogiemu przejęciu.

Owszem, wtedy biznes nie dostrzegał takich zagrożeń ze strony Rosji. Nie jeden Morawiecki robił to, co robił. Jednak z dzisiejszej perspektywy, a także biorąc pod uwagę retorykę PiS, który oskarża, kogo się da, o uległość wobec Putina, historia z Azotami wygląda następująco: Morawiecki pomagał Rosjanom, a Tusk zablokował wrogie przejęcie przez rosyjski kapitał.

W wojnie gospodarczej Zachodu z Rosją to, do kogo należą Azoty, okazało się nie bez znaczenia. Azoty były i są ważnym graczem na rynku rolnym. A w czasie zawirowań z cenami nawozów, co z kolei było związane z kryzysem energetycznym i wojną w Ukrainie, mogły być instrumentem destabilizacji lub stabilizacji rynku. Inna sprawa, że PiS w tej sprawie sobie nie poradził i nie potrafił stabilizować rynku przy pomocy Azotów. I także dlatego rolnicy są wściekli na rząd, bo pokupowali nawozy w kosmicznych cenach, a potem cena gwałtownie spadła i wyszło na to, że sporo przepłacili. Ale kwestia nieudolności PiS to zupełnie inna historia.

Kolejnym wątkiem jest trzymanie jako podejrzanych o wyłudzenie milionów z ZUS i PFRON byłego senatora Tomasza Misiaka i szefa Konfederacji Lewiatan Macieja W. To też może mieć związek z polityczną wojną w rządzie i być wymierzony w premiera – spekulowały media. Spekulacje wzięły się być może stąd, że Misiak i Morawiecki pochodzą z Wrocławia, tu zaczynał publiczne kariery. Media pisały, że Ziobro od dawna szuka „układu wrocławskiego”, takiego z Morawieckim.

Wszystkie te opowieści mogą się pojawić na posiedzeniach komisji badającej wpływy rosyjskie, o ile prezydent Duda podpisze ustawę powołującą ją do życia. TVP będzie na żywo nadawać obrady komisji i trudno będzie, ot tak, ucinąć transmisję, gdy pojawi się wątek Morawieckiego, Azotów itd.

To dla Ziobry ważne, bo właśnie telewizja państwowa to kolejna sprawa, która martwi Solidarną/Suwerenną Polskę. Za prezesury Jacka Kurskiego ludzie Ziobry mogli liczyć na jakieś względy TVP, która pozostaje głównym kanałem dotarcia polityków do wyborców Zjednoczonej Prawicy. Teraz, gdy telewizją zarządza Mateusz Matyszkowicz, sprawa się komplikuje. Matyszkowicz właśnie za zgodą Nowogrodzkiej wyrzucił z Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Jarosława Olechowskiego, człowieka Kurskiego. Wobec tego sytuacja kandydatów SP może się pogorszyć. Być może panowanie nad telewizją przejmie Morawiecki, który zamierza promować samego siebie. TVP nadal będzie służyć PiS, ale teraz jej głównym celem będzie zwiększenie popularności premiera u twardego elektoratu tak, aby dać mu w przyszłości lepszy start w walce o spuściznę po Kaczyńskim. To zła wiadomość dla Ziobry, a także jego sojuszników: szefa MON Mariusza Błaszczaka, ministra aktywów państwowych Jacka Sasina oraz byłej premierki Beaty Szydło. Stąd gorączkowe szukanie historii, które mogą uderzyć w premiera. ●

Wolność religijna zagrożona

Przez faceta, który ukradł teczkę.

Magdalena Czyż

Chcąc naprawić rękę opadającą. Istnieje bowiem jakieś prawdopodobieństwo, że pomimo usilnych działań sabotażowych Hołowni i Zandberga opozycja cudem zdobędzie większość po wyborach. A jeśli tak się stanie, będzie to oznaczać rewolucję w debacie o miejscu Kościoła w Polsce i debacie o istocie samego Kościoła w naszym kraju. Jest truizmem mówienie, że nastąpi zwrot o 180 stopni.

Wydawać by się zatem mogło, że środowiska opiniotwórcze związane z Kościołem zaczną myśleć o przygotowaniu do czekającej je rewolucji. Pomyślą, że może warto się pochylić nad kierunkiem bądź kierunkami tej rewolucji i wyjść im naprzeciw? Dla dobra nie tylko samego Kościoła, lecz także dobra dyskusji publicznej jako takiej.

Tymczasem zastępca naczelnego „Gościa Niedzielnego” Bogumił Łoziński postanawia na łamach swojego tygodnika przedstawić raport Laboratorium Wolności Religijnej działającego w ramach fundacji Pro Futuro Theologiae przy Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. „Raport przedstawiający przypadki naruszenia prawa do wolności religijnej w Polsce” – taki tytuł nosi to opracowanie.

„Z raportów laboratorium wynika – pisze Łoziński – że w 2019 r. wolność religijna została w Polsce naruszona 72 razy. Rekordowy pod tym względem był rok 2020, kiedy doszło aż do 311 takich aktów. Ten ponadtrzykrotny wzrost związany był z październikowym wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego uznającego aborcję eugeniczną za niekonstytucyjną. W następnym roku odnotowano o połowę mniej – 158 – podobnych aktów, czyli wciąż dużo więcej niż w 2019 r. Rok 2022 miał pokazać, czy gwałtowny wzrost liczby aktów przeciwko wolności religijnej był jednorazowy, związany z wyrokiem TK, czy też tendencja ta będzie się utrzymywać. Z ostatniego raportu dowiadujemy się, że w 2022 r. doszło do 130 takich przypadków, a więc o 28 mniej niż rok wcześniej. Można stąd wysnuć wniosek, że liczba ataków na wolność religijną maleje, jednak i tak jest na wysokim poziomie”.

130 przypadków rocznie oznacza, że statystycznie co trzy dni mamy w Polsce przeprowadzony atak na wolność religijną. To cholernie często i dużo!

Tylko pytanie: na czym te ataki polegają? Łoziński przytacza kilka przykładów: „W sierpniu w jednej z parafii w Zabrze mężczyzna z pistoletem w ręku zażądał wydania pieniędzy. Gdy proboszcz odpowiedział, że nie ma kosztowności, a w budynku jest jeszcze gospodyni, uciekł. Z kolei w grudniu w Jasle mężczyzna napadł na księdza chodzącego po kołędzie, ukradł mu teczkę i uciekł”.

Serio?! To mają być argumenty w dyskusji o wolności religijnej w Polsce? Czy Łoziński naprawdę uważa, że ze zwykłych napadów rabunkowych da się zrobić zamachy na wolność religijną? Z drobnych złomiarzy kradnących dzwon z przykościelnej dzwonnicy da się zrobić nienawistnych zamachowców na wiarę katolicką? Czy może tylko próbuje ze swoich czytelników robić idiotów?

Na szczęście dla Łozińskiego i fundacji Pro Futuro Theologiae nie mam już miejsca na inne przytoczenia z tego raportu. Pozwolę sobie tylko zasugerować, że jeśli jakieś środowiska katolickie chcą być poważnie traktowane w czekającej nas dyskusji o Kościele, to niech zaczną używać poważnych argumentów. I może też dobrze by im zrobiło, gdyby niektórzy, pożałuj Boże, raporty, choćby dla dobra ich autorów, przemilczały. ●

NAWET ATEISTA JEST KATOLIKIEM

FOT. NAC

Przesłanie Kościoła zawiera w sobie najpiękniejsze zdania ludzkiego języka

Stefan Chwin*

W całym kraju kościoły są puste. Żadnej mszy. Jak w Kanadzie wykupują je stowarzyszenia dobroczynne i przedsiębiorstwa rozrywkowe, przerabiając świątynie na domy kultury ozdobione organami. Ani jedno dziecko nie chodzi na religię, bo religii nie ma ani w salkach parafialnych, ani w szkołach. Nikt nie przystępuje do komunii i nikt się nie spowiada. Żadnych pielgrzymek. Wreszcie Polacy są wolni od religijnych strachów, stresów, złudzeń i nadziei, mogą więc budować swoją naprawdę nową, lepszą przyszłość.

Wizja taka, jak sądzę, nie wszystkich zmartwi, czy jednak ma w sobie choćby pozor realizmu? Mimo fali dążeń sekularyzacyjnych religie w dzisiejszym świecie trzymają się mocno, bo znaczna część ludzkości nadal nie wyobraża sobie życia bez nich. Trudno wyjaśnić, dlaczego tak jest, ale globalna statystyka mówi, że ludzie, którzy potrzebują wiary w tego czy innego Boga, jest na Ziemi znacznie więcej niż ludzi, którzy takiej potrzeby nie odczuwają. Być może jest ona uwarunkowana ewolucyjnie czy wynika z egzystencjalnych doświadczeń człowieka (psychoanaliza miałaby tu z pewnością wiele do powiedzenia), ale istotniejszy wydaje się sam fakt, że ateistów jest na świecie, jak dotąd, raczej niewielu, a ich liczba w skali globalnej nie rośnie lawinowo. Mimo to ruchy oświeceniowe zawsze marzyły – i marzą nadal – o wyzwoleniu ludzi z religijnych urojeń czy przesądów. Tymczasem religie – nawet jeśli słabną – bynajmniej nie znikają, tylko przybierają nowe formy.

Wiele opowieści – od epickiej o hobbithach i pierścieniu, gdzie swoim ofiarniczym cierpieniem zbawia ludzkość niejaki Frodo, po komiksową o Batmanie, w której gotowy na każde poświęcenie dla ludzkości jest człowiek nietoperz – ma w sobie więcej religijnych reminiscencji, niż myślimy, i właśnie nim zawdzięczają swoją siłę. Struktura opowieści i zakrój mitu pobrzmiewają w nich wieloma podobieństwami do ksiąg świętych. Dowodzą one, że nasze potrzeby religijne nie wygasają, nawet jeśli ludzie przestają chodzić do Kościoła.

W XIX wieku i na początku XX światem zachodnim wstrząsnęła prawdziwa rewolucja światopoglądowa, związana z takimi nazwiskami jak Darwin, Nietzsche, Marks czy Freud, której konsekwencje dają znać o sobie do teraz. Rewolucja ta głosiła m.in., że człowiek jest zwierzęciem społecznym pośród innych gatunków, że wyłonił się z natury drogą ewolucji, a swój świat społeczny konstruuje na podstawie wielu różnych ideowych



projektów i aksjologicznych prawd. Odtąd w naszej cywilizacji wiara zaczęła żyć w cieniu niewiary w sposób bardziej jawny niż dotąd.

W społeczeństwach tej cywilizacji ściągają się ze sobą – z grubsza rzecz biorąc – dwie grupy ludzi. Pierwsi potrafią żyć w nowoczesnym świecie wielu prawd bez poszukiwania przemiennej fundamentu przekonani moralnych w sferze nadprzyrodzonej, etykę uzasadniają bowiem racjonalnie, co im zupełnie wystarcza.

Drudzy nie tylko nie potrafią, ale i nie chcą żyć w takim świecie, który przeraża ich jako najgłębiej im obcy. W rozdyktowanym świecie cywilizacji demokratycznej szukają autorytetu niewątpliwego, żelaznego punktu oparcia, bez którego życie wydaje się im niemożliwe. Tym ludziom religia – i Kościół – będą zawsze potrzebne. Jeśli lgną oni do Kościoła, to głównie dlatego, że mogą tam znaleźć takie oparcie.

Ludzie zdolni do życia w świecie wielu prawd przeciwnie: uważają życie za przestrzeń wiecznej dyskusji i rozwiązań zawsze prowizorycznych, na których – mimo ich prowizoryczności – można jednak budować mądre i uczciwe życie jednostek i społeczeństw.

Jeśli potraktować sprawę statystycznie, dziś w Polsce jest wielu ludzi zdolnych do życia w świecie wielu prawd, ale wciąż nie jest to, jak sądzę, większość. Empiria mówi nam, że klimat moralny w Polsce, mimo zróżnicowania społeczeństwa, ma zabarwienie chrześcijańskie. Dotyczy to także ludzi niewierzących, bo większość z nas przechodzi w dzieciństwie chrześcijańskie wtajemniczenie, co zostawia w naszych duszach trwałe ślady, nawet jeśli w dorosłości od Kościoła odchodzimy.

W tym sensie prawdą jest aforyzm, który usłyszałem niedawno, że w Polsce nawet ateista jest katolikiem. Mimo swoich niepokojących stron polski katolicyzm dawał o sobie wiele razy znać w dobry sposób, chociaż nie zawsze chcemy o tym pamiętać, zirytowani prawicową polityką eklezji. Wiemy też aż nazbyt dużo o sil-

wicowy, bo wynika z podskórnej obawy, że procesy, które zaczęły się w epoce Oświecenia, będą się nasilać, i to z niedobrym dla Kościoła skutkiem. Po prostu znaczna część kapłanów i wiernych ma coraz silniejsze poczucie, że Kościół – i to nie tylko w Polsce – tonie. I nikt spoza Kościoła nie rzuca mu koła ratunkowego.

Kwitować to wszystko wygodnym twierdzeniem, że Kościół ma absurdalny kompleks oblężonej twierdzy, że zżera go urojone poczucie zagrożenia, jest niezbyt rozsądne, ponieważ to zagrożenie jest najzupełniej realne. Są na całym świecie środowiska, które z pewnością przyjmą z ulgą jego społeczną marginalizację.

Dążenia do wyzwolenia ludzkości z – jak to bywa określane – „religijnego zabobonu” wciąż trwają, od co najmniej końca XVIII wieku. Naprzeciw Kościoła stoi dziś nie żadna „cywilizacja śmierci”, ale potężna cywilizacja Oświecenia, która nie podziela z nim poglądów na wiele spraw podstawowych, a nawet aktywnie dąży do tego, by oddziaływanie Kościoła na społeczeństwa ograniczyć, na przykład w sferze przekonań moralnych.

Okoliczności te silnie wpływają na samopoczucie Kościoła (także polskiego), które wbrew triumfalistycznej frazeologii dalekie jest od bojowego optymizmu. Kościół czuje, że znika, przynajmniej w wielu miejscach na świecie.

Pod zapewnieniami o nieuchronnym zwycięstwie Chrystusa czy manifestacjami „w obronie dobrego imienia papieża” kryją się frustracja i nastroje depresyjne, czasem przerażające się w agresywne reagowanie na najbardziej nawet usprawiedliwioną krytykę.

Dlatego Kościół nieufnie odnosi się do wszelkich akcji nawet własnych wiernych, które mają na celu uzdrowienie go z wciąż nierozliczonych grzechów. Podnoszenie (od stosunkowo niedawna) w przestrzeni publicznej w Polsce i (od dawna) na świecie kwestii pedofilii skutkuje m.in. tym, że dzisiaj w oczach wielu Polaków – szczególnie

Sprawy te ukrywałbym też przed polskimi katolikami, którzy podlegali naciskom komunistycznego państwa, jawnie i skrycie dążącego do osłabienia Kościoła, a duże wiernych chciało osłabić, szczególnie wszelkimi informacjami o brudzie wśród kleru. Ukrywając pedofilię, papież w tamtej sytuacji postępował rozsądnie, co wcale nie znaczy, że słusznie. Taka jest moja opinia w tej sprawie.

W jednym tylko punkcie postępowałbym dużo surowiej niż papież. Księżę pedofilów nie przenosiłbym z jednej parafii do drugiej, tylko zamykałbym ich w klasztorach, licząc na ich przemianę i poprawę. Jeśli zaś chodzi o ofiary księży pedofilów, Kościół powinien i wówczas, i dziś również otoczyć je opieką psychologiczną i materialną, czego papież, niestety, nie robił, a do czego także dzisiejszy Kościół się nie pali.

Nie sprawiłaby mi natomiast żadnej satysfakcji świadomość, że ten czy inny ksiądz został sprawiedliwie wsadzony do więzienia i gnije tam za swoje pedofilskie skłonności, regularnie gwałcony przez współwięźniów, bo takie postępowanie z ludźmi skazanymi za przestępstwa seksualne w zakładach karnych należy do reguły, o czym dla własnej wygody nie chcemy nawet słyszeć. Psuje to nam klarowny obraz rzeczy.

Klasztor na izolację może dorównywać więziennej, jeśli jest ścisła. Co do samych pedofilów – obojętnie czy ze stanu duchownego, czy nie – uważam, że żaden normalny człowiek nie dopuszcza się takiego krzywdzenia dzieci, a jeśli to robi, nie jest człowiekiem normalnym, dlatego nie należy go wsadzać do więzienia.

Pedofile powinni być poddawani terapii w zakładach psychiatrycznych albo umieszczani w klasztorach również pod pieczą psychiatrów.

Jeśli ktoś powie, że pedofil nie jest człowiekiem chorym, tylko po prostu zwykłym przestępcą, nie zgodzę się z taką opinią.

Niedawne ujawnienie postępowania papieża w sprawie pedofilii wśród księży nie zmienia mojej postawy wobec niego, ponieważ nie mam zamiaru popadać w antypapieskie wzmożenie, którego niechlubnym przykładem jest dzisiaj obławianie pomników Jana Pawła II farbą. Karol Wojtyła w sprawie pedofilii w Kościele postępował źle, ale w tamtej przekłetej sytuacji robił to, do czego – i o tym należy pamiętać – zmuszały go ówczesny kościelny obyczaj i fatalne okoliczności, choć i w tamtych warunkach mógłby na pewno zrobić znacznie więcej.

To, czego się dowiadujemy dzisiaj, nie powinno jednak przesłaniać całej biografii człowieka, któremu wiele zawdzięczamy. Nie chodzi tutaj tylko o jego rolę polityczną w walce z komunizmem, która była znaczna. Myślę przede wszystkim o prawdziwym wzmocnieniu duchowym, jakie stało się udziałem wielu z nas – także niewierzących – właśnie dzięki jego pojawieniu się pośród nas w bardzo niedobrych czasach. Była to postać potężna, która – mimo błędów – pod wieloma względami dobrze zaznaczyła się w panoramie polskiego i światowego losu i warto o tym pamiętać. Należy bronić papieża przed polityczną instrumentalizacją jego osoby, z której nic dobrego nie może wyniknąć, ale równie mocno należy bronić też prawa uczonych i dziennikarzy do poszukiwania prawdy o jego życiu.

Uważam również, że nie warto uderzać w Kościół, korzystając z papieskiej „okazji”, co jednak niektórzy z nas robią. Żelazne prawo polskiej polityki na razie brzmi: kto podnosi rękę na polskiego papieża – a tak bywają odbierane medialne próby weryfikacji tradycyjnego obrazu Jana Pawła II – popełnia polityczne samobójstwo, radykalnie obniżając swoje szanse na poszerzenie własnego elektoratu.

Rzecz bowiem w tym, że Jana Pawła II naprawdę nadal kochają miliony Polaków. Kampanie ozdrowieńcze, prowadzone w najszlachetniejszych nawet intencjach, mogą tę miłość mocno zranić.

Człowiek mądry mówi o papieżu prawdę, nawet bolesną, ale stara się nie zranić tej miłości, bo wielu ludziom w Polsce jest ona po prostu potrzebna do życia. Wskazując na błędy papieża, należy mówić także o dobrych stronach jego działalności i nauce.

Przynajmniej jedno wydarzenie w historii Polski – Sierpień 1980 – nie byłoby możliwe w takim kształcie, gdyby nie chrześcijańska barwa polskiego życia. Można w polskim katolicyzmie widzieć sporo represyjnych elementów, ale to właśnie chrześcijańska skłonność do wybaczenia wrogom, której nas mimo wszystko uczył Kościół, przypomnienie, by także w nich widzieć ludzi, miało swój istotny wkład w rozwój zdarzeń. Szkoda, że dzisiaj ta skłonność nie daje o sobie znać tak, jak wtedy.

Myślę też, że to właśnie chrześcijańska barwa życia sprawiła, że po upadku komunizmu nie doszło w Polsce do krwawych rytuałów zemsty, że dawni wrogowie potrafili usiąść przy wspólnym stole i podać sobie ręce, w czym Kościół odegrał ważną rolę. Nie sądzę, by zamordowanie Jaruzelskiego, tak jak został zamordowany w Rumunii Ceausescu, w istotny sposób polepszyłoby bieg polskiej historii, chociaż byli w Polsce – i nadal są – tacy, którzy uznaliby to za sprawiedliwy wyrok historii.

Właśnie pokojowa transformacja – dzisiaj chętnie znieśławiana przez epigonów katolicyzmu endeckiego – była możliwa tylko dlatego, że nawet niewierzący Polacy mieli w sercach szacunek dla słów Jezusa, które zawsze nieodmiennie szokowały, bo niosły trudne wezwanie – „kochajcie nieprzyjaciół waszych”.

Nie widzę ani potrzeby, ani celu w tym, by z polskiej kultury w imię jej „unowocześniania” usuwać wskazania tak przejmujące i mądre, jak „jeśli uderzą cię w policzek, nadstaw drugą”.

To te właśnie słowa w dziejach świata stały się etycznym przełomem na miarę wieków. Były wezwaniem do przerywania błędnego kręgu zemsty, a w naszym polskim życiu – może nie aż w takim radykalnym sensie – choćby w pewnym stopniu tonują naszą zaciełość i chęć rewanżu, które chrześcijaństwo odrzuca, wzywając do wybaczenia i przebaczenia.

Znaczna część Polaków zachowuje dystans wobec Kościoła dlatego, że Kościół – przerażony i ciężko sfrustrowany procesami sekularyzacji zachodnich społeczeństw, a także przemianami, jakie zachodzą w polskim – szuka dzisiaj ratunku w politycznych sojuszach, licząc, że wzmocnią one jego nadwątloną pozycję.

Wielu z nas widzi dzisiejszy Kościół jako do gruntu „pisowski”, nawet jeśli w Kościele istnieją środowiska niepisowskie, ci więc, którzy nie cierpią PiS-u, w naturalny sposób swoją niechęć do tej prawicowo-konserwatywnej partii przenoszą właśnie na eklezję.

Niestety – co proroczo zapowiadał Czesław Miłosz w eseju „Państwo wyznaniowe?” ogłoszonym na początku transformacji – Kościół polski naprawdę wchodzi w silne związki z pisowskim państwem, które z kolei czuje się od poparcia ze strony Kościoła zależne, dlatego przed każdymi wyborami czyni wiele ustępstw i gestów, by hierarchia zechciała nakłonić wyborców do stosownego głosowania.

Kościół skutecznie naciska na wprowadzanie do polskiego porządku prawnego elementów państwa wyznaniowego, traktując jako oczywiste choćby żądanie podporządkowania prawa wartościom chrześcijańskim, czego rezultatem są m.in. wzburzające oburzenie wyroki Trybunału Konstytucyjnego w sprawie prawa aborcyjnego. Jeśli rzeczy nadal będą się toczyć obecnym trybem, może to doprowadzić na przykład do odebrania prawa do rozwodu czy do zakazu sprzedaży środków antykoncepcyjnych.

Znaczna część kapłanów i wiernych ma coraz silniejsze poczucie, że Kościół – i to nie tylko w Polsce – tonie.

I nikt spoza Kościoła nie rzuca mu koła ratunkowego

nym w Polsce katolicyzmie endeckim, który potrafił i nadal potrafi się stawać ideologią nienawiści, nietolerancji i plemiennej zemsty.

Kościół w Polsce też to wszystko wie, dlatego dużo bardziej boi się nieortodoksyjnej metamorfozy religijnych uczuć Polaków niż prostego ateizmu, z którym świetnie sobie poradził w komunistycznych czasach. Dominującą tonacją, w której żyje dziś polskie duchowieństwo, jest skrywane lub jawne przerażenie, chociaż z ust hierarchów nie schodzi magiczne zaklęcie, że wbrew wszelkim wrogim zakusom bramy piekielne Kościoła nigdy nie przemogą.

Kościół boi się form nowej duchowości, które zagospodarowują po swoim jego terytoria. Ale boi się też religijnego indyferentyzmu, w którym widzi zatruty owoc cywilizacji konsumpcyjnej, jaka z coraz większą mocą napiera z Zachodu.

Wiele zachowań współczesnego Kościoła polskiego ma charakter wyraźnie ner-

młodych – właściwie każdy ksiądz jest podejrzany o niedobre skłonności, co z pewnością wpływa na znaczące obniżenie liczby powołań.

Niestety, tak przedstawia się uboczny skutek kampanii uzdrowicielskich, czasem opartych na przekonaniu, że demaskować i przyciskać Kościół do muru mówieniem całej „trudnej prawdy” to pomagać mu w rozumnym zdomowieniu się we współczesnym świecie.

Gdybym sam – pozwolę sobie na takie ćwiczenie – był na miejscu tak surowo dziś ocenianego Karola Wojtyły, prowadziłbym politykę w sprawach pedofilii w Kościele mniej więcej tak samo, jak on to robił, był to bowiem człowiek rozsądny, który dobrze wiedział, w jakiej sytuacji i na jakim świecie żyje. Nie informowałbym komunistycznych władz o przypadkach pedofilii wśród polskich księży, bo hieny z tajnej policji politycznej aż się obliżywały, żeby każdą taką sprawę rozkręcić tak, by Kościół mocno na tym ucierpiał.

Część Polaków uważa, że Kościół powinien się trzymać z daleka od wszystkich partii. Znaczna jednak część ma w tej sprawie pogląd odmienny. Zupełnie nie przeszkadza jej obecność dostojników partyjno-państwowych na uroczystościach kościelnych, co gryzie w oczy lewicę i liberalnych demokratów. Mniej więcej 7 milionów Polaków chce, by Kościół polski był dokładnie taki, jaki jest. To znaczy „pisowski”, ponieważ oni sami są „pisowscy”.

Osoby niechętne PiS-owi mają więc nielatwy do rozstrzygnięcia dylemat: jak

Kościół – jak wszystkie znaczące ruchy ideowe – przyniósł na Ziemię wiele dobrego i wiele niedobrego. Już u swojego zarania, w chwili, gdy stał się religią państwową, niósł ze sobą groźbę przesładowań i piętnowania „obcych”. Niemniej jest grubą przesadą wskazywać na bliskie pokrewieństwo Kościoła dzisiejszego ze średniowiecznym, co czasem się zdarza.

Jednym z podstawowych fundamentów naszego polskiego życia jest chrześcijański kanon moralny, nawet jeśli stosujemy go w praktyce wybiórczo. Ten kanon, czy

cyzmu. Prowadzi to czasem do wypowiedzi agresywnych i poniżających. Odpływ wiernych i spadek liczby powołań wywołuje niepokój i frustrację, co skłania do wyolbrzymiania zagrożeń i mnożenia „wrogów”.

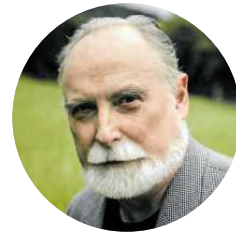
Kościół stanowczo powtarza, że był zawsze i jest zawsze taki sam, bo niesie w sobie niezmiennie przesłanie, chociaż historia dowodzi, jak bardzo to przesłanie zmieniało się w toku dziejów. Tylko na przestrzeni mojego życia zmieniło się na przykład stanowisko Kościoła w sprawie samobójców, których kiedyś nakazywano chować pod

Nie muszę dodawać, że całym sercem jestem po stronie tej drugiej alternatywy, chociaż dobrze wiem, jak będzie ona trudna do urzeczywistnienia.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa. Kościół przez stulecia był strażnikiem piękna. Bez niego nie byłoby gotyckich katedr. Ale dziś jest strażnikiem piękna w dużo mniejszym już stopniu niż dawniej. W Polsce wiele katolickich świątyń po prostu szpeci krajobraz, tak nieudane są to budowle w sensie estetycznym. Podobnie współczesna sztuka sakralna nie zachwyca. Jedno jednak trwa nadal. Paradoksalnie to właśnie Kościół – miejsce, w którym rozbrzmiewają czasem dyskryminacyjne potępienia „osób polskojęzycznych” czy „genderowych” – równocześnie jest właściwie jedynym w przestrzeni publicznej miejscem, gdzie znalazła schronienie prawdziwa poezja.

Co niedziela miliony ludzi w Polsce obok kontrowersyjnych kazań słuchają fragmentów jednego z arcydzieł literatury światowej, jakim jest Biblia. Najwięksi polscy pisarze dobrze o tym wiedzieli i prowadzony przez nich dialog z Pismem wciąż stanowi jedną z kluczowych osi polskiej kultury. Dzisiaj zaś symboliczne sceny z Ewangelią jawią się także jako artefakty o wielkiej wartości artystycznej, z którą – choćby urywkowo – obcuja ludzkie na co dzień tonący w bezwartościowym morzu kultury masowej.

Słuchając Biblii, po prostu obcujemy z wielką sztuką, która wciąż inspiruje artystów, nawet jeśli inspiracja jest polemiczna. ●



FOT. RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Stefan Chwin

• ur. w 1949 r., pisarz, eseista, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Gdańskiego. Członek Rady Języka Polskiego przy PAN w latach 2007-2014, w latach 1997-2003 był jurorem nagrody Nike. Laureat wielu nagród krajowych i zagranicznych: między innymi Paszportu „Polityki” (1995) za powieść „Hane-mann”, Nagrody im. Ericha Brosta, Nagrody im. Gryphusa, Nagrody im. Lindego. W ostatnich latach wydał: „Srebrzysko. Powieść dla dorosłych” i eseje „Miłosz. Interpretacje i świadectwa” oraz „Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku.

Niedawno (nakładem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku oraz Wydawnictwa Uniwersytetu Gdańskiego) ukazała się nowa – „**Wolność pisana po Jalcie**”. Książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



To chrześcijańska barwa życia sprawiła, że po upadku komunizmu nie doszło w Polsce do krwawych rytuałów zemsty, że dawni wrogowie potrafili usiąść przy wspólnym stole

oddzielić Kościół od pisowskich porządków, na których strażą stoi partia rządząca? Kościół im się z tymi porządkami myli, czego sam jest w znacznym stopniu sprawcą.

To prawda, przesłanie polskiego Kościoła jest wewnętrznie sprzeczne. Z jednej strony co niedziela wielu księży przekonuje z ambony, że Polacy niewierzący są gorsi od wierzących, chętnie posługując się sformułowaniami o wielkiej sile dyskryminacyjnej, jak „bagnie bezbożnictwa”, „wrogowie Kościoła, którzy nienawidzą Boga”, „tęczowa zaraza” czy „słudzy szatana”.

Chętnie też Kościół występuje w roli prześladowanego, przemilczając, że całkiem niedawno sam był prześladowcą ludzi inaczej myślących, i to bezlitosnym, a dzisiaj też potrafi ranić słowami ludzi.

Z drugiej jednak strony przesłanie Kościoła zawiera w sobie najpiękniejsze słowa i zdania ludzkiego języka, które łagodzą okropność życia opartego na twardej zasadzie bezlitosnej rywalizacji.

Do takich słów należy „bliźni”, którego wielu ludzi wołaloby nie znać, a które do ludzkiej kultury wprowadziło chrześcijaństwo, co niosło za sobą jedną z największych rewolucji moralnych w historii. Nawet jeśli wezwania do budowy świata opartego na miłości wzajemnej pobrzmiwają czasem nieszczerą intencją, kryjąc jady niechęci, a nawet nienawiści, świat, z którego zniknęłoby słowo „bliźni”, nie wydaje mi się światem lepszym.

Myślę też, że to właśnie chrześcijańska barwa polskiego życia skłania nas ku idei państwa opiekuńczego, czyli łagodzenia przyrodzonej brutalności kapitalizmu, który, mając upodobanie do efektownych gestów charytatywnych, w głębi jest niechętny chrześcijańskiej idei opieki nad wykluczonymi, kierując się twardą logiką braku litości dla „słabych”, „nieudolnych” i „nieudanych”.

Z pewnością są w katolicyzmie elementy represyjne, prowadzące na przykład do ograniczania praw kobiet czy mniejszości seksualnych. Utożsamianie jednak całego ducha chrześcijańskiego z duchem represyjnej nietolerancji jest w moim pojęciu rażącym uproszczeniem, które kładzie się cieniem na klimacie naszego życia.

Paradoks polskiego Kościoła – i to paradoks w pewnym sensie zbawienny – polega na tym, że nawet najbardziej zajadli kapłani, którzy potrafiały wygłaszać agresywne kazania polityczne wzywające do twardej walki z „poganami” i „tęczową zarazą”, muszą co niedziela czytać z ambony wiernym także słowa Ewangelii o miłości bliźniego, trudnym wybaczeniu i pojednaniu z „wrogami”.

się nam to podoba, czy nie, jest podstawowym układem odniesienia dla milionów ludzi. Czy w dzisiejszej polskiej kulturze znajdziemy kanon o równej mocy symbolicznej i egzystencjalnym znaczeniu, nawet jeśli w kanonie tym są punkty, które budzą dziś nasze wątpliwości, a nawet zdecydowany sprzeciw? Co nam zostanie, gdybyśmy polską kulturę z tego kanonu oczyścili?

I czy etykę świecką należy traktować jako jedyną alternatywę oświeconej nowoczesności dla wszystkich? Czy potrafi ona udźwignąć ciężar naszego życia, z którym nie wiemy, jak sobie poradzić?

Zadając te pytania, warto pamiętać o pięknie zaleceń moralnych z „Kazania na górze”, nawet jeśli nie wszystkie z nich bronią nas przed niebezpieczeństwem religijnego fundamentalizmu. A także ewangelicznych słów o „kochaniu bliźniego swego jak siebie samego”. Jeśli te słowa miałyby zniknąć z polskiej kultury, nie byłby to żaden powód do radości.

Oczywiście pozostaje klasyczne pytanie: czy Kościół i religia katolicka noszą w sobie nieśmiertelny gen inkwizycji, który potrafi trwać przez wiele lat w uśpieniu, by potem obudzić się z siłą, wzniecając ducha fanatyzmu? Kościół polski boi się tego, co dzieje się na Zachodzie, to znaczy ewolucji w stronę religijnego klubu dyskusyjnego, gdzie swobodnie rozważa się sprawy podstawowe, czasem niezależnie od opinii Watykanu.

Z pewnością Kościół, który przeobraża się w charytatywny klub dyskusyjny, ryzykuje, że może przestać być Kościołem. Ale droga synodalna, którą Kościół właśnie dziś coraz bardziej podąża, ma w sobie wiele z myślenia dyskusyjnego, bliskiego społeczeństwu demokratycznemu (tak się dzieje na przykład w dzisiejszych Niemczech).

Kościół Rzymskokatolicki często niepokoi się dyskusją posuniętą jego zdaniem za daleko, to znaczy dotykającą sfery dogmatycznej. I ma tu swoje racje, bo czymże innym niż realnym zagrożeniem jest dla niego rozkruszenie dogmatów? Czy jednak Kościół, który by zniósł celibat, przyznał ludziom prawo do rozwodu i dopuścił kobiety do kapłaństwa, a homoseksualistom przyznał prawo do życia rodzinnego, przestałby być Kościołem, czy raczej stałby się jego nową formą? Czy gdyby w większym stopniu otworzył się na wolność, która jest dla nowoczesnych społeczeństw tak istotną wartością, utraciłby swoją tożsamość, zupełnie roztopiając się w morzu demokracji?

Kościół w Polsce bardzo się tego momentu obawia. Pod wpływem wiadomości o społecznej marginalizacji Kościoła na Zachodzie utwardza swoje konserwatywne stanowisko, chętnie widząc w sobie ostatnią w Europie redutę prawdziwego katoli-

plotem poza katolickim cmentarzem i bez prawdziwej katolickiej mszy, ale też wobec sprawy przeszczepów, sekcji zwłok, idei kopteryk, teorii ewolucji i wielu innych spraw.

Nie uważam, że powinniśmy pokładać nadzieję na ożywienie i oczyszczenie naszej polskości w gruntownej sekularyzacji życia w Polsce. Dużo rozsądniejsze jest sprzyjać i wspierać duchową i instytucjonalną ewolucję Kościoła. Błędem jest fatalistyczne przeświadczenie, że Kościół będzie zawsze taki sam jak dzisiaj. Znam na przykład młodych księży, którzy nie widzą żadnego problemu w udzielaniu sakramentów ludziom, którym rozpadły się małżeństwa.

Zmiana pokoleniowa w Kościele nastąpi nieuchronnie, ale moim zdaniem nie należy wywierać na Kościół jakiegokolwiek stanowczego nacisku, który tylko umacnia go na konserwatywnych pozycjach. Szukajmy w Kościele polskim raczej znaków czy choćby tylko zapowiedzi tego, co dobre, nawet jeśli pamiętamy o jego wadach.

Tworzenie atmosfery niechęci wobec Kościoła tylko szkodzi temu procesowi. Dzisiaj w Polsce nurty liberalne w Kościele płyną wąską strużką, ale wcale nie jest powiedziane, że tak będzie zawsze.

Jest wiele rzeczy wspólnych, przy których mogą współdziałać Kościół i społeczeństwo demokratyczne. Dobra wola potrzebna jest jednak z obu stron. Z jednej strony raniący fanatyzm religijny, z drugiej raniąca sekularyzacyjna natarczość nie niosą ze sobą niczego dobrego. Lepiej, nawet na wyróst, przyjąć założenie, że Kościół w końcu nauczy się żyć w świecie wielu prawd, że powinien mieć zapewnione stałe, bezpieczne miejsce w społecznej całości, że nikt nie chce go unicestwić. Ale sam musi przyjąć do wiadomości, że świat współczesny jest różnorodny, a katolicyzm jest tylko jedną z wielu barw ludzkiego ducha.

Przyjęcie tego do wiadomości sprawia Kościołowi trudność, co nie powinno dziwić nikogo. Prawdziwy konflikt, który rozdziera dzisiejszy świat, rozgrywa się pomiędzy tymi, którzy kategorycznie twierdzą, że są posiadaczami i wyznawcami jednej, powszechnie obowiązującej prawdy, i tymi, którzy uważają, że ludzkie życie jest wiecznym poszukiwaniem prawdy, której nie znamy, która się przed nami dopiero otwiera i odsłania, zawsze w sposób niepełny, nieostateczny.

Jest to konflikt fundamentalny i nie należy udawać, że łatwy do rozwiązania. Są jednak przed nami tylko dwie drogi do wyboru: albo jedna – oparta za zasadzie „kto kogo”, która zmierza do wyeliminowania przeciwnika, albo druga – porozumienia i współpracy.

PO PRAWDZIE

Lex AntyŚwirski

To powinno być jedno z pierwszych nowych praw wprowadzonych po zwycięstwie opozycji.

Agnieszka Kublik

Bardzo cienka linia oddziela upór od głupoty. Propagandę od polityki. Dobro od zła. Pozostać po właściwej stronie to sztuka. Świrskiemu się nie udało. Trzeba przyznać, szybko mu to poszło.

Im więcej Świrskiego w KRRiT, im więcej Holeckiej czy Adamczyka w „Wiadomościach” TVP, tym mocniej nabieram przekonania, że tych instytucji żadną miarą odmienić się nie da.

Maciej Świrski właśnie ukarał Radio TOK FM (należy do Agory, wydawcy „Wyborczej”) za słowa wypowiedziane na antenie o słynnym podręczniku, który nigdy nie powinien był powstać – „Historia i teraźniejszość” prof. Wojciecha Roszkowskiego, byłego europosła PiS. Piotr Maślak tak skomentował „HiT”: „Czyta się to jak podręcznik – przepraszam za to porównanie – dla Hitlerjugend. Chwilami, nie wszędzie”.

Świrski nałożył na TOK FM 80 tys. zł kary za „poniżanie i naruszanie godności ofiar II wojny światowej, w tym Żydów, oraz stygmatyzowanie i znieważanie prof. Wojciecha Roszkowskiego”.

Ukarał sam, nie zechciał się naradzić z kolegami. Zresztą z jakimi kolegami? Świrski traktuje członków KRRiT jak swoich podwładnych, choć nie ma ku temu cienia powodu w żadnych przepisach.

I sam też nie ukarał – TVP Info za słowa Jana Pietrzaka, barda PiS.

Pietrzak w programie „#Jedziemy” rozmawiał z Michałem Rachoniem o Tusku. Takimi między innymi słowy: „produkt germanizacji i produkt rusyfikacji, to jest może w jednej dziesiątej Polak. To produkt naszych okupantów, którzy właśnie takich typów wychowali i oni założyli tutaj partię, która nie ma nic wspólnego z polskością. To jest po prostu potomek Bismarcka albo potomek Stalina z drugiej strony. Jest zaprzędanym sługą naszych sąsiadów”.

Skargę złożył prof. Tadeusz Kowalski, ekonomista, medioznawca i jedyny członek KRRiT z rekomendacji opozycji.

Świrski mowy nienawiści się nie dopatrzył, bowiem zgodził się z TVP, że „Jan Pietrzak jest osobą, która jest znana z dosadnego i mocnego krytycznego języka względem polityków opozycji i osoby Donalda Tuska”. Do Rachonia Świrski żadnych zastrzeżeń nie miał.

Sam też chce ukarać TVN za reportaż Piotra Świerczka o blamażu podkomisji Macierewicza (wiceszefa PiS). Za reportaż Marcina Gutowskiego o Janie Pawle II (PiS wziął go na wyborcze sztafety) i jego zaniechaniach jeszcze z krakowskich czasów w sprawie księży pedofilów. I za to, że Monika Olejnik nie zareagowała na słowa swojego gościa, Barbary Engelking, o Polakach i Żydach. „Polacy mieli potencjał, by stać się sojusznikami Żydów, i można było mieć nadzieję, że będą się inaczej zachowywać, że będą neutralni, że będą życzliwi, że nie będą do tego stopnia wykorzystywać sytuacji i nie będzie tak rozpowszechnionego szmalcownictwa” – mówiła profesor.

Ten ostatni przypadek w całej okazałości pokazuje zakłamanie Świrskiego. Bo pouczał Olejnik, że „jeśli gość programu łże, to dziennikarz ma widzim powie-dzieć, że jest to kłamstwo”.

FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

W przypadku Rachonia brak reakcji na słowa Pietrzaka Świrski za łgarstwo nie uznał i dziennikarza uniewinnił od zwrócenia uwagi Pietrzakowi, że kłamie (znaczy – wedle Świrskiego – nie łgał).

Za chwilę TVN zostanie przez Świrskiego trzy razy ukarana. Czy taka stacja może liczyć na przedłużenie koncesji (upływającej już w kwietniu 2024)?

A przecież Świrski nigdy nie powinien trafić do KRRiT, bo zwyczajnie nie spełnia ustawowych kryteriów. Prawo wszak powiada: „w skład Krajowej Rady wchodzi pięciu członków powoływanych (...), wyróżniających się wiedzą i doświadczeniem w zakresie środków społecznego przekazu”.

Dlatego – jeśli opozycja wygra jesienią wybory – tak powinna skonstruować zapisy o kryteriach, które muszą spełniać kandydaci do KRRiT, by ktoś, kto wyróżnia się doświadczeniem w walce z wolnością słowa (jak 4/5 składu obecnej Rady), nigdy nie mógł ubiegać się o miejsce w niej.

Aż się prosi, by zapisać, że do Krajowej Rady nigdy przenigdy nie można wybrać kogoś takiego jak np. Świrski. Takie „lex anty-Świrski”.

KRRiT musi zostać, bo jest wpisana do konstytucji, ale TVP, Polskie Radio i Radę Mediów Narodowych po wyborach można zrównać z ziemią

Zamysł, jak skonstruować konstytucyjny organ stojący na straży wolności słowa (art. 213 Konstytucji RP), powinien już leżeć spisany na stole, a kancelarie prawne już powinny redagować zapisy projektu nowej ustawy o mediach. Kompletnie nowej.

KRRiT musi być (bo jest wpisana do konstytucji), lecz z zapisami, które uniemożliwią jej nowemu szefowi i wszystkim kolejnym po kolejnych zmianach władzy biczowanie cenzurą wszystkich, których sam nie cierpi.

A TVP, Polskie Radio i Rada Mediów Narodowych do likwidacji. Ich konstytucja nie ratuje, więc można je zrównać z ziemią i ustawą wykreować nowe.

To jak wejście w pisowskie buty? Może, ale to konieczne. Nie potrzebna sążnistej argumentacji, wystarczy spojrzeć na „Wiadomości”. To nie jest do naprawy. To jest do zbudowania od nowa. Nowe studio, nowa oprawa, czołówka, dżingiel, prezenterzy, reporterzy, montażyści, paskowi... Pomysły, jak to szybko i sprawnie przeprowadzić, już powinny leżeć na stole.

A wtedy Jarosław Kaczyński niech sobie inscenizuje, kreuje i ogląda „Wiadomości” z Danutą Holecką w gabinecie na Nowogrodzkiej. Razem ze Świrskim.

EPICKI THRILLER
O BRATERSTWIE,
MIŁOŚCI I ZEMŚCIE

Absolutnie nieodkładalna historia, w której fikcja literacka miksuje się z autentycznymi wydarzeniami historycznymi. Powiedzieć, że ta książka jest dobra, to nie powiedzieć nic. Zarwałem nockę czytając na bezdechu, takie emocje.

PigOut

MACIEJ
SIEMBIEDA
NEMEZIS

audiobook czyta
Przemysław
Bluszcz

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

 Wydawnictwo
Agora

DOBRE STRONY KORONY

W pierwszej dziesiątce rankingu najszczęśliwszych społeczeństw sześć państw to monarchie

Adam Zamoyski*



• Królowa Elżbieta II w dniu koronacji w obiektywie (czy raczej fotomontażu) sir Cecila Beatona - słynnego kostiumografa, malarza, projektanta mody i wnętrz oraz nieoficjalnego fotografa dworu FOT. ROYAL COLLECTION TRUST

I o, co naprawdę wstrząsnęło Napoleonem siedzącym wieczorem 6 listopada 1812 r. w chłopskiej chacie, obok której zmarznięte niedobitki Wielkiej Armii uchodziły spod Moskwy, to nie skala katastrofy militarnej, lecz wiadomość z Paryża. Doniesiono mu właśnie, że garstka wojskowych pod przewodnictwem generała Claude'a-François Maleta, twierdząc, że cesarz zginął w Rosji, i przedkładając fałszywe dokumenty, zdolała oszukać kilku urzędników państwowych, zanim została zdemaskowana, osądzona i rozstrzelana. I to nie sama próba zamachu stanu go zdruzgotała.

„Naszych przodków jednoczył okrzyk: »Umarł król, niech żyje król!«” – przypomniał członkom Rady Stanu, kiedy wrócił do Paryża, dodając, że „te słowa zawierają w sobie wszystkie najważniejsze zalety monarchii”. Obrzydzony rewolucją i przekonany, że monarchia stanowi najsolidniejszy system polityczny, ogłosił się cesarzem w zamiarze założenia nowej dynastii. Ale kiedy gruchnęła wiadomość o jego śmierci, nikomu nie przyszło na myśl okrzyknąć cesarzem jego syna. Pokazało to kruchość podwalin całego ustrojowego gmachu, który od lat budował.

I stotnie, było trochę późno, by we Francji odbudować monarchię. Ścięcie 21 stycznia 1793 r. Ludwika XVI stanowiło – jak to ujął Albert Camus – „punkt zwrotny naszych współczesnych dziejów”, który wygnał Boga z późniejszej historii kraju. Kiedy kat podniósł głowę monarchy, tłum ryknął nie: „Vive le Roi!”, lecz: „Vive la Nation!”. Odtąd naród miał być suwerenem.

Lecz ten i wszystkie inne narody tworzyły się wokół religii, która definiowała ich tożsamość i uwierzytelniała wszystkie instytucje, zarówno społeczne, jak i państwowe. Z biegiem czasu urbanizacja i uprzemysłowienie odcięły ludzi od korzeni, zanik wiary i postęp nauk spowodowały nieufność we wszystko to, co nieracjonalne. I wreszcie masowe przemieszczanie się ludności o najróżniejszych wiarach i obyczajach, tworzące mieszane społeczności, doprowadziło do zakwestionowania przyjętych form. W niemalże wszystkich państwach Zachodu instytu-

cje państwowe, społeczne i religijne przeżywają dziś egzystencjalny kryzys. Widać to w Ameryce, gdzie więcej ludzi wierzy w bzdury wyłowione z mediów społecznościowych niż w wypowiedzi organów oficjalnych, i w Polsce, gdzie coraz mniej szanuje się władze państwowe czy kościelne.

Towarzyszy temu zanik spójności społecznej. Podziały polityczne stają się coraz bardziej zjadłe, mnożą się akty irracjonalnej złości. Dłaczego młodzi Francuzi, którym może tylko wyjść na korzyść podniesienie wieku emerytalnego, podpalają Bogu ducha winną restaurację, którą upodobał sobie prezydent Emmanuel Macron?

Wyjątek, który nie umknął uwadze obserwatorów, to okoliczności zgonu królowej Elżbiety II i wstąpienie na tron jej syna Karola III. To, o czym marzył Napoleon, stało się zupełnie naturalnie – i to w na wskroś świeckim i chyba najbardziej etnicznie i kulturowo mieszanym społeczeństwie na świecie – kiedy samochód Karola III podjechał pod pałac Buckingham, tłum oplakujący królową zawołał: „God Save the King!”.

Od lat media twierdziły, że monarchia nie przeżyje śmierci królowej, że Karol nie nadaje się na władcę, że czas skończyć z tą przedawnioną instytucją. Ale kiedy Elżbieta II zmarła, okazało się, że ogromna większość narodu, w tym ludzie o odmiennym kolorze skóry, różnej wiary i z różnych klas społecznych, spontanicznie włączyła się w ten wspólny akt, jakim było przejście z jednego panowania w drugie.

Najnowsze sondaże wskazują wprawdzie, że tylko około jednej trzeciej Brytyjczyków w wieku od 18 do 30 lat popiera monarchię, ale kiedy przyszło co do czego, tylko kilku aktywistów, a ich nigdy nie brak, demonstrowało swą postępowość antykrólewskimi transparentami. Jeden czy drugi rzucił jajkiem – i chybil.

Wbrew gardłowaniu o zagrożonych wolnościach szlacheckich i nadużyciach władzy królewskiej nasi przodkowie wysoko cenili ciągłość, którą utożsamia monarchia. Kiedy wygasła dynastia Jagiellonów, wybrano Henryka Waleczusza, pod warunkiem że ożeni się z Jagiellonką. Kiedy zwiął do Francji i wybrano Stefana Batorego, ten się z nią ożenił. Była oczywiście już w takim wieku, że nie mogła dać mu potomka i zapoczątkować nową dynastię. Uważano jednak, że ta koligacja legitymizowała Batorego. Po nim wybrano Zygmunta III Wazę, syna Jagiellonki, a po nim jego synów. Najprawdopodobniej, gdyby Władysław IV miał syna, wybrano by i jego.

Jedyni królowie, którzy nie mieli żadnej więzi z poprzednikami, to Michał Korybut Wiśniowiecki, Jan III Sobieski, Stanisław Leszczyński i Stanisław August Poniatowski. Ale nawet oni dbali, by była jakaś więź z poprzednikami: kiedy w czerwcu 1696 r. zmarł Jan III Sobieski, zwlekano z pochówkiem do września 1697 r., aż nie zostanie ukoronowany następca – August II Mocny. Natomiast Poniatowski, wstępując na tron, przybrał imię Augusta, aby

powiązać się z poprzednikiem, Augustem III. Według Konstytucji 3 maja jego następcą miał być wnuk tegoż Augusta III, a ponieważ ów nie miał syna, po nim polski tron miała objąć jego córka, Infantka Polska, z którą miał się ożenić następny wybraniec narodu.

Napoleon wiedział, czego potrzebował jego kraj. Monarchia nie tylko gwarantuje ciągłość: wyklucza wybory, które co kilka lat prowokują spory, a niekiedy głęboki podział. Wystarczy spojrzeć, co się działo parę lat temu wokół wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Nienawiść do prezydenta, na którego się nie głosowało, doprowadza nieraz do okropnych występów – ostatnio na transparentach w centrum Paryża pojawiła się gilotyna i hasła nawołujące do ścięcia Macrona. Taka atmosfera nie tylko dzieli naród, ale też podważa autorytet instytucji państwowych.

Ponieważ głowa państwa stoi na straży konstytucji, najlepiej, by była to osoba politycznie neutralna. Monarcha konstytucyjny, którego stanowisko i byt opierają się na utrzymaniu status quo, nie widzi żadnego interesu w naruszaniu zasadniczych praw. Tym samym blokuje możliwość wy-

gdzie głową państwa jest nadal Karol III. W drugiej dziesiątce są: Australia, Kanada, Belgia i Wielka Brytania. Takie wyniki można tłumaczyć na różny sposób. Najmniej politycznie burzliwe kraje w świecie arabskim – Maroko i Jordania – są w tym rankingu na 100. i 123. miejscu. Natomiast Malezja i Tajlandia, w których dość często dochodziło do przewrotów, znalazły się na 55. i 60. pozycji.

W europejskich monarchiach konstytucyjnych król czy królowa jest głową państwa, podpisuje i pieczętuje prawa wprowadzone przez egzekutywę, nawet jeżeli się z nimi nie zgadza. Kiedy w 1990 r. belgijski rząd wprowadził prawo do aborcji, panowanie katolickiego króla Baudouina zostało na jego prośbę zawieszone na jeden dzień, aby uniknąć obowiązku podpisu.

Monarcha reprezentuje naród i państwo we wszystkich funkcjach, a także odgrywa rolę ceremonialną. W niektórych krajach pełni też funkcję głównodowodzącego sił zbrojnych. W Wielkiej Brytanii jest ponadto głową Kościoła; król Norwegii Harald V zrzekł się tego stanowiska dopiero w 2012 r. Na takich funkcjach zamyka się rola monarchy. Natomiast zasięg jego wpływów i soft power zależy od różnych czynników, takich jak: prestiż dynastii

ki romantyzmu, takich jak Walter Scott, dodaje wręcz teatralną otoczkę. Wreszcie wzorowe panowanie i charakter królowej Elżbiety II wzmocniły prestiż tej monarchii, dodając jej soft power, której niejeden prezydent mógłby zazdrościć.

Za tym wszystkim kryje się prawdziwy wpływ na politykę kraju. Wielka Brytania ma nie konstytucję, ale tylko kumulację praw i obyczajów. Jednym z tych obyczajów jest cotygodniowa wizyta, niby-kurtuazyjna, premiera u monarchy. Treść tych rozmów w cztery oczy nigdy nie została ujawniona, ale wszyscy premierzy potwierdzili, że pomogły im w formułowaniu własnej polityki i wprowadzeniu w życie swych projektów.

Reszta monarchii europejskich ma mniej więcej takie same uprawnienia i obowiązki, jednak nie posiada takich wpływów. Chyba najsprawniej funkcjonuje duńska monarchia, której władcy należą do najdłużej panujących, prowadzi się bowiem aż z X wieku. Odegrała chwalebna rolę w historii, a podczas II wojny król Chrystian X odznaczył się godną postawą wobec okupantów i robił, co mógł w obronie poddanych, w tym Żydów. Panująca od 1972 r. jego wnuczka królowa Małgorza-

napuszonego marszałka napoleońskiego Jeana-Baptiste’a Bernadotte’a – nie tylko na skutek zainteresowań striptizerkami obecnego króla Karola XVI Gustawa. Około 60 proc. Szwedów popiera monarchię, a 25 proc. opowiada się za republiką. Może się to zmienić, kiedy król odejdzie i wstąpi na tron jego bardzo lubiana córka Victoria.

Tak zwane monarchie rowe Belgii i Holandii lepiej zdają egzamin. Niderlandy były przez wieki republiką i stały się monarchią dopiero w 1806 r., kiedy Napoleon osadził tam na tronie swego brata Ludwika. Po wygnaniu Napoleona wróciła do władzy dynastia Orange-Nassau, ściśle związana z dawną republiką, ale od 1814 r. już jako monarchowie konstytucyjni, w postaci Wilhelma I. Dynastia cieszy się więc sławą dawnych złotych wieków republiki i prestieżem spokojnej prosperity w XIX wieku, no i postawą królowej Wilhelminy, która w 1940 r. w obliczu inwazji niemieckiej schroniła się w Londynie. Przewodnicząc rządowi na uchodźstwie, stając się symbolem oporu narodu. Popularność monarchii utrzymała się na poziomie około 70 proc. aż do 2020 r., ale ostatnio spadła do 55 proc. Zastanawia, że sami monarchowie cieszą się większą popularnością niż ustrój monarchistyczny – kiedy ten mógł liczyć na 70 proc. poparcia, król Willem-Alexander zdobywał prawie 90, a obecnie przy 55 proc. dla monarchii on osiąga 65.

W Belgii monarchia została wprowadzona jeszcze później, w 1831 r., na krótko po powstaniu samego państwa, sklejonego z różnorodnego terytorium, na którym współżyją ludzie o dwóch różnych językach, tradycjach i religii. Na tron wprowadzono zupełnie obcą, niemiecką dynastię Saxe-Coburg. Nie przyniosła Belgom sławy: drugi z kolei król, Leopold II, to wstrętny człowiek, który zajmuje szczytowe miejsce wśród najbardziej barbarzyńskich władców z powodu zbrodniczej eksploatacji Konga. Jego potomek Leopold III nie zapisał się w historii dobrze przez swoje zachowanie podczas II wojny. Został zmuszony do abdykacji w 1951 r. na skutek zbrojnej opozycji własnych poddanych.

Od tego czasu popularność dynastii znacznie się poprawiła i dziś pozytywnie ocenia monarchię około 70 proc. Belgów. Król Filip nie należy do najbardziej kontaktowych, ale zachowuje się dobrze, jego małżonka, królowa Matylda (notabene córka Polki) cieszy się dużą popularnością. A ich córka i następczyni tronu, księżniczka Elżbieta – jeszcze większą.

Kraj jest nadal podzielony etnicznie, kulturowo i językowo na Flandrię i Walonię. Zapewne ten zlepek dawno byłby się rozpadł, gdyby nie jednoczyła go monarchia. W grudniu 2018 r. doszło do pata w parlamencie i przez 592 dni nie było w ogóle rządu. Gdyby nie monarchia, państwo przestałoby funkcjonować.

Hiszpania to jedyna monarchia europejska, która nie znalazła się nawet w pierwszej trzydziestce rankingu najszcześniejszych społeczeństw.

Monarcha blokuje możliwość wywyższenia się ambitnych polityków: trudno jakiemuś premierowi stworzyć kult własnej osoby, kiedy w najważniejszych obchodach występuje na drugim miejscu

wyższenia się ambitnych polityków: trudno jakiemuś premierowi stworzyć kult własnej osoby, kiedy w najważniejszych obchodach występuje na drugim miejscu. Dodatkową gwarancją jest to, że monarcha jest wodzem naczelnym sił zbrojnych oraz szefem wszystkich urzędników państwowych.

Co prawda w Grecji w kwietniu 1967 r. to właśnie wojskowi przeprowadzili zamach, który po nieudanej kontrakcji króla Konstantego II doprowadził do obalenia monarchii, ale zamachy w tym kraju cieszyły się już stuletnią tradycją, a dynastia panująca należała do najsłabszych, została przeszczepiona z Bawarii i nie była zakorzeniona w narodzie.

Ciągłość i stabilność władzy powinny gwarantować spokój społeczny i dobre samopoczucie obywateli. Czy tak naprawdę jest? Trudno jednoznacznie stwierdzić. W rankingu najbardziej szczęśliwych społeczeństw w pierwszej dziesiątce jest jednak aż pięć monarchii europejskich – Dania, Szwecja, Norwegia, Holandia i Luksemburg – oraz Nowa Zelandia,

i jej rola w historii, zasoby materialne, tradycyjne połączenia instytucji i stowarzyszeń z monarchią i wreszcie profil rodziny królewskiej oraz zachowanie samego monarchy.

Pod tym względem wyróżnia się monarchia brytyjska, która w historii, szczególnie w czasie II wojny światowej oraz likwidacji imperium i tworzenia Commonwealthu, odegrała rolę, z której każdy Brytyjczyk może być dumny. Członkowie rodziny królewskiej odbywają służbę wojskową, nawet biorą udział w operacjach wojennych, patrolują setkom organizacji i stowarzyszeń, zarówno cywilnych, jak i charytatywnych, i udzielają się bardzo szeroko w życiu narodu.

Zamki, pałace, dzieła sztuki, regalia i ogromny majątek pozwalają na utrzymanie ceremoniału i splendoru, który cały świat lubi oglądać przy okazji koronacji, ślubów, pogrzebów i innych obchodów. Państwo dokłada się do tego – zapewnia wspaniałe umundurowanie wojska i odpowiednią oprawę ceremonii. Ciągłość różnych tradycji, niektórych wymślonych na początku XIX wieku pod wpływem twórców epo-

ta II wzorowo spełnia swą funkcję i jest niezwykle popularna. Jej syn i następca Fryderyk bardzo dobrze się zapowiada. Rodzina królewska nie otacza się ceremoniałem, żyje prawie jak inni obywatele. Reszta rodziny zarabia na życie jak popadnie – jeden z wnuków królowej jako model. Monarchię popiera ponad 80 proc. obywateli Danii.

Tylko o parę procent niższym poparciem cieszy się monarchia norweska. Jedynie 15 proc. ankietowanych chciałoby zmienić kraj w republikę. To mało zrozumiałe, ponieważ obecna dynastia wstąpiła na tron dopiero w 1905 r. Podczas II wojny król Haakon VII zachował się dzielnie, stawiając czoła Niemcom. Tworząc rząd i siły zbrojne w Londynie, stał się symbolem walki o niepodległość. Obecny władca, panujący od 1991 r. Harald V, godnie wypełnia swe obowiązki konstytucyjne. Pomagają mu starsza siostra oraz syn i następca Haakon. Reszta rodziny nie pełni żadnych funkcji i zarabia na życie jak normalni obywatele.

Nieco mniejszą popularnością cieszy się dynastia panująca w Szwecji, wywodząca się od

Ale czy to monarchia w pełnym tego słowa znaczeniu? Została stworzona w 1975 r. po trwającej ponad cztery dekady dyktaturze, której spuścizna nadal dzieli społeczeństwo. Dynastia Burbonów wprawdzie panowała w Hiszpanii od 1700 r., ale w 1808 przez nieudolność Karola IV i ambicje jego syna Ferdynanda królestwo właściwie się rozpadło. Wykorzystał to Napoleon i osadził na tronie w Madrycie swego starszego brata Józefa. Ten jednak utrzymał się na nim jedynie do 1814 r., gdy wrócili Burbonowie w postaci Ferdynanda VII, a po nim jego córki Izabeli. Jednak i ta władczyni, po krwawej wojnie ze stryjem Carlosem i niesławnym panowaniu, została usunięta.

Po dwóch latach prowizorki na tron wstąpił Amadeusz Sabaudzki, ale sam abdykował po niespełna trzech latach. Po nim nastąpiła republika, trwająca jeszcze krócej, i w 1874 r. wrócili Burbonowie w postaci syna Izabeli II, a po nim jej wnuka Alfonsa XIII, który został usunięty w 1931 r. Dopiero po krwawej wojnie domowej (1936-39) i końcu dyktatury gen. Franco na tron w 1975 r. wstąpił Juan Carlos I, wnuk Alfonsa XIII.

Ogromna większość narodu, w tym ludzie o odmiennym kolorze skóry, różnej wiary i z różnych klas społecznych, spontanicznie włączyła się w ten wspólny akt, jakim było przejście z jednego panowania w drugie

Stało się to wyłącznie dzięki samemu Franco, który rozumiał, że to jedyny sposób, by po jego odejściu od władzy Hiszpania bez wstrząsów przeszła od dyktatury do rządów demokratycznych. Juan Carlos w lutym 1981 r. zachował się wzorowo i obronił młodą demokrację przed zamachem stanu pułkownika Antonia Tejero. Pięć lat później król jako gwarant stabilności demokratycznego ustroju utorował też drogę Hiszpanii do członkostwa w Unii Europejskiej. Wydawało się, że z pomocą popularnej małżonki, królowej Sofii uda mu się zakorzenić monarchię tak, aby mogła pojednać wciąż podzielony naród i złagodzić ruchy separatystyczne w Kraju Basków i Katalonii. Niefortunne zachowanie i styl życia oraz skandale z udziałem członków rodziny podkopały jego autorytet. W czerwcu 2014 r. na skutek ujawnienia niejasnych operacji finansowych abdykował na rzecz syna Filipa. Czy jemu udało się umocnić monarchię, trudno wróżyć, szczególnie że brakuje mu zasobów, którymi dysponują inne rody panujące.

Wyszydzając religię i monarchię jako absurdalne i przestarzałe instytucje, filozofowie Oświecenia nie brali pod uwagę tego, że natura ludzka nosi w sobie potrzebę wiary w coś nadzwyczajnego i lanknie duchowości. Z tej potrzeby i tej żądzy powstały wszystkie religie świata i nadal powstają przeróżne kultury. Wielki pragmatyk, jakim był Napoleon, wierzył, że religia jest niezbędna dla utrzymania spokoju politycznego i że władza w osobie monarchy musi posiadać element magii.

Pełniąc swoje codzienne funkcje, monarcha spotyka się z ogromną liczbą ludzi, większą od tej, o którą ociera się jakikolwiek polityk, o wiele bardziej zróżnicowaną klasowo, zawodowo czy etnicznie – i bez licznej obstawy goryli i radiowozów, w których się tak lubują prezydenci. Ten wyjątkowy bezpośredni kontakt, oparty na wymianie pozapolitycznych uczuć, trosk i nadziei, tworzy osobistą więź między monarchą a ludem. Elżbieta II, która patronowała przeszło 600 różnorakim instytucjom, organizacjom i stowarzyszeniom, przez dziesięciolecia panowania spotkała się z dziesiątkami milionów poddanych.

Monarcha może być lepszym czy gorszym człowiekiem, ale kiedy występuje publicznie, już nie jest osobą prywatną, jest uosobieniem państwa, wspólnoty narodowej i nawet czegoś ponadto. Element religijny w koronacji, łącznie z namaszczeniem monarchy, dawniej przeistaczał go niejako w pośrednika między Bogiem a jego ludem. Tylko z tej racji spływało na niego – dawno temu zniesione – prawo łaski. Nie wiadomo, na jakiej zasadzie jakiś Donald Trump, Andrzej Duda czy inny wybierany polityk może zwalniać z kary ludzi skazanych przez prawo państwa, które on jedynie przejściowo reprezentuje.

Od najwcześniejszych czasów *Homo sapiens* wymyślał wszelkiego rodzaju sposoby uproszenia czy pacyfikowania żywiołów natury czy bogów, którzy zsyłali gromy. W ten sposób powstawały przeróżne rytuały, które nie tylko były sposobem na przypodobanie się bogom, ale też same przez się przynosiły uczestnikom pewien spokój, a nawet pociechę. Rytuał spełnia funkcję nabożeństwa, a zarazem łączy ludzi, wciągając

ich w nurt danego obchodu. Dzisiejszy człowiek, żyjący w świecie obłożonym technologią, która go przerasta, w społeczeństwach, które w dużej mierze zagubiły tożsamość, w miastach, które odcięły go od naturalnego środowiska, na planecie, która ginie, odczuwa takie same potrzeby.

Badania naukowe wykazują, że gdy dla wierzących liturgia, odmawianie różańca lub jakieś mantry są sposobem na dęczenie ich niepokoje, tak niewierzący, zarówno dorośli, jak i dzieci, w chwilach wielkiego stresu sięgają po własne rytuały, które uspokajają nerwy i przywracają poczucie kontroli. Przykładów jest wiele, od musztry i przemarszu orkiestry wojskowej, śpiewania hymnów narodowych, przez taniec Haka wykonywany przez nowozelandzkie ekipy rugby, aż do ścisłego rytuału, który stosuje Rafael Nadal przed każdym meczem.

Ale na skalę narodową nic się nie umywa do brytyjskich ceremonii królewskich, które włączają większość narodu we wspólne nabożeństwo, które jednocy ludzi, a zarazem utwardza grunt pod monarchią. Napoleon wiedział, czego chciał. ●



FOT. DOMENA PUBLICZNA

*Adam Zamojski

● ur. w 1949 r., wybitny brytyjski historyk i eseista, autor artykułów i książek głównie o historii Polski i Europy, m.in.: „Napoleon. Człowiek i mit”, „Święte szaleństwo. Romantycy, patrioci, rewolucjoniści 1776-1871”, „Polska. Opowieść o dziejach niezwykłego narodu. 966-2008” czy „Warszawa 1920”. Wychował się w Anglii, skończył Downside School oraz The Queen’s College na Oksfordzie. Jest członkiem Royal Society of Arts i Royal Society of Literature. Mieszka w Londynie, często bywa w Polsce.

Plakat

Gospodynie domowe darzą szczególnym zaufaniem mężczyzn noszących kraciaste koszule: z takim mężczyzną można posłać na polowanie nawet własne dziecko.

Michał Rusinek



Polski Związek Łowiecki opublikował niedawno plakat, którego zadaniem jest promowanie polowań z dziećmi. Jest to komunikat słowno-obrazowy, bardzo interesujący z perspektywy retorycznej, a ściślej: sztuki argumentacji.

Zacznijmy od zdjęcia. Przedstawia mężczyznę mniej więcej czterdziestoletniego oraz nastolatka, czyli w domyśle ojca i syna. Ojciec ma na sobie zieloną wiatrówkę, a pod nią kraciastą koszulę. Badania dowodzą, że gospodynie domowe w Polsce darzą szczególnym zaufaniem mężczyzn noszących kraciaste koszule: z takim mężczyzną można posłać na polowanie nawet własne dziecko. Ma on na szyi lornetkę, która pozwoli mu wypatrzeć dziecko, gdy to się oddali. W dłoni trzyma nabój do dubeltówki i coś mówi do syna, patrząc mu jednak nie w oczy, ale w usta, co sprawia wrażenie, jakby chciał go owym nabojem nakarmić lub miał pewne podejrzenia, że dziecko polknęło drugi nabój. Nie wydaje się tym jednak zaniepokojony. Syn także. Obaj się uśmiechają. Syn ubrany jest nieco mniej profesjonalnie (zwykła kurtka z ocieplanym kapturem), ale także w kolorach maskujących. Patrzy w dal wzrokiem pełnym zapewne szczęścia: nareszcie tata wziął go na polowanie i za chwilę sam ustrzeli jakąś dorodną zwierzynę. Albo zje drugi nabój. Obaj są w czapkach.

I tu przechodzimy do części słownej plakatu. Na górze widnieje napis: „Polowanie z dziećmi”, pod zdjęciem zaś, w punktach, wymienione są te rzeczy, które ta czynność zapewnia, czyli argumenty za dobroczynnym wpływem owej formy polowania. Pierwszy punkt brzmi: „Promuje zdrowy styl życia”. Trudno się z tym nie zgodzić, skoro, jak wspominałem, obaj są w czapkach, a wiadomo, że chodzenie po lesie z gołą głową jest niezdrowe: grozi zaziębieniem oraz boreliozą (kleszcze). Punkt drugi – polowanie „umożliwia rodzinne spędzanie wolnego czasu” – powoduje jednak, że zaczynamy zadawać pytania, jak Polski Związek Łowiecki rozumie rodzinę. I gdzie jest matka dziecka? Do kogo się ono uśmiecha z miną jednak raczej psotnika, patrząc przed siebie? Powściągnijmy jednak galop wyobraźni. Matka nie została przywiązana do drzewa, lecz czeka w domu z obiadem. Na wszelki wypadek, gdyby panowie wrócili z pustymi rękami, zrobiła kotlety.

Polowanie „buduje więź z dzieckiem poprzez wspólne przeżycia” – głosi punkt trzeci. Pozostajemy więc w kręgu wartości rodzinnych. I znów chora wyobraźnia podpowiada nam, jakież to mogą być przeżycia: ranny łoś, rycząc z bólu, postanawia zemścić się na myśliwych i spuszcza im obulomot. To w konsekwencji buduje więź na długo: najpierw na oddziale intensywnej terapii, potem na wielomiesięcznej rehabilitacji.

Punkt czwarty skupia się już na samym dziecku: polowanie „pomaga rozwijać dzie-

cięce pasje i zainteresowania”. Uświadomił mi on własną klęskę pedagogiczną. Mój syn, gdy był mały, na pytanie, kim chciałby zostać, gdy dorośnie, odpowiedział raz bez wahania, że płatnym mordercą. Wyjaśnił, że to ze względu na wysokie zarobki oraz fakt, że nie trzeba się długo uczyć. System edukacji wczesnoszkolnej go bowiem mocno rozczarował. Nie zdecydowaliśmy się rozwijać tych zainteresowań syna. W wyniku naszych zaniedbań nadal studiuje i na niegołożymy. Gdyby swoje zainteresowanie rozwinął, już od dawna by nas utrzymywał. Na swoje wstępie usprawiedliwienie mamy to, że gdy był mały, Polski Związek Łowiecki nie publikował takich plakatów.

To, że polowanie „uczy świadomego podejmowania wyborów”, to dość oczywista sprawa, ale nigdy dość oczywistości. Którego jelonka zastrzelić, a którego pozostawić przy życiu? Czy szarżującego na nas rannego łośa dobić czy nie ryzykować, że chybiemy, tylko rzucić dubeltówkę w krzaki i uciekać? Podobnych wyborów, mniej lub bardziej metaforycznych, dokonujemy przecież przez całe dorosłe życie! To nie koniec argumentów poznawczych i edukacyjnych, polowanie bowiem „zapewnia kluczową i empiryczną wiedzę na temat przyrody”. Nie wiem, czemu aż „zapewnia”, a nie po prostu „dostarcza”, i nie wiem, jak „kluczowa” jest zapewniana wiedza, ale ten punkt miał po prostu brzmieć naukowo i zrobić wrażenie. Brzmi zaledwie naukowo, ale dobre i to.

Punkt siódmy: polowanie „wyprowadza młodego człowieka ze świata wirtualnego i wprowadza w świat realny”. I bardzo słusznie! Należy odciągnąć dziecko od komórki, komputera i konsoli. Jeśli zauważymy, że gra w strzelanki, rzućmy z pogardą: „I to ma być krew? Ja ci pokaż prawdziwą krew. Chodźmy na polowanie!”. Jeśli dziecko poczuje się rozczarowane, że to polowanie na zwierzętą, a nie na złych ludzi jak w grze, to powiedzmy, że od czegoś trzeba zacząć.

Polowanie – jak głosi punkt ósmy – „uczy szacunku do środowiska”. To brawurowa teza, którą niełatwo obronić. Jeśli dziecko zapyta nas, na jakiej zasadzie zabijanie kogoś jest wyrazem szacunku do niego, powinniśmy skonsultować się z Polskim Związkiem Łowieckim (tel. 22 556 55 00) lub od razu powiedzieć gówniarzowi, żeby się nie garbił. Albo też przeczytać mu punkt dziewiąty: polowanie „buduje tożsamość społeczną, kulturową, narodową”. Usłyszawszy to, z pewnością przestanie się garbić. Wiadomo przecież, że nie łączy nas ani język, ani literatura, ani nawet piłka. To są tylko marne wyrazy sublimacji odwiecznego, pierwotnego, mezolitycznego, prasłowiańskiego popędu łowieckiego.

I wreszcie punkt dziesiąty, już ostatni, czyli – zgodnie z retoryczną zasadą – najważniejszy, który uświadamia nam, że mieliśmy do czynienia ze swoistym dekalogiem: polowanie „uczy szacunku do pożywienia”. Jak to rozumieć? Czy tak, że wszystko, co się ustrzeli, należy zjeść? A więc i strzelać należy wyłącznie do zwierzyny jadalnej? Wówczas bylibyśmy spokojni, że nie będzie strat w ludziach. A co, jeśli jakieś części owej zwierzyny okażą się niejadalne lub trudne do przelknięcia? Dziecku stanie wówczas przed oczami traumatyczna scena, gdy słyszy przy stole: „Dopóki wszystkiego nie zjesz ze swojego talerzyka, nie wstaniesz od stołu!”. Psotny uśmiech zamiera mu na ustach, lzy napływają do oczu. Drżącą ręką oddaje ojcu dubeltówkę i pędzi do domu.

Bo polowania nie są dla dzieci (skądinąd, dla dorosłych też nie). I wie o tym anonimowy twórca plakatu, który postanowił wbrew woli zleceniodawcy zachęcić dzieci do buntu przeciwko idiotycznemu pomysłu niektórych rodziców. Myślę, że zasłużył na jakiś medal. ●

SZEŚĆ KONI TO ZA MAŁO

czyli wszystko, co chcielibyście wiedzieć o koronacji Karola III



FOT. ROYAL COLLECTION TRUST

Maja Staniszevska

W sobotę w samo południe polskiego czasu Karol III i Camilla wkroczą do opactwa westminsterskiego, by zostać koronowanymi na króla i królową Wielkiej Brytanii. Operacja Złote Jabłko zacznie się 40 minut wcześniej, gdy opuszczą Buckingham Palace.

Kto jest na końcu kolejki do korony i dlaczego to Anna?

Zgodnie z zasadą „umarła królowa, niech żyje król” Karol III został królem Zjednoczonego Królestwa i krajów Wspólnoty Narodów (Commonwealth) po śmierci swojej matki, królowej Elżbiety II, 8 września 2022 roku. 74-letni obecnie władca jest najstarszą osobą w historii, która objęła tron. Jego następcą jest jego starszy syn Wil-

liam, książę Walii, a w dalszej kolejności jego dzieci: George, Charlotte i Louis; potem młodszy syn Harry, książę Sussex, i jego dzieci Archie i Lilibet; młodszy brat Karola – Andrzej, książę Yorku, i jego dzieci; najmłodszy brat Karola – Edward, książę Edynburga, i jego dzieci. Siostra Karola, Anna, choć jest młodsza tylko od niego, jest z rodzeństwa w kolejności sukcesji ostatnia.

Wraz z królem koronowana zostanie królowa małżonka Camilla. 75-letnią dziś Camillę ówczesny książę Walii poznał jako młody człowiek, później ona wyszła za mąż za Andrew Parkera Bowlesa, a on ożenił się z lady Dianą Spencer, ale romans między nimi ożył. Skandale z nim związane elektryzowały brytyjską (i nie tylko) opinię publiczną przez lata 90. W końcu Karol rozwiódł się z żoną, a Camilla z mężem. Diana zginęła w wypadku samochodowym w Paryżu w 1997 roku. Karol i Camilla pobraли się w roku 2005. Uznawano, że gdy Ka-

rol wstąpi na tron, Camilla nie będzie nosiła tytułu królowej. Zmieniło się to w ubiegłym roku – z okazji jubileuszu 70-lecia swoich rządów królowa Elżbieta II wyraziła życzenie, by Camilla mogła otrzymać tytuł królowej małżonki. Po koronacji zostanie po prostu królową.

W Krzyż Walii
wkomponowano
dwie drzazgi z Krzyża
Prawdziwego. **Podarował je
królowi z okazji koronacji
papież Franciszek**

Gdzie odbędzie się koronacja?

Opactwo westminsterskie to jedna z trzech najważniejszych świątyń w Wielkiej Brytanii obok katedry Canterbury i katedry św. Pawła. Miejsce koronacji brytyjskich władców jest od 25 grudnia 1066 roku, kie-

dy włożono tu koronę na głowę Wilhelma Zdobywcy. Karol III będzie 40. monarchą w nim koronowanym.

Opactwo jest czynną świątynią, ale też miejscem pochówku władców i znaczących osobistości, Isaaca Newtona, Karola Darwina, Stephena Hawkinga, Karola Dickensa czy Laurence'a Oliviera. Znajduje się w nim także pierwszy na świecie Grób Nieznanego Żołnierza.

Kto włoży koronę na głowę Karola III?

Justin Welby, arcybiskup Canterbury, najwyższy rangą duchowny Kościoła angikańskiego. Arcybiskup Canterbury jest tradycyjnie następcą świętego Augustyna z Canterbury, apostoła Anglii, który przybył na wyspę pod koniec VI wieku. Wielebny Justin Welby jest 105. arcybiskupem. Wykształcony w Eton i Cambridge, gdzie studiował historię i prawo, przez 11 lat pracował w przemyśle naftowym. Powołanie poczuł w 1989 roku. Zanim w 1992 roku przyjął święcenia, studiował teologię na Uniwersytecie Durham. Ma 67 lat, jest żonatym ojcem sześciorga dzieci.

Czym Karol i Camilla pojedą na koronację, a czym z niej wrócą?

Do katedry królewska para pojedzie z pałacu Buckingham Diamond Jubilee State Coach, zbudowaną dla królowej Elżbiety II z okazji jej diamentowego jubileuszu, czyli 60. rocznicy wstąpienia na tron w 2012 roku. Klimatyzowana i ogrzewana karetą na nowoczesnych resorach pozostaje w dyspozycji monarchy. Może nią jeździć tylko on, ewentualnie w towarzystwie małżonki lub okazjonalnie goszczącej w Wielkiej Brytanii głowy państwa. Pozłacana korona na szczycie Diamond Jubilee State Coach została wyrzeźbiona z dębu pochodzącego z okrętu HMS Victory, który brał udział w bitwie pod Trafalgarem i na pokładzie którego wróciło do Anglii ciało poległego w niej admirała Nelsona. Do karety zaprzężonych będzie sześć siwych koni.

Z katedry królewska para odjedzie Gold State Coach, której jako pierwszy użył w 1762 roku król Jerzy III. Korzystał z niej podczas wszystkich koronacji od czasu Wilhelma IV Hanowerskiego w 1831 roku. Ponieważ waży cztery tony, zostanie do niej zaprzężonych osiem koni, które będą szły stępa.

Jaka jest trasa królewskiego orszaku?

Trasa przejazdu królewskiego orszaku będzie krótsza niż podczas koronacji królowej Elżbiety II i wyniesie 2,1 km. Z pałacu Buckingham wyjedzie on Bramą Centralną, przejedzie aleją The Mall przez Admiralty Arch, po czym, pozostawiając po lewej Trafalgar Square, skręci w prawo w aleję Whitehall i dalej Parliament Street, następnie znów w prawo w Broad Sanctuary, by przybyć przed opactwo westminsterskie.

Tam zostanie sformowana procesja koronacyjna. Na jej czele niesiony będzie Krzyż Walii – Karol przez większość swojego życia był księciem Walii – w który wkomponowane zostały dwie drzazgi z Krzyża Prawdziwego, uważanego za ten, na którym zmarł Jezus. Podarował je królowi z okazji koronacji papież Franciszek.

Po uroczystości królewska para wróci tą samą trasą, ale w o wiele większym orszaku. Dołączy do niego sześć tysięcy żołnierzy ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych Wielkiej Brytanii, ale też z krajów Commonwealthu i brytyjskich terytoriów zamorskich, jak również gwardie królewskie, w tym naj-

starsza, sformowana w 1485 roku Yeomen of the Guard.

Po powrocie do pałacu Buckingham na ich wysokości czekał będzie Królewski Salut i trzykrotne hurra. Około godziny 15.15 król i królowa w otoczeniu rodziny mają się pojawić na pałacowym balkonie, by pozdrowić zebrane tłumy i obejrzeć przelot samolotów Królewskich Sił Powietrznych.

Korony, berła, jabłka i łyżeczka

W czasie rewolucji angielskiej po egzekucji króla Karola I w 1649 roku większość insygniów koronacyjnych została stopiona. Gdy przywrócono monarchię, trzeba je było stworzyć od nowa, są przechowywane w skarbcu w londyńskiej Tower.

Król Karol III zostanie koronowany koroną św. Edwarda, po raz pierwszy użytą przy koronacji Karola II w 1661 roku. Koronowani byli nią także jego matka i dziadek. Korona jest ze złota, ma 30 cm wysokości i waży ponad 2,2 kg. Wysadzana jest rubinami, ametystami, szafirami, granatami, topazami i turmalinami. Ma aksamitną purpurową czapkę opasaną gronostajami.

Później monarcha włoży o połowę lżejszą Imperial State Crown, koronę „robotniczą” używaną przy ceremonialnych okazjach, takich jak otwarcie parlamentu. Na jej froncie znajduje się owalny diament Cullinan II mający ponad 4,5 cm szerokości. Poza tym w koronie oprawione są prawie trzy tysiące kamieni, w tym dwa duże szafiry i rubin.

Król otrzyma dwa berła. Berło z krzyżem symbolizujące jego władzę doczesną, złote, z sześciocentymetrowym brylantem Cullinan I w kształcie łyżki. Drugie berło z gołębicą zwane „laską sprawiedliwości i miłosierdzia” reprezentuje władzę duchową. Powstało w 1661 roku, podobnie jak mające 15 cm średnicy złote królewskie jabłko symbolizujące świat.

Do głównych regaliów dołączą symbolizujące rycerstwo ostrogi Karola II, jego dwie emaliowane złote bransolety, ostatnio użyte podczas koronacji Jerzego VI, oraz pierścieni królewski, złoty z szafirem i krzyżem z rubinów w oprawie z brylantów.

Podczas koronacji będą także użyte bogato zdobiony Miecz Ofiarowania wykonany w 1820 roku z damasceńskiej stali na koronację króla Jerzego IV, który król dostanie do rąk, a następnie odda, a także cztery miecze ceremonialne, niesione przed monarchą nagię jako symbole jego władzy państwowej, wojskowej, sprawiedliwości (ten miecz, Curtana, jest tępy) i bycia obrońcą wiary. Będzie też długa złota laska zwieńczona jabłkiem z krzyżem, zwana berłem św. Edwarda, która tradycyjnie jest niesiona podczas koronacji, ale nikt nie wie dlaczego.



Korona jest ze złota, ma 30 cm wysokości i waży ponad 2,2 kg. Wysadzana jest rubinami, ametystami, szafirami, granatami, topazami i turmalinami

Ale nie nałożenie korony na skronie króla jest najważniejszą częścią koronacji – jest nią poprzedzające je namaszczenie. Król bowiem jest według tradycji pomazańcem Bożym, głową Kościoła angikańskiego. Arcybiskup Canterbury namaści jego ręce, pierś i czoło, „jak królowe, księża i prorocy byli namaszczeni”.

Posłuży do tego olej, a właściwie oliwa z oliwek z dwóch gajów na Górze Oliwnej w Jerozolimie obok klasztoru Marii Magdaleny i klasztoru Wniebowstąpienia. W tym pierwszym pochowana jest księżna Alicja, babka króla Karola. Olej konsekrowali wspólnie patriarcha Jerozolimy Teofil III i angikański arcybiskup Jerozolimy Hosam Naoum w bazylice Grobu Świętego. Olej jest węgierski, do jego perfumowania użyto wyłącznie olejków eterycznych z roślin, m.in. róży, jaśminu, cynamonowca i kwiatów gorzkiej pomarańczy. Namaszczona zostanie także królowa małżonka.

Podobnie jak podczas koronacji Elżbiety II ten najważniejszy moment ma zostać pominięty w transmisji telewizyjnej. Król w trakcie namaszczenia będzie osłonięty złotą tkaniną.

Olej będzie przechowywany w wykonanej ze złota ampule w kształcie orla z rozłożonymi skrzydłami. Kształt według legendy zawdzięcza XII-wiecznemu świętemu Tomaszowi Beckettowi, któremu miała objawić się Maryja i wręczyć złotego orla i fiołkę z olejem do namaszczenia przyszłych królów Anglii.

Olej z ampule zostanie wylany na niepozorną pozłacaną łyżeczkę – to najstarszy przedmiot używany w czasie koronacji. Po raz pierwszy zinwentaryzowano ją jako jedno z insygniów św. Edwarda w 1349 roku, do koronacji użył jej jeden z XII-wiecznych królów Henryk II lub Ryszard I. W czasie rewolucji kupił ją jeden z królewskich służących i w 1661 roku zwrócił królowi Karolowi II.

Korona dla królowej, czyli problem z Koh-i-noorem

Wybór korony dla królowej Camilli był kłopotliwy. Korona poprzedniej królowej małżonki, babki Karola – Elżbiety, wykonana z platyny w 1937 roku ma bowiem na froncie wprawiony brylant Koh-i-noor, który królowa Wiktoria otrzymała w kontrower-



FOT. ROYAL COLLECTION TRUST (3)





FOT. SHUTTERSTOCK

FOT. PAUL GROVER/AP

syjnych okolicznościach w 1849 roku – jego zwrotu domagają się Indie, Pakistan i Afganistan. Dlatego pozostanie w Tower, a Camilla włoży koronę królowej Marii z 1911 roku. Lekka, półkilogramowa i wykonana ze złota i srebra została specjalnie dopasowana dla Camilli i ozdobiona diamentami Cullinan III, IV i V z prywatnej kolekcji królowej Elżbiety II.

Wybór berła jest kontrowersyjny, wersja berła z gołębicą dla małżonki wykonana jest bowiem z kości słoniowej. Wielka Brytania jest jednym z krajów, który zabrania handlu kością słoniową i przedmiotami z niej, książę William osobiście prowadził kampanię przeciwko kłusownikom i przemytnikom, tymczasem kość słoniowa pojawia się na koronacji.

Na czym zasiądzie król?

Liczące ponad 700 lat dębowe krzesło koronacyjne, pozłacane jeszcze gdzieśgdzie, to najstarszy na Wyspach, a może i na świecie, mebel wciąż używany do celu, do jakiego został zbudowany, wykonano je na polecenie XIII-wiecznego króla Edwarda I. Służyło prawie wszystkim kolejnym królom, ale co ciekawe, nie było równie dobrze chronione, jak klejnoty koronne, dlatego ma wyryte przez XVIII- i XIX-wiecznych turystów czy uczniów napisy, jak choćby: „P. Abbott spał w tym krześle w nocy z 5 na 6 czerwca 1800 r.”. Krzesło ucierpiało również w 1914 roku, gdy sufrażystki rzuciły w nie bombę. Konserwatorce Kriście Blessley pół roku zajęło przygotowanie go do uroczystości. Pod jego siedziskiem znajduje się miejsce na kamień ze Scone.

Zwany Kamieniem Przeznaczenia symbol monarchii szkockiej to niepozorny prostopadłościan z czerwonego piaskowca. Według legendy Jakub złożył na nim głowę w Betel i przysniła mu drabina do nieba, na szczycie której stał Bóg. Synowie Jakuba mieli zabrać kamień do Egiptu, skąd przez Hiszpanię trafił do Irlandii. Z niej zabrał go Fergus Mór mac Eirc, zmarły ok. 501 roku pierwszy król Szkotów. I przez kolejne stulecie na nim koronowani byli jego następcy. Od 846 roku był przechowy-

wany w klasztorze w Scone w hrabstwie Perthshire. Ostatnim koronowanym na nim królem Szkotów był John Balliol w roku 1292. Cztery lata później Edward I zwany Młotem Szkotów zabrał kamień do Londynu i kazał umieścić w krześle koronacyjnym, symbolicznie pokazując władzę angielskich królów nad Szkotami. W 1603 roku zasiadł na nim jednak król Szkotów Jakub I Stuart podczas swojej koronacji na króla Anglii.

W Boże Narodzenie 1950 roku czworo szkockich studentów opowiadających się za niepodległością zabrało kamień, który w czasie akcji pękł na dwoje. Prawdopodobnie został uszkodzony w trakcie zamachu sufrażystek 36 lat wcześniej. W kwietniu znaleziono go na ołtarzu szkockiego opactwa Arbroath. Po tym incydencie trafił na jakiś czas do skarbca, ale już podczas koronacji Elżbiety II był na swoim miejscu.

W 1996 roku rząd brytyjski zdecydował o zwróceniu kamienia Szkocji. W podróży na północ eskortował go m.in. generał John Swinton, szkocki arystokrata, ojciec aktorki Tildy Swinton. Kamień przecho- wywany jest wśród klejnotów koronnych na zamku w Edynburgu i tam wróci po koronacji Karola III. W przyszłym roku jednak kamień ma wrócić do Perthshire, gdy skończy się budowa nowego muzeum, którego będzie najważniejszą atrakcją.

Kto przybędzie na koronację?

Jak zaznacza pałac Buckingham, koronacja Karola ma być dość skromna, w opactwie weźmie w niej udział 2,2 tys. gości, prawie cztery razy mniej niż podczas koronacji jego matki. Król życzył sobie, żeby zaproszone osoby wybrano „według zasług, a nie pochodzenia”, dlatego w kościele znajdzie się 850 osób, które działają na rzecz innych, ale oczywiście nie zabraknie arystokracji.

Przed wszystkim członków rodziny królewskiej z następcą tronu księciem Wali Williamem i jego żoną Catherine oraz bratem Williama Harrym, księciem Sussex od 2020 roku mieszkającym w USA, na czele. To wokół zaproszenia dla niego i jego amerykańskiej żony Meghan toczyła się w Wielkiej Brytanii najgorętsza dyskusja. W styczniu ukazała się bowiem autobiografia Harry’ego „Ten drugi”, w której opisywał konflikty wewnątrz rodziny królewskiej, oskarżał obecną królową Camillę o to, że „złożyła go na ołtarzu swojego PR-u”.

Obecny będzie urzędujący premier Rishi Sunak i poprzedni premierzy, obecni ministrowie i około 80 parlamentarzystów z obu izb, a także przedstawiciele krajów Wspólnoty Narodów. Wśród głów państw znajdą się m.in. prezydenci Francji Emmanuel Macron i Niemiec Frank-Walter Steinmeier oraz prezydent Andrzej Duda i prezydentka Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. A wśród koronowanych głów król Hiszpanii Filip VI z żoną Letycją, następcą tronu Danii książę Fryderyk z żoną Marią, japoński książę Akishino z żoną Kiko, książę Albert II z Monako z żoną Charlene oraz król Abdullah II i królowa Rania z Jordanii.

Kogo nie będzie?

Księżna Meghan, amerykańska żona księcia Harry’ego, otrzymała zaproszenie na koronację, choć w brytyjskiej prasie trwała dyskusja, czy powinna je dostać i czy powinna przyjeżdżać. Meghan bowiem, a raczej to, co ją spotkało – rasizm i nieustanne krytykowanie w mediach, były powodem, dla którego Sussexowie opuścili Wielką Brytanię. Księżna zdecydowała, że zostanie w Kalifornii z dziećmi – obchodzącym w dniu koronacji czwarte urodziny Archiem i niespełna dwuletnią Lilibet.

W domu zostanie też prezydent USA Joe Biden. Amerykańscy prezydenci nie mają w zwyczaju uczestniczyć w koronacji wład-



FOT. BUCKINGHAM PALACE

cy państwa, z którym stoczyli w XVIII wieku wojnę o niepodległość. Reprezentować go będzie żona Jill Biden.

Nie zaproszono Sarah Ferguson, byłej żony księcia Andrzeja, starszego z dwóch braci króla, mimo że jej córki są w linii sukcesji.

Co będzie grane?

Na koronację skomponowano 12 nowych utworów, autorem jednego z nich, hymnu „Make a Joyful Noise”, jest słynny twórca musicali Andrew Lloyd Webber. Część nabożeństwa zostanie odśpiewana po walijsku, m.in. przez śpiewaka operowego sir Bryna Terfela. Będzie także grecka muzyka prawosławna na cześć ojca króla, księcia Filipa, który urodził się na Korfu i w tym obrządku został ochrzczony, a także chór gospel.

Danie koronacyjne

W 1953 roku na przyjęcie po koronacji Elżbiety II powstał „poulet reine Elizabeth”, dziś znany po prostu jako kurczak koronacyjny i mający postać salatkki z gotowanego kurczaka z majonezem i curry. Danie wyjątkowo praktyczne – można je przygotować z wyprzedzeniem, łatwo podzielić między gości, a resztek użyć do kanapek.

Koronacyjnym daniem Karola III będzie równie praktyczny Coronation Quiche. Na oficjalnej stronie rodziny królewskiej można znaleźć przepis, w skrócie to wytrawny placek z farszem ze szpinaku i bobu przyprawiony świeżym estragonem i posypany cheddarem. Bardzo sezonowe wiosenne danie.

Ile to będzie kosztowało?

Koszt operacji Złote Jabłko być może poznamy po uroczystości. Mówi się o 100 mln funtów. Zapewne sporą część tej sumy pochłoną koszty ochrony, za wszystko zapłacą podatnicy. W Wielkiej Brytanii, która jest w poważnym kryzysie nazywanym na Wyspach „kryzysem kosztów życia”, toczy się dyskusja, czy król nie powinien za koronację zapłacić z własnej kieszeni. Zwłaszcza że jest głęboka – „Guardian” wyliczył, że osobisty majątek Karola III to około 1,8 mld funtów. Król nie zapłacił też ani pensa podatku spadkowego, gdy odziedziczył osobisty majątek matki.

W kraju, w którym jest więcej banków żywności niż McDonaldów, w którym tej zimy organizowano ogólnodostępne „ciepłe pokoje” dla ludzi, których nie stać było na ogrzewanie, i gdzie piłkarz musiał zawstydzić rząd, by utrzymał darmowe posiłki w szkołach dla najbardziej potrzebujących dzie-

ci, takie oczekiwanie wydaje się rozsądne. Według sondażu YouGov przeprowadzonego dwa tygodnie przed uroczystością 51 proc. dorosłych Brytyjczyków uważa, że to nie oni powinni płacić za koronację.

W poprzedzający piątek i w dniu koronacji puby będą czynne dwie godziny dłużej niż zazwyczaj. Brytyjczycy są też zachęceni do organizowania ulicznych przyjęć i wspólnego oglądania uroczystości.

7 maja na zamku w Windsorze odbędzie się transmitowany w telewizji koncert. Zimą głośno było o tym, że wiele brytyjskich gwiazd miało odmówić udziału w nim, wymawiając się wcześniejszymi zobowiązaniami. Byli wśród nich m.in. Elton John, Ed Sheeran i Adele. Ostatecznie na koncercie wystąpią Amerykanie Katy Perry i Lionel Ritchie, włoski tenor Andrea Bocelli oraz trzej członkowie brytyjskiego zespołu Take That (ale nie Robbie Williams). Na żywo koncert obejrzy 20 tys. szczęśliwców, którzy wylosowali bilety.

Poniedziałek po koronacji został ogłoszony dniem wolnym od pracy. Król i królowa małżonka zachęcają poddanych, by tego dnia zaangażowali się w wolontariat w ramach inicjatywy Big Help Out.

Co Brytyjczycy sądzą o koronacji?

Według przeprowadzonego 13 kwietnia sondażu YouGov tylko 9 proc. Brytyjczyków żywo obchodzi koronacja. Mniej niż połowa – 46 proc., zamierza oglądać koronację lub wziąć udział w towarzyszących jej uroczystościach.

Według sondażu YouGov dla programu „Panorama” BBC choć Brytyjczycy wciąż w większości wolą monarchę od wybieranej głowy państwa – 58 do 26 proc. (reszta powiedziała, że nie wie), to wśród najmłodszych, tych w wieku 18-24 lat, przewagę ma opcja republikańska – 38 do 32 proc. (przy 30 proc., które nie wiedzą).

Król już kilka razy od objęcia władzy musiał uchylać się przed lecącymi w jego stronę jajkami, spotykać z buzieniem, okrzykami i plakatami „Nie mój król”. Na czas koronacji dyskusja o brytyjskiej monarchii przycichła, ale wróci.

Ostatni sondaż National Centre for Social Research, opublikowany 28 kwietnia, pokazywał, że tylko 29 proc. Brytyjczyków uważa dziś, że monarchia jest „bardzo ważna” (wśród najmłodszej grupy 18-34 lat tylko 12 proc.). To najgorszy wynik w historii badań. Aż 45 proc. badanych odpowiedziało za to, że monarchię albo należałoby znieść, albo ich ona nie obchodzi. ●

FOT. MENNICA KRÓLEWSKA

DZIENNIKARSKA GRA W ZIELONE

Po lewej stronie Tucker Carlson budził postrach, bo jest najbystrzejszy i najsukuteczniejszy. Aż nagle wyleciał z roboty.

Maciej Jarkowicz

Najodważniejsza postać amerykańskich mediów. Najbardziej bezkompromisowy głos Ameryki. Najinteligentniejszy i najbardziej wściekły obserwator. Nie reaguje na wydarzenia, kreuje je. Odmienił telewizję i prawo.

To urywki z laurek prawej strony pod adresem Tuckera Carlsona. Nazywa Irakijczyków „prymitywnymi małpami”, Afganistan krajem, „którego nie da się ucywilizować, bo jego ludzie nie są cywilizowani”, imigrantów „brudnymi biedakami”; oddaje mikrofon antyszczepionkowcom, namawia do niszczenia murali Black Lives Matter. Gdy terrorysta sprzeciwiający się „latynoskiej inwazji na Teksas” zastrzelił 23 osoby w przygranicznym El Paso, Carlson komentuje, że „biały nacjonalizm” to fejk. Te i podobne występy sprawiają, że magazyn „Politico” zastanawia się, czy gwiazdor będzie kandydował na prezydenta.

Wycinki z „Tucker Carlson Tonight”, programu, jaki przez ponad sześć ostatnich lat prowadził w prime timie, często trafiają do moskiewskich serwisów propagandowych. Carlson jest przeciwnikiem pomocy USA Ukrainie. W jego show prezydent Wołodymyr Zełenski został nazwany alfonsem.

Po lewej stronie Tucker budzi postrach, bo jest „najbystrzejszy i najsukuteczniejszy” z konserwatywnych komentatorów, aż nagle, 21 kwietnia, ku zaskoczeniu wszystkich, zostaje zwolniony. Szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow odnotowuje to w czasie delegacji w ONZ, w Nowym Jorku. „Najwyraźniej pierwsza poprawka do konstytucji Stanów Zjednoczonych [gwarantująca wolność słowa] nie ma zastosowania w praktyce”.

UCZCIWOŚĆ URYNKOWIONA

Jak tłumaczyła mi Jill Lepore, autorka głośnej historii USA „My, naród”, zapisana w konstytucji wolność słowa pochodzi od wolności prasy drukarskiej, a nie tej w dzisiejszym rozumieniu.

W XVIII w. cechy drukarskie były pierwszymi moderatorami debaty publicznej. Drukarze uważali, że ich obowiązkiem jest przedstawianie argumentów obu stron sporu, żeby ludzie mogli sami decydować. Wkrótce jednak, kiedy drukowane komunikaty ewoluowały z ulotek i pamfletów do postaci gazet – przekaz został upartyjniony. Pierwsze wysokonakładowe dzienniki były organami politycznymi.

Rozwój prasy następował wraz z rozwojem branży reklamowej. Rozpoczął się pościg za sensacją. Pewien redaktor z Missouri już w 1892 r. wyjaśniał: „Gazeta nie jest misją ani organizacją charytatywną. Jest biznesem, który publikuje ta-



• **Tucker Carlson (z lewej) i Donald Trump podczas turnieju golfa. 2022 rok, Bedminster, USA**

FOT. L.E.MORMILE/SHUTTERSTOCK

kie wiadomości, które ludzie będą chcieli kupić”. Andie Tucher w wydanej w zeszłym roku książce „Not Exactly Lying” o dziejach dziennikarstwa w USA pokazuje, że przez większą część swej historii było ono zajęte przede wszystkim rozrywką, propagandą, teoriami spiskowymi. Na powielanych w milionach egzemplarzy gazetowych melodramatach, kryminałach i skandalach – częściowo, a nieraz zupełnie zmyślonych – wyrastały prasowe imperia, jak to należące do Williama Randolpha Hearsta.

Moralne przebudzenie zaczęło się pod koniec XIX w. od legendarnego naczelnego tygodnika „Harper’s” George’a Williama Curtisa, który nazwał współczesne sobie media „interesem godnym pogardy”. Postulował, aby zadanie dociekania prawdy leżało po stronie gazet, a nie ich czytelników próbujących wyczytać ją między wierszami bzdur.

Po II wojnie światowej, gdy raczkowała telewizja, Federalna Komisja Łączności (FCC) ustaliła, że nadawcy muszą zapewniać dostęp obu stronom sporów i poruszać tematy społecznie akustyczne. Fairness doctrine, czyli zasada uczciwości, obowiązywała do 1987 r., kiedy padła ofiarą de-

regulacyjnej kosiarki, bo Ronald Reagan ją po prostu urył.

Niejaki Rush Limbaugh triumfalnie ogłosił zniesienie zasady na radiowej antenie. Mówił o „wyzwoleniu z sowieckiej dominacji liberalnych mediów”. Wkrótce stał się gwiazdą, której każdego tygodnia słuchało średnio 13 milionów Amerykanów. „Feminizm wymyślono po to, żeby umożliwić brzydkim kobietom awans” – nauczał. „Jedyny sposób na to, żeby zredukować broń jądrową, to zacząć jej w końcu używać”. Do największych admiratorów Limbaugh’a zaliczał się niejaki Roger Ailes, doradca prezydentów Richarda Nixona, Ronalda Reagana i George’a W. Busha. Marzył o powołaniu telewizji, która dałaby odpór zdominowanemu przez lewicę mediom. Przekonał do pomysłu magnata medialnego Ruperta Murdocha. W 1996 r. wspólnie ogłosili na konferencji prasowej narodziny Fox News. „Przywrócimy mediom obiektywizm” – obiecali.

„W MEDIACH BIORĄ KAŻDEGO”

Tucker Carlson od trzydziestu lat jest żonaty z Susan Andrews. Mają czwórkę dorosłych dzieci. W Święto Niepodległości tata czytał im Kartę Praw, odpalając petardę po każdym z artykułów. W wywiadzie dla magazynu „GQ” w 2017 r. powiedział, że jego ścieżkę kariery wytyczyły finansowe potrzeby rodziny. „Jak masz czwórkę dzie-

ci w prywatnych szkołach, nie jesteś wybredny”.

Urodził się w rodzinie należącej do republikańskiej elity. Gdy miał sześć lat, matka wyemigrowała do Francji, ojciec dostał wyłączną opiekę nad dziećmi. Był dziennikarzem politycznym i prezydentem największych stacji, zanim prezydent Reagan mianował go szefem rządowej rozgłośni Głos Ameryki, nadającej na świat w czterdziestu językach. Tucker od małego otoczony był waszyngtońskimi wyjadaczami.

Po studiach chciał iść do CIA, ale nie został przyjęty. Według jednej z wersji powodem miał być alkoholizm (od 2002 r. Carlson nie pije). Tata doradził mu: „Idź do mediów, tam biorą każdego”. Zaczynał jako fact-checker, zaczął publikować w wychodzącej w Little Rock „Arkansas Democrat-Gazette”. Stamtąd trafił do neokonserwatywnego magazynu „Weekly Standard”. Kiedy usiadł do rozmowy o pracę z szefem Foxa Rogerem Ailesem (później wyrzuconym za molestowanie dziennikarek), miał za sobą telewizyjne doświadczenia w CNN i MSNBC. Z obu stacji został zwolniony. Pilot serialu, który napisał dla CBS, nie został kupiony. Wystąpił w „Tańcu z gwiazdami”, odpadł jako pierwszy uczestnik. Był w finansowym dołku, musiał sprzedać rodzinną posiadłość w New Jersey.

Ailes powiedział mu: „Jesteś przegrany. Spieprzyłeś życie”. I dał mu pracę zgodnie ze swą złotą zasadą – gość na dnie, do którego wyciągnie się pomocną dłoń, zaszuwa bardziej od innych.

Gdy dostał własny program, jako autora tekstów zatrudnił znajomego, nikomu nieznanego publicystę z Dakoty Południowej Blake’a Neffa. To Neff był autorem większości monologów, w których Carlson pomstował na imigrację, na mniejszości, na korporacje, elitę, media. Zdobyli rekordową publiczność strategią rozjuszenia: Carlson prowokował, zbierał krytykę, by w następnym programie zaatakować krytyków i odpalić kolejną prowokację. „Rzucał widzom surowe mięso i przychodzili po więcej” – zrecenzował serwis The Hill. W 2020 r. Neffa usunięto, gdy wyszły na jaw jego rasistowskie wpisy na forach. „Nic tak nie obniża przestępczości jak czarni goście siedzący w domu i grający w gry wideo”. „Daliście zoperować sobie oko czarnuchowi z Kongo? Ja bym nie dał nawet Azjacie, i to za darmo”. Carlson twierdził, że nie znał Neffa od takiej strony, ale po jego odejściu pomyślał na podbijanie słupków się nie zmienił. Richard Spencer, jeden z liderów ruchu białej supremacji, nazwał Carlsona „najbardziej rzeczowym i interesującym komentatorem”. Były wielki czarownik Ku Klux Klanu David Duke doradzał Donaldowi Trumpowi na Twitterze: „Proszę nominować Carlsona na wiceprezydenta. To napędzi kampanię”.

W 2021 r. Carlson przedłużył kontrakt z Fox. Dostał 20 milionów dolarów rocznie. Reklamodawcy odwracali się od jego programu, ale dla Murdocha nie miało to znaczenia – kodowana stacja zarabia na subskrypcjach. Tucker był ich najsukuteczniejszym dostarczycielem. Gwiazdor miał też być motorem napędowym serwisu streamingowego Fox Nation. Tam wyemitowano serię dokumentalną jego autorstwa, w której napaść na Kapitol z 6 stycznia 2021 r. została pokazana jako prowokacja sil przeciwnych Trumpowi.

KTO MA LEPSZE WŁOSY?

W 1991 r. słynny nowojorski publicysta Jimmy Breslin pisał o pewnym miliarderze: „Facet ma w kieszeni całą branżę medialną, dzięki temu, że oddzwania do dziennikarzy”. Donald Trump, bo o nim mowa, zadebiutował w roli celebryty 40 lat temu. Od tamtej pory szczerdzie oferuje siebie mediom. Mówi: bierzcie mnie, zrobię show, słupki poszybują pod niebiosa. Brali i nadal biorą. Zanim został prezydentem, był traktowany jako ciekawa postać nie tylko przez tabloidy i telewizje śniadaniowe, lecz także Oprah Winfrey i najbardziej szanowanych dziennikarzy. W roku 2016 publicysta „New York Timesa” Nicholas Kristof napisał tekst pod tytułem „Nasz wspólny wstyd: jak media pomogły wykreować Trumpa”.

W tamtej kampanii oglądalność trzech największych nadawców informacyjnych – Fox News, CNN i MSNBC – notowała rekordy. Tylko w czasie prawyborów serwisy informacyjne poświęciły Trumpowi czas antenowy o wartości 1,9 mld dol. – trzy razy więcej, niż dostała Hillary Clinton, siedem razy więcej niż republikański rywal Trumpa Ted Cruz.

Kilka lat wcześniej, gdy Trump był jeszcze tylko biznesmenem, a Tucker Carlson pracował w CNN, drugi skomentował fryzurę pierwszego na antenie. Trump odpowiedział, nagrywając się na automatycznej sekretarce Carlsona: „Może i masz lepsze włosy, ale ja zdobywam więcej cipek”. Tak zaczęła się ich znajomość. Program „Tucker Carlson Tonight” zadebiutował w 2016 r., osiem dni po wygranych przez Trumpa wyborach. Carlson dostał 60 minut najbardziej dochodowego czasu antenowego, od poniedziałku do piątku. Reklamowano go jako „zaprzysiężonego wroga kłamstwa, patosu, arogancji i grupowego myślenia”. Show małpowało retorykę prezydenta, ale też podrzucalo tematy, które Trump ogrywał później na Twitterze i na wiecach.

Carlson odróżniał się od innych gwiazd Fox News tym, że był wobec Trumpa niepokorny. Potrafił go krytykować. W czasie protestów po zabójstwie George’a Floyda domagał się rozpedzenia demonstracji pod szyldem Black Lives Matter i wytykał prezydentowi uległość. Trump nie mógł też zastosować swojego starego tricku – zdobyć Carlsona oddzwaniem, bo Carlson nigdy się z Białym Domem nie kontaktował i nie zabiegał o wywiady. Wkrótce to doradcy Trumpa zaczęli naciskać na dziennikarza, żeby poświęcił prezydentowi program. Serwis VOX napisał, że Carlson przejął od Trumpa nasączoną resentymentem i gniewem opowieść, ale odciął ją od źródła. „Stworzył trumpizm pozbawiony Trumpa”.

W ostatnich miesiącach, kiedy Trump budował momentum, żeby ogłosić ponowny start w wyborach, jego ludzie znów wydzwaniali do Carlsona z prośbami o wywiad. Do rezydencji dziennikarza w stanie Maine pielgrzymował jego dobry znajomy, syn byłego prezydenta Donald Jr. Sprawa została dogadana. Ostatnia rozmowa Carl-

sona z Trumpem w Fox ukazała się dwa dni przed zwolnieniem dziennikarza. Opatrzono ją sloganem: „Historyczny wywiad”. Były prezydent i kandydat na prezydenta powtórzył, że zgodnie z prawem powinien teraz być prezydentem. Wybory sfalszowano. Prokuratorzy na usługach spiskowej elity ścigają go, aby ukatrupić jego kampanię i nie dopuścić do władzy.

„MUSIMY UTRZYMAĆ WIDZÓW”

3 listopada 2020 r., noc wyborcza. Fox News tak jak inne największe stacje telewizyjne, ogłasza, że Joe Biden wygrał z Donaldem Trumpem w Arizonie, kluczowym stanie, który może przechylić szalę zwycięstwa w całym kraju. Analitycy oglądalności obserwują jak protrumpowska widownia odpywa od Fox News i przełącza się na konkurencyjne kanały. Tam wyścig w Arizonie nadal pozostaje nierozstrzygnięty.

Amerykańskie dziennikarstwo zawsze zajęte było rozrywką, propagandą i teoriami spiskowymi

W następnych godzinach i dniach komunikatory wewnątrz Fox News grzeją się do czerwoności. Dyrektorka stacji Suzanne Scott pisze do właściciela Ruperta Murdocha, że Fox musi „utrzymać widzów, którzy nas kochają i nam ufają”. „Muszą mieć pewność, że ich nie porzucamy” – dodaje. Raj Shah, wiceprezydent w Fox Corporation, donosi swemu przełożonemu, synowi Murdocha Lachlanowi o „znaczącym tąpnięciu” we wskaźnikach oglądalności, któremu „trzeba jak najszybciej zaradzić”. Badania nastrojów widzów, jakie zlecają decydenci, pokazują, że wierna dotąd publiczność jest wściekła na swoją stację.

Na ratunek spieszy jeden z gwiazdorów Sean Hannity: „Nigdy nie poznamy prawdziwych, uczciwych i dokładnych wyników tych wyborów. To fakt”.

Jeden z członków zarządu firmy, były republikański polityk Paul Ryan ostrzega

Murdochów przed rozsiewaniem teorii spiskowych, ale Susane Scott naciska: „Musimy szanować naszą publiczność”. Szefowa zarządu Anne Dias mówi o „egzystencjalnym momencie dla narodu i Fox News jako marki”.

W programach najbardziej popularnych prezydentów stacji pojawia opowieść o maszynach do głosowania, które mogły umożliwić kradzież. Tucker Carlson: „Nie nie wiemy o tym oprogramowaniu. Niektórzy twierdzą, że zostało zmanipulowane. Nie wiemy, ile głosów zrabowano”. Sugestię o fałszerstwie z użyciem maszyn powtarza w kolejnych programach.

On i jego koledzy podburzają nastroje przed zapowiedzianymi na 6 stycznia 2021 demonstracjami w Waszyngtonie.

Gdy tłum szturmuje Kapitol, Fox News – choć potępia atak – nie spuszcza z tonu w kwestii sfalszowania wyborów. 26 stycznia w programie Carlsona występuje Mike Lindell, biznesmen, doradca Trumpa, czolowy propagator kłamstwa o wyborczych machlojkach. Gdy oglądalność powoli wraca na poziom sprzed „arizońskiej pomyłki”, firma Dominion Voting Systems, producent maszyn do głosowania, wytacza Fox proces, domagając się 1,6 mld dolarów odszkodowania.

Na świadka powołany zostaje sam Rupert Murdoch. Przyznaje, że świadomie dopuścił do szperzenia nieprawdy na antenie. Nie zaprzecza, gdy prawnik Dominion sugeruje, że magnat zrobił to dla zysku: „Nie liczy się niebieski (kolor Demokratów) ani czerwony (Republikanów), tylko zielony (dolarów)”. Murdoch wie, że nie ma szans wygrać z Dominion. 18 kwietnia podpisuje ugodę i wypłaca firmie 787,5 miliona dolarów. Trzy dni później wyrzuca Tuckera Carlsona z Fox.

ŻYCZENIE ŚMIERCI

Polityka to najbardziej dochodowa – obok sportu – telewizyjna rozrywka w Stanach. Przychody nadawców z politycznego cyrku, jakim są amerykańskie wybory, przekroczyły w ubiegłym roku osiem miliardów dolarów.

Tucker Carlson pochodzi ze znanej dziennikarskiej rodziny i sam pracuje w mediach od trzydziestu lat. Mało kto ma w branży tak dobre kontakty jak on. Prywatnie uchodzi za dobrego kolegę – zarówno lewicowych, jak i prawicowych dziennikarzy. „New York Times” napisał, że jest świetnym anonimowym źródłem. Chętnie przekazuje w eter nowiny wyniesione z politycznych gabinetów. Za rządów Trumpa był ponoć jednym z najważniejszych dystrybutorów przecieków z Białego Domu.

Dlatego pośród komentarzy po jego zwolnieniu przewijał się pogląd, że gwiazdor radykalizował się dla pieniędzy. Dowodzi tego choćby wewnętrzna korespondencja z Fox ujawniona w procesie z Dominion. Poza anteną Carlson mówi, że cała historia o fałszowaniu wyborów z użyciem maszyn

do głosowania to „absurd”. Przyznaje, że nie znosi Trumpa i wyczekuje jego upadku.

Maile i SMS-y z Fox pokazały też, że Carlson nie liczył się z szefostwem stacji. Grał tylko na swoją popularność. Jako kura znosząca złote jajka czuł się chroniony przez samego Murdocha. Przeszarżował. Po sprawie Dominion magnat uznał, że ryzyko związane z Carlsonem przewyższa zyski, jakie generuje. Światło dzienne ujrzały sekсистowskie zachowania gwiazdora. Jedną z przełożonych nazwał „pizdą”. W czasach #MeToo szkodzi to interesom. Czarę goryczy przelał SMS Carlsona do producenta ze stycznia 2021 r. Opisuje w nim scenę pobicia lewicowego działacza przez zwolenników Trumpa, jaką widział w internecie. Mówi, że „nie walczą honorowo jak biali ludzie”, bo we trzech zaatakowali jednego. Jednocześnie przyznaje, że czuł nienawiść do pobitego i życzył mu śmierci. „Wtedy w moim mózgu uruchomił się alarm. Przecież ten świrus z antify jest człowiekiem. Ktoś gdzieś go kocha. Powinno mnie obchodzić jego cierpienie. Jeśli redukuje ludzi do ich poglądów, czym różni się od przeciwników?”.

NAJNIŻSZY WSKAŹNIK ZAUFANIA

W połowie lat 70., kiedy amerykańskie gazety ujawniały zbrodnie popełniane przez USA w Wietnamie, kiedy odsłoniły aferę Watergate, kiedy w najpopularniejszych telewizyjnych talk-show odbywały się rozmowy między inteligentnymi ludźmi, zaufanie społeczeństwa do mediów osiągnęło rekordowy poziom 72 proc. Dziś wskaźnik wynosi 34, a pośród wyborców Republikanów – 14.

Okres powojenny, aż do reaganowskiej deregulacji, był złotą erą. Teraz na potężnym rynku medialnym w Stanach nadal nie brakuje dziennikarzy wykonujących rzetelną i bezcenną dla demokracji robotę. Ale narrację kreują najgłośniejsi w typie Carlsona. Prywatnie – zdolni do refleksji i człowieczeństwa. Publicznie – kłamcy rzucający widzom surowe mięso. Poglębiają polaryzację i zarabiają na tym miliony.

Niedługo po rozstaniu z Fox News Carlson opublikował w sieci krótki klip. Zwolnienie umieścił w kontekście skorumpowanej elity dławiącej wolność słowa – podobnie jak Siergiej Ławrow. Zapowiedział come back. „Gdzie można mówić prawdę? Nie pozostało wiele takich miejsc, ale jeszcze są. W nich nadzieja. Do zobaczenia wkrótce”.

Przez kilkanaście lat Fox News nie miał po prawej stronie poważnej konkurencji. Teraz rosną w siłę takie platformy jak Newsmax TV, BlazeTV. Żeby zdobyć widzów, pozycjonują się na prawo od giganta. Coraz większe możliwości daje też streaming. Gdzieś tam, w coraz bardziej radykalizowanej przestrzeni nowych mediów Tucker Carlson znajdzie swoją trybunę. ●

CASA NOSTRA

Wywieźć czy odstrzelić

Włosi debatują o niedźwiedziach i migrantach.

Jarosław Mikołajewski

Na początku kwietnia w Val di Sole, słynnej Dolinie Słońca w regionie Trento (Trydent), biegacz Andrea Papi został zaatakowany i zabity przez niedźwiedź. Nad sprawczynią, której nadano imię Jj4, schwytaną i osadzoną w ośrodku zoologicznym w Casteller, wisi wyrok śmierci.

Według prezydenta prowincji powinna zostać zastrzelona „choćby jutro”, według ministerstwa środowiska i organizacji ekologicznych – ocalona i chroniona. We wtorek wyrok został po raz kolejny odsunięty w czasie.

Problem – twierdzi prezydent Maurizio Fugatti – polega głównie na tym, że w Trydencie jest o 70 niedźwiedzi za dużo w stosunku do założeń. Według przeciwników chodzi o życie, lecz również o to, że władze powinny prowadzić inną politykę co do po-

pulacji niedźwiedzi, a rozwiązaniem problemu przez odstrzał uważają za absurdalne.



Drugi spór, który dzieli Włochów, płynie z zafascynowania premier Giorgii Meloni angielskim pomysłem odsyłania nielegalnych migrantów (choć w Europie utorowało już sobie drogę przekonanie, że ludzie nie mogą być nielegalni) do Rwandy. I tu, jak wobec niedźwiedzicy Jj4, padają argu-

menty dziwne, groźne, przeciwstawne, motywowane wolą, żeby stało się jedno lub drugie, za wszelką cenę. Jedni twierdzą, że wywóz uchodźców do biednego kraju afrykańskiego to rasizm, inni (w tym pani premier), że rasiostowskie jest uznawanie jakiegoś kraju za niezdolny do takiej operacji lub za gorszy, dajmy na to, od Belgii.

Gdzieś na marginesie pozostaje refleksja, czy wywożenie do Rwandy na przykład Syryjczyków to jest coś w ogóle do pomyślenia.

Czy już choćby dramatycznie to nie jest zły sen. Koszmar Europy, która gorączkuje i sama już nie wie, co mówi.

Ale tylko na jednym poziomie. Bo na innym wie doskonale i odwołuje się do prostych instynktów: jeśli coraz trudniej jest chodzić po ulicach zasikanych przez czarnych, trzeba wywozić ich do kądś. Tam, gdzie nikt nie ma nic do gadania. ●

NASZA EUROPA

Dlaczego Orbán nie jest przyjacielem Putina

FOT. ARPAD KURUCZ/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

GRA
O WIECZNĄ
WŁADZĘ

Viktor Orbán liczy,
że nastroje w Europie
się zmieniają, a on będzie
mógł znów powtórzyć:
„A nie mówiłem?”



Z **ZSUZANNĄ SZELENYI***,
ROZMAWIA **PHILIPP FRITZ**, „DIE WELT”

Badacze zajmujący się praworządnością nazywają dziś Węgry „autokracją wyborczą” lub „nieliberalną demokracją”, niektórzy mówią nawet o „pierwszej dyktaturze w UE”. Czy mają rację? UE jest przecież wspólnotą demokracji.

– Sam Orbán już w 2014 r. publicznie określił Węgry jako „państwo nieliberalne”. To, co jeszcze dziś nadaje Węgom pozory demokracji, to fakt, że wybory odbywają się regularnie. Wybory odbywają się jednak na całym świecie, nawet w krajach wyraźnie autorytarnych. Orbán ze swoją partią Fidesz wygrał wybory parlamentarne uczciwie i legalnie w 2010 r. – ale od tego czasu wygrywał już wyłącznie nieuczciwie. Ponad 20 razy Fidesz w parlamencie przeforsował korzystne dla siebie zmiany w systemie wyborczym. Zlikwidowano pluralistyczny system medialny.

Czy bezwarunkowa chęć utrzymania władzy to jedyne, co charakteryzuje system Orbána?

– Z pewnością Orbán i jego ludzie chcą utrzymać władzę i podchodzą do tego dość pragmatycznie. Ale u podstaw ich polityki leży też ideologia, co oznacza, że przynajmniej część partii rządzącej jest przekonana o słuszności swoich działań. Ale wiedzą też, że trzeba zaproponować model dla zwykłych ludzi, łatwo przyswajalny, uproszczony przekaz o świecie.

Ta ideologia – otwarcie formułowana przez Orbána i strategów Fideszu – jest pod silnym wpływem teorii niemieckiego prawnika konstytucyjnego Carla Schmitta, zwolennika decyzyzmu. Krótko mówiąc, rząd ma prawo wszędzie tworzyć mechanizmy kontroli, przejmować instytucje, aby stworzyć silne państwo z silnym przywódcą, który samodzielnie podejmuje decyzje o kierunkach rozwoju kraju.

Dyskurs parlamentarny, aktywne i krytyczne społeczeństwo obywatelskie – to wszystko jest postrzegane jako aberracja lub przynajmniej czynniki zakłócające prawidłowo działający i skuteczny system władzy.

Czy członkostwo Węgier w Unii zapobiegnie dalszemu zmierzaniu tego kraju w kierunku autorytaryzmu?

– Politycy w Brukseli, ale także w innych stolicach europejskich, przez długi czas nie dostrzegali lub nie chcieli dostrzegać tego, co się dzieje na Węgrzech. Pierwsze oznaki autorytarnych skłonności Orbána były przez wielu prawidłowo rozpoznawane, jednak niewielu zaważało na to, że tu chodzi o „zmianę systemową”, czyli że państwo węgierskie ulega trwałej transformacji. Ponadto Węgry uważano za przykład odosobniony i za kraj zbyt mały, by dla niego ryzykować poważną konfrontację w ramach UE. Jednak eksperci z Europy Wschodniej od początku podejrzewali, że węgierska droga może posłużyć jako model dla całego regionu. Orbánowska restrukturyzacja państwa na Węgrzech stała się wzorem dla Polski, również członka UE. Ale nawet w Czechach i na Słowacji, dwóch krajach, które nie przeszły tak spektakularnych zmian, jak Węgry i Polska, istnieją silne nurty polityczne, dla których Orbán służy za wzór.

Mówi pani o innych stolicach UE, gdzie symptomy psucia węgierskiej demokracji nie zostały właściwie zinterpretowane. Jakie znaczenie mają tu Niemcy? Przecież Fidesz od dawna utrzymuje intensywne relacje polityczne z Berlinem.

– Niemcy odgrywają większą rolę niż inne kraje europejskie, ponieważ są zdecydowanie najważniejszym inwestorem na Węgrzech; niemieccy biznesmeni i klasa polityczna w Berlinie znają też ten region znacznie lepiej niż Francuzi czy Włosi. Europa Środkowa jest dla Niemiec bardzo ważna ze względów historycznych, ale także gospodarczych. W pewnym sensie jest to „niemieckie podwórko”.

Niemniej jednak wiele osób w Niemczech uważało, że można robić interesy na Węgrzech, dopóki Orbán dobrze sobie radzi z gospodarką i utrzymuje poparcie. Przez mniej więcej dekadę taka była dominująca linia; nie było widocznych nacisków politycznych z Berlina. Zmieniło się to w pewnym stopniu wraz z kryzysem migracyjnym w 2015 r., kiedy Orbán na arenie międzynarodowej pokazał się jako twardy i niesterowalny zawodnik. To uwrażliwiło europejską opinię publiczną na kontrowersyjne działania rządu Węgier i wielu od niego odstraszyło.

Jednocześnie wiele osób przyklasnęło Orbánowi. Węgierskie podejście do twardego strzeżenia granic przed migracją jest teraz europejskim mainstreamem.

– Orbán stał się niezwykle użyteczny w dyskursie europejskim, zwłaszcza od 2015 r., ponieważ jest tak radykalny. Rządy, które same zaostryły swoją politykę migracyjną, mogą, aby usprawiedliwić się przed opinią publiczną, wskazać na Orbána, który zawsze wydaje się nieco bardziej ekstremalny. Orbán sprytnie sam przedstawia się jako prowokator, który demaskuje europejską hipokryzję w kwestii granic. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Emmanuel Macron czy Angela Merkel również skorzystali z polityki Orbána. W kryzysie migracyjnym przyjęli go jako negatywny punkt odniesienia – a przy okazji przedstawiali własną politykę jako dobrą i słuszną. Włączyli się w ten sposób w grę Orbána, bo myśleli, że mogą na niej zyskać.

Orbán lubi podkreślać, że Węgry robią tylko to, co Niemcy robią od dawna: interesy ze wszystkimi, przede wszystkim dla własnej korzyści

Ważne jest, by zrozumieć charakter Orbána. Nie zależy mu na tym, czy jest lubiany na Zachodzie. Jest wyznawcą nowoczesnego PR-u: nawet złe wiadomości o jego osobie są pożądane. Na światowej scenie politycznej utarło się utożsamiać jego nazwisko z całym krajem, każdy go zna. To pomaga mu w kraju, ale mimo wszystko daje też wpływy za granicą.

Orbán stał się ikoną prawicy na całym świecie. A przecież kiedyś zaczynał jako liberał. Była pani jego współpracowniczką, jak tłumaczy pani tę zmianę?

– Orbán był wraz ze mną jednym z założycieli Fideszu. Chcieliśmy dokonać wielopłaszczyznowej zmiany życia publiczne-

go na Węgrzech, przede wszystkim znieść spetryfikowane podziały węgierskiego społeczeństwa, które historycznie nigdy nie działały na jego korzyść. Dlatego Fidesz miał działać w politycznym centrum.

Na początku lat 90., kiedy zdobywaliśmy pierwsze doświadczenia parlamentarne i zapoznawaliśmy się z systemami politycznymi na Zachodzie, Orbán zdał sobie sprawę, że w Europie Środkowej nie ma zbyt wiele miejsca dla partii centrowych. Fidesz musiał więc rosnąć na lewo lub prawo od centrum. Na Węgrzech lewe spektrum było zajęte przez postkomunistów. Orbán pociągnął więc partię na prawo.

W latach 90. kilka partii prawicowych, chadeków i konserwatystów innego typu trzymał razem były premier József Antall. Po jego śmierci powstała próżnia, którą Orbán umiejętnie wypełnił. Wielu liberałów odwróciło się wtedy od Fideszu – ale na dłuższą metę partia w formacie prawicowym była w stanie przemawiać do większego elektoratu.

To typowe dla Orbána: podejmować duże ryzyko, ale w imię długoterminowej strategii. Jest bardzo zręcznym politykiem. Mimo początkowych porażek wyborczych konsekwentnie tworzył silne środowisko partyjne z zapleczem intelektualnym i relacjami biznesowymi. Następnie Fidesz został przyjęty do Europejskiej Partii Ludowej, europarlamentarnej chadecji. Konserwatyści, także z niemieckiej CDU, chwalili wówczas Orbána jako nową nadzieję sensownych konserwatystów w Europie.

Jednak w 2015 r. uznał, że należy postawić na populistyczne hasła antyimigranckie, nawet na ksenofobię, a teraz, po ataku Rosji na Ukrainę, zupełnie odcina się od solidarnej polityki UE wobec Putina. O co chodzi z tym jego prorosyjskim stanowiskiem?

– Do 2008 r. Orbán był uważany za polityka antyrosyjskiego. Podkreślał pamięć o 1956 r., krytykował ówczesny rząd węgierski za angażowanie się w umowy gazowe z Moskwą, głośno piętnował też inwazję Rosji na Gruzję. Wkrótce nastąpił zwrot. Kryzys gospodarczy rozpoczął się w 2008 r., ale Orbán zmienił swoje stanowisko po 2010 r., kiedy wygrał wybory.

On naprawdę doszedł do wniosku, że Zachód ma już za sobą zenit swoich możliwo-

NASZA EUROPA

ści i że w dłuższej perspektywie może się opłacić postawienie na Wschód, czyli na współpracę z Moskwą, a zwłaszcza z Pekinem. Jest to orientacja strategiczna, którą w Budapeszcie podsumowuje się pojęciem „otwarcia na Wschód”. To wygodne, bo jako członek UE i NATO Węgry mogą jednocześnie nadal korzystać z gwarancji bezpieczeństwa i otwartych rynków. W partii jest to sprzedawane jako podejście pragmatyczne.

Orbán lubi podkreślać, że Węgry robią tylko to, co Niemcy robią od dawna: interesy ze wszystkimi, przede wszystkim dla własnej korzyści.

Oczywiście Niemcy prowadziły politykę wysokiego ryzyka, która – polega na przewidywalności Moskwy i Pekinu – doprowadziła do znacznych zależności gospodarczych od tych stolic. Ale między Niemcami a Węgrami są ogromne różnice: Niemcy są większe, mają stabilną gospodarkę, posiadają wydajną i okrzepłą strukturę instytucji demokratycznych. Dzięki temu mogą korygować swoją politykę i dywersyfikować źródła zasobów. To akurat dla Orbána nie jest łatwe, bo już zbyt wiele stało się dla niego stawką polityczną i osobistą.

Węgry są coraz mocniej postrzegane w Europie jako sojusznik Moskwy. Konflikt o praworządność z Komisją Europejską wciąż się nasila. Czy tym razem Orbán się przeliczy?

– Orbán jeszcze bardziej pogłębia zależność od Rosji. Węgry są już uzależnione od Rosji w zakresie energii, ale na dodatek – podobnie jak w przypadku kryzysu migracyjnego w 2015 r. – Orbán mówi rzeczy, których inni w Europie nie mówią, ale jednak często myślą: mianowicie, że sankcje wobec Rosji i pomoc zbrojeniowa dla Ukrainy są w dłuższej perspektywie błędem. To są też rozpowszechnione opinie w Niemczech i we Francji, nawet jeśli nie są to na razie oficjalne stanowiska rządów. Orbán liczy na to, że nastroje w Europie wcześniej czy później się przechylą po jego myśli, a wtedy on znów będzie pionierem, będzie mógł głosić: a nie mówiłem?

Orbán nie jest jednoznacznie prorosyjski, nawet jeśli węgierska propaganda rządowa poprzez kontrolowane media szerzy rosyjskie narracje. Sam jest jednak powściągliwy w formułowaniu takich oświadczeń. Orbán mówi tylko o „pokoju”, nigdy jednak nie precyzuje, w jaki sposób pokój ma stać się rzeczywistością. Dobrze wie, że dziś pokój oznaczałby odebranie Ukrainie terytorium przez Rosję.

Jakie są jego osobiste relacje z Putinem?

– Orbán nie jest żadnym przyjacielem Putina. Nie lubi ludzi, którzy są od niego silniejsi i więksi, nawet jeśli ich szanuje lub uczy się od nich. To prawda, że Fidesz używa czasem kremłowskiej retoryki, skopiował pewne rosyjskie ustawy, zapożyczył od Rosjan np. mechanizm utrudniania życia organizacjom pozarządowym. Ale to wynika z oportunizmu Orbána i jego elit, a nie z przyjaźni z Kremlen. Orbán – choć jest premierem 10-milionowego kraju – traktuje Rosję instrumentalnie. ●

***Zsuzsanna Szelényi** – dyrektorka Democracy Institute Leadership Academy na Central European University (CEU) w Budapeszcie. W latach 90. zasiadała w węgierskim parlamencie z ramienia partii Fidesz. Jej książka o polityce Viktora Orbána nosi tytuł „Tainted Democracy” (Skażona demokracja).

PEKIN MA KŁOPOT Z AI

ChatGPT rozsadzi system? Chińska partia komunistyczna przedstawiła wstępne przepisy, które mają poskromić gwałtownie rozwijający się rynek usług z udziałem sztucznej inteligencji.

Chang Che, „The New York Times”

Pięć miesięcy po rozpętanu przez ChatGPT szalu na inwestowanie w sztuczną inteligencję Pekin bierze w ryzy chińskie chatboty. Jest zdeteminowany, by utrzymać ściśle kontrolę nad technologią, która może przededefiniować naszą rzeczywistość.

Sztuczna inteligencja i „fundamentalne socjalistyczne wartości”

W kwietniu rządowe biuro ds. cyberprzestrzeni opublikowało projekt nowych przepisów dotyczących sztucznej inteligencji generatywnej, czyli systemów oprogramowania, które – jak to stosowane w ChacieGPT – potrafią tworzyć teksty i obrazy w odpowiedzi na pytania i sugestie użytkowników.

Z nowych przepisów wynika, że firmy zajmujące się AI muszą przestrzegać surowych zasad cenzury, podobnie jak strony internetowe i aplikacje nie mogą publikować materiałów szkolących chińskich przywódców albo wspominających o zakazanych elementach historii. Treści generowane przez systemy AI będą musiały odzwierciedlać „fundamentalne socjalistyczne wartości” i unikać podawania informacji, które podważają „władzę państwową” lub „narodową jedność”.

Firmy będą też musiały pilnować, by ich chatboty tworzyły słowa i obrazy, które nie tylko są prawdziwe, lecz także powstają z poszanowaniem własności intelektualnej. Będą też miały obowiązek rejestrować w stosownych urzędach swoje algorytmy, czyli „mózgi” stojącego za chatbotami oprogramowania.

Na razie nowe zasady nie są ostateczne i regulatorzy jeszcze mogą je zmieniać, jednak eksperci przekonują, że Chińczycy nie owierzą od sztucznej inteligencji już kombinują, jak uwzględnić je w swoich produktach.

Biliony dolarów do wzięcia

Na całym świecie niezwykła moc chatbotów z ich generowanymi przez AI wynikami – od alarmujących po zupełnie niegroźne – oszałamia władze kolejnych krajów. Sztuczna inteligencja jest już dość powszechnie wykorzystywana do zaliczania egzaminów na studiach czy do kreowania fałszywych memów, jak np. zdjęć papieża Franciszka poprzebieranego w markowe ubrania.

Do tego ChatGPT, opracowany przez amerykańską firmę OpenAI, przy wsparciu od Microsoftu w wysokości 13 mld dol., skłonił Dolinę Krzemową do zastosowania wykorzystywanej w nim technologii także w zupełnie nowych obszarach, jak gry wideo czy reklama. A zajmująca się kapitałem podwyższonego ryzyka firma Sequoia Capital szacuje, że przedsiębiorstwa wykorzystujące AI będą z czasem generować „biliony dolarów”.

W Chinach inwestorzy i firmy próbują nadrobić zaległości. Akcje chińskich przedsiębiorstw z branży AI szczybują. Najpotężniejsze miejscowe firmy technologiczne zapowiadają wielkie nakłady w AI, od Alibaba, giganta sprzedaży internetowej, przez

SenseTime, producenta oprogramowania do rozpoznawania twarzy, po wyszukiwarce Baidu. Do tego co najmniej dwa start-upy pracujące nad chińską alternatywą dla technologii OpenAI zebrały już na ten cel miliony dolarów.

Szybko reguluj, potem sprawdzaj

ChatGPT jest w Chinach niedostępny. Jednak rośnie liczba miejscowych alternatyw, więc rząd już dziś ostro bierze się za wytyczanie czerwonych linii, których AI nie może przekroczyć – podczas gdy inne kraje dopiero zastanawiają się, jak zacząć chatboty regulować.

– Wprowadzane dziś zasady pokazują chińskie podejście do przepisów: „Działaj szybko, nawet jeśli masz coś zepsuć” – przekonuje Kendra Schaefer, która w Trivium China, firmie konsultingowej z siedzibą w Pekinie, odpowiada za politykę technologii. – Kiedy nie ma systemu wielopartyjnego, w którym da się dyskutować różne podejścia, można po prostu stwierdzić: nakładamy ostre ograniczenia, potem będziemy się zastanawiać, jak to wyszło – dodaje.

Twórcy chińskiego chatbota musieli go wyłączyć, żeby wytrenować model „wykrywania i odsiewania niewłaściwych punktów widzenia”

Do szkolenia chatbotów wykorzystywane są nieweryfikowane zasoby internetu, dlatego trzeba się liczyć z nieścisłościami i niespodziankami, jakie czasem potrafią z siebie wyrzucić. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wprowadzane przez Chińczyków przepisy wymagają słusznego poziomu technicznej kontroli nad chatbotami, jakiego jeszcze nie osiągnięto. Nawet zresztą Microsoft nadal próbuje poprawiać swoje chatboty, żeby wyeliminować szkodliwe odpowiedzi. W Chinach poprzeczka zawieszona jest znacznie wyżej, dlatego niektóre chatboty już wyłączono, a inne są dostępne tylko dla ograniczonej liczby użytkowników.

Eksperci są zgodni, że trudno będzie wyszkolić systemy AI, by konsekwentnie trzymały się regul. Niektórzy wątpią, czy firmy będą w stanie uwzględnić wszystkie chińskie przepisy, które często są bardzo szeroko zakrojone, ciągle się zmieniają, a czasem wymagają wręcz cenzurowania konkretnych słów czy dat – jak choćby 4 czerwca 1989 r., dnia masakry na placu Tiananmen.

Pekin to mistrz kontrolowania internetu. Ale chatboty to wyzwanie

Są eksperci, którzy uważają, że – przy odpowiedniej ilości czasu i pracy – maszyny można nauczyć nie tylko trzymania się faktów, ale też przestrzegania konkretnych systemów wartości, a nawet ideologicznych wytycznych.

Na razie analitycy liczą, że wprowadzane dziś w Chinach przepisy jeszcze się zmienią po konsultacjach z miejscowymi firmami technologicznymi. Regulatorzy mogą trochę odpuścić przynajmniej ich egzekwowanie, by nie utrudniały całkowicie rozwoju technologii.

Chiny mają długą historię cenzurowania internetu – od 2000 r. stworzyły najpotęż-

niejszą na świecie sieć kontroli. Skutecznie odstraszyły zachodnie firmy jak Google czy Facebook, które nie chcą grać według ich zasad, a do tego chińskie władze zatrudniły miliony ludzi śledzących aktywność obywateli w sieci.

Jednak chińskie firmy technologiczne, które nie mają wyjścia i muszą przestrzegać zasad partii, rozkwitły. Utarły tym samym nosa zachodnim krytykom wieszczącym, że polityczna kontrola ograniczy ich wzrost i podważy innowacje. A kiedy pojawiły się takie technologie, jak rozpoznawanie twarzy czy smartfony z nieskończoną liczbą aplikacji ułatwiających życie w zamian za rezygnację z kolejnych obszarów prywatności, państwo zaprzęgåło je do stworzenia systemu niemal totalnej kontroli.

Jednak dziś, jak przekonuje Matt Sheehan, ekspert od AI z Carnegie Endowment for International Peace, nowa fala sztucznej inteligencji stanowi zupełnie nowe zagrożenie dla chińskiej partii komunistycznej. Bo nieprzewidywalność chatbotów, które mogą wygłaszać bezsensowne albo fałszywe oświadczenia, zwane przez badaczy AI „halucynacją”, stoi w jawnej sprzeczności z obsesją partii na punkcie zarządzania treściami publikowanymi online.

– Generatywna sztuczna inteligencja narusza dwa główne cele partii: kontrolę informacji i przeprowadzenie globalnemu rozwojowi technologicznemu – tłumaczy Sheehan.

Jak z chatbota zrobić patriotę? Filtrowanie „niewłaściwego punktu widzenia”

Mimo to może się okazać, że nowe ograniczenia pojawiają się w złym momencie. Bo Chiny mierzą się dziś z rosnącą konkurencją i sankcjami na półprzewodniki, które grożą osłabieniem ich konkurencyjności w technologii, w tym także w dziedzinie sztucznej inteligencji.

Oczekiwania wobec chińskiej AI zwięk- szły się na początku lutego, kiedy Xu Liang, przedsiębiorca i specjalista od sztucznej inteligencji, wypuścił jedną z pierwszych chińskich odpowiedzi na ChatGPT. Jego aplikacja mobilna ChatYuan tylko w ciągu pierwszej godziny została pobrana ponad 10 tys. razy.

Jednak już wkrótce w mediach zaczęły się pojawiać doniesienia, że istnieją wyraźne różnice między linią partii a odpowiedziami ChatuYuan, który przedstawiał niewesoły obraz chińskiej gospodarki, a rosyjską wojnę w Ukrainie opisywał jako „agresywną”, co nie zgadzało się ze stanowiskiem partii. Kilka dni później władze zamknęły aplikację.

Xu przekonuje dziś, że pracuje nad uzupełnieniem bota, by był bardziej „patriotyczny”. Dorzucił już filtrowanie wrażliwych słów kluczowych, zatrudnił większą liczbę recenzentów pomagających wyłapywać problematyczne odpowiedzi. Więcej: trenuje nawet osobny model, którego wyłącznym zadaniem jest „wykrywanie i odsiewanie” przykładów przyjęcia „niewłaściwego punktu widzenia”.

Nie jest jednak jasne, kiedy i czy w ogóle bot będzie w stanie w pełni zadowolić chińskie władze. Początkowo miał ponownie wystartować 13 lutego, jednak jeszcze pod koniec kwietnia nadal nie działał. Wyświetlał jedynie komunikat: „Usługa zostanie przywrócona po zakończeniu rozwiązywania problemów”. ●

tłum. Marta Urzędowska
©2023 The New York Times Company

WIEKSZOŚĆ Z NAS JEST QUEER

FOT. ADAM STEPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL



My uprawialiśmy najczęstszą grę: „Nie mówię tak, nie mówię nie”. Nie przedstawialiśmy się jako koleżanki, ale też nie mówiłyśmy, że jesteśmy razem. To było strasznie męczące.

Z **RENATĄ LIS***
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Doświadczenia śmierci i miłości, a o nich jest pani książka, zdają się nieprzekładalne na język. Bo jak opisać stan, kiedy zdanie Rilkego: „Śmierć dojrzewa w nas jak owoc”, przestaje być literaturą, a staje się życiem?

– Z łatwością wypowiadamy kwestię, że życie jest krótkie, ale kiedy te słowa nabierają osobistego ciężaru i wypełniają się cielesną treścią, przygniata cię skończoność czasu, który pozostał. Czekać na diagnozę, czułam się wyjęta z życia, które toczyło się poza mną, chociaż ze mną. Obserwowałam je z jakiegoś innego miejsca: niby stojąc wśród ludzi, ale jednak będąc gdzieś indziej. Miałam wrażenie, że zyskałam per-

spektywę, która nie jest dostępna zanurzonym w życiu. Nie mówię, że lepszą. Inną.

I sądzi pani, że dopiero wtedy można poczuć żal albo strach zmarłych, których kochaliśmy?

– Nie potrafię powiedzieć, na ile jest to doświadczenie uniwersalne, ale mnie choroba otworzyła dostęp do doświadczenia mojej matki i pozwoliła mówić o jej śmierci. Bo ja przez kilkanaście lat nie byłam w stanie rozmawiać na ten temat niemal z nikim.

Dlaczego?

– Może dlatego, że jest to doświadczenie trudno przekładalne na język. Ale też brońmy unikalności tego mojego przeżycia, nie chciałam wydawać go na ogląd i komentarz. Chciałam być z nim sama. Tak miałam sposób radzenia sobie ze śmiercią matki, czy też nieradzenia. Czułam, że to ostatnie doświadczenie łączy mnie z nią szczególnie, i może dlatego chciałam je jak najdłużej zatrzymać w sobie?

Moja matka zmarła na raka macicy i dopiero kiedy groziła mi podobna diagnoza, otworzyła się we mnie możliwość mówienia o jej chorobie i śmierci. To działało w dwie strony: lepiej rozumiałam matkę, a dzięki temu siebie. Nie sądzę, bym miała pełny dostęp do jej stanu psychicznego

z okresu choroby, ale znalazłam się wtedy bliżej niego niż kiedykolwiek wcześniej.

Najbliżej strachu i żalu?

– Niepokój związany z jej umieraniem, z przejściowością tego stanu, z oczekiwaniami najgorszego i lękiem, że to zaraz nastąpi, wydaje mi się znacznie trudniejszy niż żal po stracie.

Kiedy kończy się ten szalony korowód związany z umieraniem bliskiej osoby, to pojawia się spokój związany z tym, że sytuacja została określona. Strata nastąpiła, dokonało się. Popłoch wtedy znika, zostaje żal, a żal to uczucie dużo łatwiejsze do zniesienia. Przynajmniej dla mnie. Lepiej znoszę żal niż ten śmiertelny galop, w który się wpada z osobą umierającą. Nie w tym sensie, że żal mniej boli. Po prostu lepiej go znam i umiem się z nim obchodzić.

Pani też była w galopie?

– Czy ja się bałam o siebie? Nie. Byłam gotowa umrzeć i nie byłam. Boję się bólu związanego z chorowaniem i agonią, ale nie boję się samej śmierci. Nie rozumiem tego strachu. Zastanawiałam się nad tym dużo, kiedy pisałam książkę o Iwanie Buninie. On był opętany strachem przed śmiercią. Staralam się zrozumieć, czego on się tak bał. I doszłam do wniosku, że on się

bał tego, że zniknie. Zauważyłam, że mężczyźni często się tego boją. Mnie to akurat nie przeraża.

Gdyby nie śmierć matki i pani choroba, nie napisałaby pani książki o swojej miłości, prawda?

– Zaskoczyło mnie, jak wielką rolę w opowieści o mnie i Elżbiecie odgrywa moja matka, a razem z nią ta jej i moja choroba. Moja matka jest głęboko obecna w „Mojej ukochanej”. Należę do osób, które rozumieją, co przeżyły, dopiero kiedy to napiszą. Ta książka pozwoliła mi wyjść ze swojej opowieści i spojrzeć na siebie jak na kogoś innego. Odsłoniła mnie przede mną.

Historia, którą pani opowiada, zaczyna się od oddzielenia. Tuż po urodzeniu jest pani córką kobiety, ale już w akcie urodzenia pierwszeństwo ma ojciec.

– Zafascynowały mnie zbierane przez rodziców papiery i inne artefakty z wczesnego dzieciństwa, które znalazłam w teczce podpisanej ręką ojca. Bo okazuje się, że one mówią wszystko o patriarchalnym systemie, w którym żyjemy. Widać go tam jak na dłoni, in statu nascendi. Na szmatce, którą w szpitalu przytroczone mi do nadgarstka tuż po urodzeniu, a także w odręcznym „zaświadczeniu o urodzeniu żywym”, jestem jeszcze córką kobiety, okre-

ślają mnie tylko trzy współrzędne: matka, płeć i czas. A potem wjeżdża państwowy akt urodzenia i pojawia się ojciec: od razu na pierwszym miejscu, jako ten ważniejszy, zostają przypisana do jego nazwiska, a matka, zepchnięta do tła, nagle staje się czynnikiem nieistotnym.

To jest też książka o matce i córce, o rozdzielaniu kobiet przez patriarchat, o separowaniu wzajemnie od siebie kobiecych ciał. Fizycznie i symbolicznie.

Patriarchat boi się związków kobiet. Dlaczego?

– Kobiety mają w patriarchacie zakaz zbliżania się do siebie bardziej, niż przewidu-

Shulamith Firestone – kanadyjska myślicielka i liderka feminizmu radykalnego – twierdziła, że równość to będzie wtedy, kiedy dzieci będą się rodzić w sztucznych macicach. Podział na płci skutkuje bowiem spełnieniem kobiet funkcją rodzenia, co eliminuje je z uczestnictwa w życiu społecznym, a w efekcie pozbawia władzy. Cięża poza organizmem kobiety sprawi, że obie płcie znajdą się w tej samej sytuacji w relacji do dzieci. – Równości między płciami sprzyja też dostęp do antykoncepcji, antykoncepcja dla mężczyzn, prawo do aborcji i regulacje prawne wspierające sprawiedliwszy podział obowiązków opiekuńczych. Sztucz-

Miłość, której nikt nie widzi, powoli traci smak, traci poczucie swojej realności. Niektórzy tego nie wytrzymują

je to dla nich heteronorma. Mogą się przyjaźnić i nawet kochać, ale tylko pod warunkiem, że nie przekroczą granicy, za którą związek z mężczyzną mógłby stracić priorytet. Muszą odcienie relacji, począwszy od tej pierwotnej – cielesnej więzi matki i córki, a na związku lesbijskim kończąc. Więź z matką jest początkiem i matrycą wszystkich innych więzi, jakie tworzymy z kobietami w swoim życiu. W tym sensie miłość kobiety do kobiety jest też przezwyciężeniem patriarchalnego aktu rozdzielania matki i córki, obaleniem patriarchatu w mikroskali. Patriarchalne ideologie, np. psychoanaliza, prymuska wśród strażników systemu, starają się nas przed tym powstrzymać, twierdząc autorytatywnie, że związki kobiet są niedojrzałe, regresywne i zastępcze, a jedyną słuszną drogą jest związek z mężczyzną. Jestem na to odporna. Jestem, kim jestem.

Adrienne Rich, najważniejsza dla mnie amerykańska feministka drugiej fali, wybitna poetka, sformułowała koncepcję lesbijskiego kontinuum, ilustrującą gradację więzi łączących kobiety. Opisała w niej wszystkie odcienie relacji, począwszy od tej pierwotnej – cielesnej więzi matki i córki, a na związku lesbijskim kończąc. Więź z matką jest początkiem i matrycą wszystkich innych więzi, jakie tworzymy z kobietami w swoim życiu. W tym sensie miłość kobiety do kobiety jest też przezwyciężeniem patriarchalnego aktu rozdzielania matki i córki, obaleniem patriarchatu w mikroskali. Patriarchalne ideologie, np. psychoanaliza, prymuska wśród strażników systemu, starają się nas przed tym powstrzymać, twierdząc autorytatywnie, że związki kobiet są niedojrzałe, regresywne i zastępcze, a jedyną słuszną drogą jest związek z mężczyzną. Jestem na to odporna. Jestem, kim jestem.

„Gejką w lesbijskim związku”, jak to pani ujęła.

– Żartem. Bo lubię oglądać gejowskie romanse. Cały zeszły rok ciężko chorowałam na film „A potem tańczyliśmy” – o młodym tancerzu z Gruzji, który zakochuje się w chłopaku. Ale nie jestem gejem. Z drugiej strony nie czuję też, żeby definiowało mnie zdanie: „Jestem lesbijką”. To, że od niemal 30 lat żyję z Elżbietą, nie nadaje mi jeszcze sztywnej tożsamości seksualnej. Swoją tożsamość określam wyłącznie ja sama. Dlatego staram się maksymalnie rozhuścić język, żeby nie dać się w nim zamknąć.

Pewnie to dziwnie zabrzmii w Polsce, ale na Zachodzie nie tylko heteroseksualność, ale też homoseksualność stała się czymś konserwatywnym, jak każda wyłączna tożsamość, o której myślimy, że przynależy się do niej w całości i na zawsze. Bliska mi jest idea queer majority.

Myślę, że tak naprawdę większość z nas jest queer, a integralne tożsamości istnieją tylko, dopóki nie obejrzy się ich pod światło. W Polsce związki homoseksualne nadal wydają się egzotyczne, radykalne. Równość będzie wtedy, kiedy i one spowszednieją.

ne macice to pomysł radykalny, ale właśnie przez to bardzo cenny: doskonale uzmysławia istotę problemu.

Zresztą rodzenie dzieci nawet dzisiaj nie musi być związane z tym, że ktoś nazywa się kobietą. Moglibyśmy dać już sobie spokój z tą fikcją na punkcie określenia płci. Wpisujemy ją wszędzie, w każdym urzędowym formularzu jest taka rubryka, a kiedy ktoś powie, że nie czuje zgodności z płcią wpisaną do papierów, to – olaboga! – świat się wali. Wystarczy lekko zachwiać fundamentem płci i od razu wybucha afera. Chciałabym, żeby było w tej kwestii więcej wolności. Ja na przykład jestem kobietą, ale nie identyfikuję się z kobiecością na sto procent, zwłaszcza z rodzeniem nie utożsamiałam się nigdy, więc irytuje mnie, że każe mi się bez przerwy zakreślać pole oznaczone literą K. To jest tresura i presja, bo przecież niczemu innemu to nie służy.

Fiksacja na płci ma związek z patriarchatem, rozrodczością... – ...i z militaryzmem.

Bez ostrego podziału na rodzące i walczących nie istnieje patriarchalne państwo. Firestone, jeśli dobrze rozumiem, uważa, że system, z którym walczy, opiera się nie na klasowości, tylko na płci, a klasowość jest tylko pochodną. Dlatego właśnie gender wywołuje takie oburzenie i mobilizuje do kontrataku. Wszystko kręci się wokół płci.

A przecież „tu nie chodzi o seks, tylko o całe życie, którego seks jest częścią: o uczucia, związki, uznanie społeczne i wsparcie”. O to wszystko, czego nie dostrzegają osoby żyjące w hetero-uprzywilejowanych związkach.

– Kiedy przysłuchuję się rozmowom na temat małżeństw czy związków jednopłciowych w mediach, rozmowom toczonym przez ludzi nam sprzyjających, to niczym moja babcia Lena, która gadała do telewizora, mam ochotę krzyknąć: „Powiedz wreszcie to i to! Dlaczego o tym nie mówisz!”. Bo w tych rozmowach przeważnie nie padają argumenty moim zdaniem niezbędne do przekonania osób, które wprawdzie nie są nam nieżyczliwe, ale są być może nie do końca przekonane, że naprawdę potrzebujemy równości małżeńskiej.

Bo okazuje się, że nie wystarczy pójść do notariusza, co zrozumiałam, dopiero czytając pani książkę. – Naprawdę nie wiedziała pani? I powinienam teraz opowiedzieć o konkretach?

Niestety, jak do telewizora.

– Mój związek z Elżbietą trwa już prawie 30 lat. Mamy mieszkanie, które kupiliśmy razem, a ponieważ nie przysługuje nam majątkowa wspólność małżeńska, w praktyce mamy je każda po połowie. To mieszkanie jest dziś warte trzykrotnie więcej, niż kiedy je kupowałyśmy, co ma znaczenie z punktu widzenia podatku od spadku: ta z nas, która przeżyje drugą, będzie musiała zapłacić podatek i zachówek od bieżącej wartości rynkowej. Testament od tego nie zwalnia. Z punktu widzenia prawa jestem sobie obce, więc obowiązuje nas podatek w maksymalnym wymiarze oraz zachówek dla najbliższej rodziny biologicznej. Tymczasem mówimy przecież o czymś, co jest naszym wspólnym dorobkiem.

To są rzeczy, które mogą wywrócić życie. Wyobraźmy sobie, że mamy osobę w świeżej żalobie, mnie jako wdowę po mojej ukochanej albo ją jako wdowę po mnie, i kiedy osoba ta najbardziej potrzebuje współczucia i wsparcia, kiedy jest najbardziej krucha, to właśnie wtedy dowiaduje się, że musi jak najszybciej sprzedać ich jeszcze ciepłe wspólne mieszkanie, bo inaczej nie będzie w stanie zaspokoić roszczeń państwa i rodziny.

Lekarz z gulą moralną też się może zdarzyć w szpitalu, a i wtedy wasz akt notarialny na nic się zdaje.

– Trzeba to powiedzieć głośno i wyraźnie: pełnomocnictwa notarialne i umowy cywilne NIE ROZWIAZUJĄ ogromnej większości naszych problemów. Ich skuteczność jest warunkowa: są ważne, o ile zostaną uznane przez rodzinę, urzędników czy lekarzy. Bo oni wszyscy i tak mogą powołać się na odpowiednie ustawy, ważniejsze niż deklaracje z podpisem notariusza. Rodzina zawsze wygra, jeśli postanowi, że to ona chce podjąć decyzję medyczną albo pochować ciało.

A przecież w Polsce często mamy do czynienia z ostrym konfliktem, kiedy rodzina nie akceptuje związku i bezwzględnie wykorzystuje sytuację, żeby odegrać się na znieawidzonej partnerce córki.

Sprawiedliwość wymaga, żebyśmy miały takie same zabezpieczenia społeczne, jakie mają inne pary, a tymczasem nasz związek nie może zostać sformalizowany, ponieważ prawo nie przewiduje takiej możliwości. Ciekawe, że hasło „Budapeszt w Warszawie” nigdy nie objęło związków partnerskich, które na Węgrzech można zawierać od 2007 roku.

Donald Tusk zapowiada, że jeśli PO wygra wybory, to jedną z pierwszych decyzji będzie m.in. zgoda na związki partnerskie. Ale co, jeśli nie wygra? – Będę złośliwa: jeżeli Tusk mówi, że to zrobi, to mówi. Bardziej serio: chcę mu wierzyć. Myślę, że to możliwe, że dojrzał do tej decyzji, przecież on też czyta najnowsze

– Trzecia kadencja PiS będzie oznaczać jeszcze więcej represji, jeszcze więcej mowy nienawiści, to jest pewne. To przecież idzie według takiego scenariusza, jaki od lat obserwuję w Rosji. Najpierw pojawia się nienawistne gadanie, potem punktowe represje: zatrzymania za udział w demonstracji, ciąганie po sądach czy odmawianie dotacji z przyczyn ideologicznych, a potem nagle budzimy się w świecie, w którym pełną parą działa cenzura, za nieukrywanie swojej nieheterotożsamości seksualnej albo niebinarnej tożsamości płciowej dostaje się liczony w latach wyrok więzienia, a tęczęwym rodzinom w majestacie prawa odbiera się dzieci. Przecież właśnie z tego powodu wyjechała z Rosji Masha Gessen: bała się o dzieci, które wychowywała z żoną. A cenzury doświadczyłam nawet na własnej skórze: kiedy w petersburskim czasopiśmie „Zwiewda” – legendarnym piśmie literackim, w którym publikował jeszcze Brodski – miał się ukazać fragment mojej książki „Lesbos”, redaktor zażądał usunięcia z niego erotyku Adrienne Rich. Stało na tym, że wiersz wyleciał, ale ingerencja została oznaczona i pojawił się przypis pozwalający odnaleźć ten wiersz w sieci. W Polsce jeszcze trochę nas od tego dzieli, ale już niedużo.

Muszę zapytać o Kościół, mimo że wyprowadziła pani sztandar.

– Wyprowadziłam. Chociaż należałoby zapytać, czy ten sztandar w ogóle istniał. Moi rodzice nie byli religijni. Chrzest i kolejne sakramenty do bierzmowania włącznie stały się moim udziałem ze względu na dziadka ze strony ojca, który wywierał na nas presję. Miałam więc styczność z religią katolicką jako zewnętrznym wymogiem, kłamstwem, w którym, jak wtedy sądziłam, przyszło nam żyć z wyroku losu tak samo jak w „demokracji socjalistycznej”. Z przykrością stwierdzam, że moja przynależność do Kościoła nie przyniosła mi nawet korzyści poznawczych, była to całkowita strata czasu. O roli chrześcijaństwa w kulturze europejskiej dowiadywałam się w PRL-owskiej szkole od polonistki ateistki i potem na studiach, a nie w salce katechetycznej, gdzie ksiądz plótł jakieś baniałuki i molestował dziewczynki. Więc dokonując apostazji, bo o tym przecież mówimy, nie musiałam toczyć ze sobą walki, nie przechodziłam żałoby po utraczonej wierze, nic z tych rzeczy. Był to dla mnie akt wewnętrznej higieny. Uzgodniłam sobie wnętrze z zewnętrzem.

Niedawno?

– O wiele za późno. Znajomi zachęcali mnie do apostazji latami, ale ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego miałabym iść z jakimś papierem do Kościoła, do którego nie chodzę, i chcieć czegoś od księdza, od którego niczego nie chcę. Przełom przyszedł na jesieni 2020 roku, razem z falą

Więź z matką jest początkiem i matrycą wszystkich innych więzi, jakie tworzymy z kobietami w swoim życiu

badania. Ale biorąc pod uwagę to, co działo się ze sprawą związków partnerskich do tej pory, ile szans zostało zaprzepaszczo-nych, włącznie z tą z 2013 roku, kiedy z winy PO związki ostatecznie przepadły w Sejmie, mogę powiedzieć tylko, że uwierzę, jak zobaczę. Co nie zmienia faktu, że opcja demokratyczna jest dla nas lepszą opcją przy wyborach.

Zastanawia się pani, co by było gdyby...?

czarnych protestów po zaostrzeniu prawa aborcyjnego przez trybunał Julii Przyłębskiej i po towarzyszących temu występach hierarchów kościelnych. Po prostu szlag mnie trafił. No, wściekłam się.

Pani? Intelktualistka i siła spokoju?

– Ja z temperamentu jestem choleryczna. Nie chciałam ani chwili dłużej figurować w kościelnych kartotekach nawet jako martwa dusza. Bo to by wyglądało tak, jak-

by nazwanie nas tęczową zarzą przez arcybiskupa Jędraszewskiego było detalem bez znaczenia, a nie publicznym szczuciem, ohydną mową nienawiści. Dlatego wzięłam się w garść i pewnego pięknego dnia załatwiłam tę sprawę. Odzyskałam sprawczość: ochrzczono mnie bez pytania o zdanie, ale wypisać mogłam się już sama i to zrobiłam. Nie można mnie już zaliczać do tej masy ochrzczonych, którą Kościół arbitralnie uznaje za swoich członków i na tej podstawie domaga się przywilejów od państwa.

Gdyby wszystkie martwe dusze zrobiły to samo co ja, nagle okazałoby się, że w Polsce żyje o połowę mniej katolików, niż podaje Kościół. Im więcej apostazji, tym bliżej świeckiego państwa, a im bliżej świeckiego państwa, tym większa szansa na wyjście również z mizoginii i homofobii.

Wśród zwierząt istnieje mechanizm mimikry, który ratuje im życie. Pani pisze o waszej mimikrze w świecie heteronormy. Czym ona jest? Mechanizmem adaptacyjnym, za którym stoi wstyd przed osądem bliźnich?

– Raczej lęk przed odrzuceniem i chęć uniknięcia konfliktu. I potrzeba ochrony tego, co w nas wrażliwe, kruche. Ta mimikra ma różne stopnie. Niektórzy posuwają się do tego, że wchodzi w heterozwiązki, a nawet biorą ślub i mają dzieci. Albo kłamią w oczy, że z partnerką czy partnerem łączy ich koleżeństwo czy przyjaźń, a naprawdę szukają męża czy żony, i tylko tak się nieszcześliwie składa, że ciągle nie mogą znaleźć. My dwie uprawialiśmy najczęściej grę typu: „Nie mówię tak, nie mówię nie”. Nie przedstawialiśmy się jako koleżanki, ale też nie mówiłyśmy, że jesteśmy razem. To było strasznie męczące.

Taki teatr codzienności ma wpływ na miłość?

– Oczywiście. Ale to się widzi jasno dopiero wtedy, kiedy się z tego wyjdzie. Mam na myśli psychiczne koszty niewidzialności społecznej. Każdy związek potrzebuje kontekstu społecznego, przestrzeni szerszej niż cztery ściany, bycia widzianym.

Polina Aronson, żyjąca w Niemczech rosyjska antropolożka, ciekawie pisała o tym, co działo się z miłością w czasie lockdownów. O tym uczuciu, kiedy para nie może nigdzie wyjść, żeby być publicznie we dwójkę i kiedy nikt jej nie widzi. Opisywała to z punktu widzenia osoby heteroseksualnej i jako sytuację nadzwyczajną, ale to znakomicie oddawało nasz zwyczajny stan. Miłość, której nikt nie widzi, powoli traci smak, traci poczucie swojej realności. Bez społecznego kontekstu przenosimy się w stan odrealnienia, zaczynamy czuć się jak widma. Rodzi to również napięcia w związku, może wywoływać kryzysy. Niektórzy tego nie wytrzymują.

Bardzo ważne jest to, żeby nas widziano i dawano nam znać, że jesteśmy widziane. Ten dodatkowy, społeczny wymiar w związku dwóch osób jest płucami miłości. Bez niego miłość się dusi. Dopiero kiedy człowiek przestaje się ukrywać, dostrzeżga, jak wiele zyskuje na jawności jego czy jej relacja: zaczyna się rozprostowywać, nareszcie ma czym oddychać.

Kontekst społeczny równa się akceptacji?

– Ja nie przyjmuję do wiadomości, że można nas nie akceptować. Brak akceptacji dla nas odbieram jako rasizm. Nie uważam tego za pogląd ani rzecz do negocjacji. Więc tak: kiedy mówię o byciu widzianą, myślę o akceptacji.

Czuła się pani kiedyś niewidziana?

– Pewnie, że tak. Na przykład przyszli do nas kiedyś znajomi Elżbiety, my nie byliśmy jeszcze wyoutowane i nagle okazało się, że dla nich jestem jakąś dziewczyną, współlokatorką. Przejawiało się to w tysiącu drobiazgów, np. kiedy proponowali jej wycieczkę za miasto w następny weekend, to nie brali mnie pod uwa-

gę i w ogóle mało się mną interesowali. Osoby, o których wiemy, że są partnerami naszych przyjaciół, traktuje się inaczej: z większą uwagą, z sympatią na kredyt i przede wszystkim włączająco. Czułam się potwornie: wykluczona, unieważniona, niewidzialna. Bolało mocno, ale nie w tym sensie, że chodzi tu o zranione ego. To doświadczenie nie polega na tym, że jesteś dla kogoś za mało ważna, tylko na tym, że w pokoju pełnym ludzi nagle nie ma cię, znikasz. Nikt nie wie, że jesteście parą, i dlatego nie potrafi zobaczyć ciebie jako tej osoby, którą naprawdę jesteś.

Zwraca pani uwagę na to, jak wiele profesorek zajmujących się tematami queerowymi nie uwzględnia w swoich konferencyjnych wystąpieniach per-

Ciekawe, że hasło „Budapeszt w Warszawie” nigdy nie objęło związków partnerskich, które na Węgrzech można zawierać od 2007 roku

spektywy osobistej, tylko rozprawia o queerowości jak o abstrakcyjnym problemie. Wydaje mi się, że je rozumiem. – Tak?

Miłość kobiet sprowadzana jest do prostackich rozważań na temat ich seksu. Nie chciałabym, by ktokolwiek babrał się w moim intymnym życiu.

–Też tak kiedyś myślałam. Przed pełnym coming outem powstrzymywał mnie nie wstyd czy strach, tylko właśnie obrzydzenie ludźmi, którzy będą się babrać w moim życiu. Ale dzisiaj widzę, że korzyści, jakie niesie ze sobą przekroczenie progu milczenia, są jednak znacznie większe niż to. Jest mi teraz wszystko jedno, niech się nawet babrzą.

Powszechna jawność związków hetero też polega na tym, że każdy może babrać się w ich życiu. Na tym polega równość, ta mniej atrakcyjna jej część.

Czy pisać o waszej intymności, odczuwała pani brak języka do jej opisu?

– Kultura wciąż bardziej pomaga w samowizualizacji heterykom i ewentualnie gejów, a w małym stopniu lesbijkom. Fachowo nazywa się to brakiem reprezentacji symbolicznej. Oznacza to, że lesbijki stosunkowo rzadko znajdują nietendycyjne przedstawienia swoich związków w literaturze, filmie, reklamie. Dorastają bez lustra, w którym mogłyby zobaczyć siebie jako obraz i w rezultacie poczuć się całością.

Nasz umysł i nasza wyobraźnia są podporządkowane wzorom, które zaszczyliła w nas fallocentryczna kultura. Wszyscy wchodzimy w dorosłe życie z podobnym, gotowym wyobrażeniem miłości, jej technik i sposobu używania własnych ciał. Jeśli należy się do heteroseksualnej większości, ta sztanca jest mniej dokuczliwa, ponieważ w dużym stopniu odpowiada naszemu doświadczeniu. Ale kiedy nie należysz do tego plemienia, to twoje doświadczenie kompletnie nie pasuje do języka i narzucających się z każdej strony wizualizacji. Jeśli próbujesz o nim opowiedzieć za pomocą schematów, które wypracowano do opowieści o seksie heteroseksualnym, to nieuchronnie zaczynasz kłamać. Nie wypowiadasz tego, co powinno zostać wypowiedziane. Malujesz nieprawdziwy obraz. Wyobcowujesz się z samej siebie.

„Dlatego warto w miarę swoich możliwości poszerzać pole opowieści, włączać

tematy i osoby, które są z niego wykluczane, ale też zatroszczyć się o własny »kulturowy styl«: niech nie boi się wielkich marzeń, idealów i uczuć, odrzuci za to sarkazm i »zredukowaną wersję ja«”. Cóż za wspaniały manifest pani cytuje. – To „Nadzieja w mroku” Rebekki Solnit. Uwielbiam ją. Każda jej książka zaprowadza mi porządek w głowie.

Sarkazm bywa narzędziem obsługi świata i dobrym mechanizmem obronnym. Dlaczego warto go odrzucić?

– Sarkazm, ironia są głęboko zakorzenione w kulturze europejskiej. Nie są czymś złym, ale trzeba zdać sobie sprawę również z tego, że podcinają skrzydła marzeniom o lepszym świecie, powściągają rozmach i nadzieję na zmianę. Działają na rzecz ide-

ologii TINA (There Is No Alternative) i dlatego w nadmiarze są szkodliwe. Podobnie jest z mówieniem o uczuciach: jeśli chcemy pokazać je w całej powadze, pięknie i dramatyzmie, raczej nie powinniśmy wyjeżdżać z Freudem. Pozwólmy sobie mówić o uczuciach i wierzyć w zmianę.

Bo „my jesteśmy zmianą”?

– Dokładnie tak. Zmiana dokonuje się nie jako wielki przełom, tylko w tysiącach drobnych kroków. Kiedy ma się odwagę żyć zgodnie z własnymi wartościami i pragnieniami i kiedy ma się odwagę o tym opowiedzieć, właśnie wtedy dokonuje się zmiana i to my nią jesteśmy.

Napisała pani książkę, po którą powinna sięgnąć każda lesbijka w Polsce. Tak w każdym razie reklamuje ją wydawnictwo.

– Za tym sloganem stoi myśl, że żadna lesbijka nie powinna jej przeoczyć. Ale sięgnąć po nią mógłby każdy.

Niedawny sondaż Ipsos dla OKO.Press wykazał, że już 64 proc. Polaków popiera legalizację tzw. związków jednopłciowych, a w grupie wiekowej 18-29 lat jest to nawet 82 proc. Przeszliśmy jako społeczeństwo ogromną zmianę kulturową, za którą nie nadążają decydenci i wielu polityków. Polski Sejm jest w tej kwestii nie-reprezentatywny, posłowie nie dorastają do stanu świadomości wyborców. 30 lat temu byłoby nie do pomyślenia, żeby ta książka ukazała się w Wydawnictwie Literackim.

W 2004 roku ukazało się „Lubiewo”.

Wprowadzie nie w WL, ale w Korporacji Ha! art.

– O tym mówię: nie w głównym nurcie. Zresztą stylów homoseksualności jest wiele i jedne są bardziej strawne dla ogółu, inne mniej.

Michał Witkowski powiedział mi – kiedy nominowali nas w zeszłym roku do Nagrody Tuwima i przez chwilę widzieliśmy się w Łodzi – że na jego spotkania przychodzą głównie starsze panie popierające PiS. Myśli pani, że po to, żeby protestować? Nic z tych rzeczy: one go uwielbiają.

Ale to z kolei nie oznacza, że elektorat PiS popiera równe prawa dla osób LGBTQ. Brzmi jak piętrowy paradoks, ale mnie nie dziwi.

Mnie ta niekonsekwencja dziwi.

– Naszemu przyjacielowi Ryszardowi Przybylskiemu zaniósłszy kiedyś z Elżbietą izraelską powieść gejowską „Ciotka Farhuma nie była dziwką”. Przeczytał z zainteresowaniem, ale stwierdził, że sam do tego współczesnego gejoństwa nie pasuje. Nie wyobrażał sobie życia z mężczyzną jak mąż z żoną: ślubu, domu itd. Myślał o sobie na sposób XIX-wieczny, nie „obnosił się”. Wystarczała mu tolerancja, a konserwatyści, przynajmniej ci kulturalni, takich gejołów tolerują, więc nie było problemu. Tolerują też osoby takie jak Michał Witkowski: barwne, „przeięte”, stylowe, bo lubią je oglądać. Pod jednym warunkiem: ani słowa o polityce i równych prawach. Dopóki odmieniec zajmuje pozycję odmienica i nie aspiruje do jej przekroczenia, można go nawet lubić.

Pani książka jest polityczna.

– Ktoś taki jak ja jest najmniej strawny dla konserwatystów: bo ja wprawdzie nie mam queerowej stylówki, ale żądam dla nas praw. Chcę równości małżeńskiej i pokazuję na własnym przykładzie, dlaczego jest to dla nas kwestią życia i śmierci. Ta książka jest zrobiona ze mnie i nie wiem, z czym się zderzę, kiedy trafi do ludzi, ale nie będę się ukrywała, bo to nie ja powinienam się wstydić.

Czy dobrze przeczuwam, że u podstaw pani żądania stoi również prawo, by nie umrzeć jako „wiecznie niejasna, nieczytelna dla wszystkich z wyjątkiem kilku osób”?

– Nam mówiono, że trzeba się kryć ze swoim życiem, ale w chorobie przekroczyłam w sobie próg milczenia i chciałam każdemu powiedzieć, że to jest prostsze, niż się wydaje. Co nie znaczy, że jest proste.

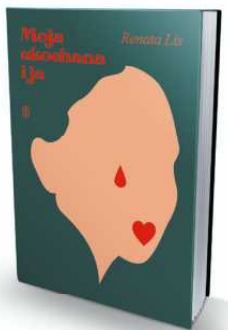
Ale czuję, że można się już mniej bać. Okoliczności bardziej sprzyjają. Nawet transplciowość przestała być tematem niszowym. Wbrew temu, co mówią różni politycy, Polacy są już gotowi na równość. Pomimo forsowanej przez państwo ideologii narodowo-katolickiej. Wypowiadając swoje indywidualne doświadczenia, które do tej ideologii nie pasują, budując małe narracje, dajemy świadectwo różnorodności życia i ją wspieramy. Więc trzeba o sobie opowiadać. Zwyczajnie. Jak najprościej.

Pani? Jak najprościej?

– Zaczynałam od Flauberta, który słynął z cyzelowania tekstu i dążenia do doskonałości formy, a doszłam do punktu, w którym nie wyobrażam sobie, że miałabym pracować w taki sposób. Co nie znaczy, że zostałam formalną abnegatką. Bez formy nie ma literatury, mnie chodzi po prostu o inny jej rodzaj. O luźniejszy ścieg. Czasem są tak niespokojne i paskudne, że moim zdaniem potrzebujemy literatury stawianej na rozmowę, więziotwórczej. Takiej, która chce się dzielić i pomaga rozumieć. Opowiadałam o swoim doświadczeniu również po to, żeby komuś pomóc, zaproponować pewien język, zwrócić uwagę na pomijane szczegóły. ●

*Renata Lis

• tłumaczka i pisarka. Autorka nominowanych do Nike „Ręki Flauberta”, „W lodach Prowansji. Bunin na wygnaniu” oraz „Lesbos”. Właśnie ukazała się jej książka „Moja ukochana i ja”. Mieszka w Warszawie, ale marzy o przeprowadzce na Lesbos.



CO MNIE URZEKŁO

Ostatni poeta polski, który ma fanów

Adam Mickiewicz byłby zadowolony ze swojego późnego wnuczka.

KRZYSZTOF SIWCZYK

Wprężnej, kanonizującej ważne postacie polskiej literatury dawnej i współczesnej serii szacownego Universitas ukazał się właśnie tom wierszy wybranych Marcina Świetlickiego zatytułowany „Nie stąd”. Całość ułożył prof. Tomasz Kunz.

Znany badacz literatury uznał, że nadszedł czas, aby Świetlicki zagościł na salonie wspólnie z Kochanowskim, Mickiewiczem, Norwidem i Konopnicką. Nie jest to towarzystwo specjalnie egzotyczne. Przecież Świetlicki, powinowaty Mickiewicza chociażby datą urodzin, jest dziś opisywany w kontekście literackiej wieczności, długiego trwania i przetrwania swoich czasów. Jednym słowem: wnuk wspomni utwory Świetlickiego, kiedy ten już spokojnie pobywać będzie w niebie historii literatury, pijąc bruderszafty z Leśmianem i Wyspiańskim.

Skądinąd krakowski poeta nigdy specjalnie nie dbał o to, co z jego wierszami zrobi przyszłość. Sam mówił, że zależy mu na natychmiastowej gratyfikacji odbiorczej i błyskawicznym kontakcie z czytelnikiem. Stąd najpewniej pomysł, by założyć zespół Świetliki. O zgrozo! Minęło niedawno trzydzieści lat od tego faktu. Bywałem na Świetlikach w okolicach roku 1994 i faktycznie publika reagowała tak, jakby przyszłości miało nie być.

Świetlicki pisał nie dla potomnych, tylko dla mnie i mi podobnych. Swego czasu poeta narodowo-katolicki Wojciech Wencel pisał, że problemy podmiotu wierszy Świetlickiego są problemami „Patryków z klasy 8 c”. Tak, oczywiście, byłem „Patrykiem z 8 c”, a problemy miałem integralnie związane z burzą hormonalną, ale też z Bogiem, dziewczynami, alkoholem, rówieśnikami. Miałem też problemy z wojskiem. Uniknąłem wcielenia, niemniej to, co mi Świetlicki opisywał w wierszu „Szmaty” o Ludowym Wojsku Polskim, wystarczyło za przestroagę.

Był dla mnie Świetlicki poetą swojego czasu, kontekstualnie zrośniętym z przemianami społeczno-politycznymi wynalazcą języka, którym też chciałem mówić. Dziś Wojciech Wencel wciąż jest mentalnym „Patrykiem”, ja półtysiąc lat dziadersem, a Świetlicki wygląda w „Nie stąd” na klasyka. I z tym mam największy problem, ponieważ nijak ta klasyczność mu nie przystoi. Nie znam specjalnie Marcina Świetlickiego jako człowieka. Doskonale natomiast znam jego rozliczne wcielenia, aktorskie role, postawy i poglądy prokurowane na okoliczność konkretnych starć i polemik. Faktyczne jego imię to „milion”. Co jakiś czas ogłasza zakończenie aktywności twórczej, przy okazji kąśliwie śląc sygnały redaktorom „Wyborczej”, że to jednak żart. Kiedyś pisał ad personam, że „żyliśmy w czasach, w których Adam Michnik wybornie znał się na poezji”, a „Wyborcza” była dla niego „małym wyrazem”. Cóż, zwarcie, na jakie Świetlicki idzie z każdym przyjaznym mu środowiskiem, jest pokłosiem jego punkowego usposobienia. Bardzo to szacowne i godne, ale też zupełnie nieczytelne dla armii klakierów, którzy Świetlickiego zawsze otaczali. To chyba ostatni poeta polski, który ma fanów. Co ciekawe, dorobił się też sporej rzeszy epigonów literackich i egzystencjalnych, a przecież w autobiografii „Nieprzysiadalność” jak głupiemu tłukł, że język trzeba mieć własny.

Podobno największym osiągnięciem życiowym poety jest wprowadzenie do mowy wspólnej własnych zdań, powiedzeń czy fraz. Świetlicki parę takich do języka polskiego przemycił. W wyborze Tomasza Kunza znajdziemy



FOT. TOMASZ WIECH / AGENCJA WYBORCZA.PL

więc szlagworty w rodzaju wierszy „McDonald’s”, „Opluty (44)” czy „Listopad, niemal koniec świata”. Ten ostatni wiersz wieki temu „Wyborcza” wydrukowała wspólnie z głośnym wywiadem z poetą. Tak, „żyliśmy w czasach, w których Adam Michnik wybornie znał się na poezji”. Dziś te czasy wydają się jedynie mglistym powidokiem.

W „Nie stąd” reprezentowane są wszystkie książki poety, choć oczywista nadreprezentacja dotyczy dwóch pierwszych tomów, czyli „Zimnych krajów” i „Schizmy”. One „zrobiły” Świetlickiego, jakim go znamy, a co poniektórzy będą musieli poznać w wypisach szkolnych. Świetlicki przeprowadził udaną ofensywę i doprowadził do usunięcia swoich tekstów z czarnkowych podręczników do polskiego. To bardzo dobra kampania promocyjna. Wszak czytamy to, czego nie ma w oficjalnym obiegu kulturowym, czytamy to, co na marginesie, poza nawiasem i co może się okazać odkryciem indywidualnym, zaważającym na losach naszego „światoodczucia”. To określenie pożyczam od prof. Mariana Stali, który w „Nie stąd” publikuje przeciekawy szkic o poetyckiej bzdurce Świetlickiego, skreślonej na skrzydełku książki „Jeden”, a jednak potężnie określającej ambicje tego pisarstwa: „Co to za poezja, / która nie ocala / ani człowieka, / ani robala”. Pamiętam, że zrywałem boki z tej miniatury lirycznej. Prof. Stala stawia mnie do pionu i na baczność. Chodzi przecież o dyskusję z Miłoszem, o odrzucenie poezji ocalenia, o całkowite zanegowanie obowiązków poety polskiego, a jednocześnie o radykalne przyznanie się do bycia zakładnikiem określonej tradycji.

Nie bójmy się tych „małych wyrazów”: polskiej tradycji! Jest Świetlicki na wskroś polski w każdym calu. Faktycznie nie potrafię sobie wyobrazić autora „Pieśni profana” na poletku poezji europejskiej, nie mówiąc już o gargantuicznym rynku amerykańskim. Ten znawca muzyki anglosaskiej chyba nie lubił przebywać w żywiole obcej mowy,

o czym sam opowiada w „Nieprzysiadalności”. Bardziej mu pasowało, gdy „zachód” przychodził do niego. Pamiętam taki epizod. Pijąc w krakowskim „Zwisie”, zauważyłem na rynku Briana Pattena, legendę poezji liverpoolskiej, z którym znał się jeszcze z lat 90. Zaprowadziłem więc Pattena do knajpy, w której „przyjmował” Świetlicki. I tak się panowie poznali.

Czytając „Nie stąd”, odnoszę wrażenie, że stare wiersze się nie zestarzały, a te nowsze mogą dopiero trafić w swój czas. Do czego miał Świetlicki smykalkę. Tak stało się po przełomie 1989 roku, kiedy presja oczekiwań na „nowe” dała o sobie znać również w literaturze, do której z przytupem weszło pokolenie Świetlickiego, Stasiuka i Tokarczuk, silne własną wyobraźnią, a nie słabością pokoleń poprzednich, a w knajpianych piwnicach toczyło się nieznane współczesnej młodzieży czytającej życie poetyckie i muzyczne. Które może i miało jakiś wymiar wspólnotowy, o którym Świetlicki dziś mówi, że były to „złudzenia wspólnoty”, i ma rację. Wszystko poszło w rozsypkę, również z powodów politycznych.

Naglówek wyboru „Nie stąd” brzmi: „Daleko wysunięta placówka liryczna”. Tam wciąż siedzi Świetlicki, uprawiając swoją sztukę eskapizmu w warunkach popularności, którą żywił swoimi poetyckimi wzlotami i upadkami. Bo różnie się forma liryczna Świetlickiego kształtowała, czego wybór Tomasza Kunza również jest świadectwem. Na dobrą sprawę szukam w tej książce wierszy niedoskonałych, mających w sobie skazę nadmiernych idiosynkrazji, mniejszych lub większych złośliwostek pod adresem świata i ludzi. Świat „stoi przed nami potworem”, dlatego nie dziwię się, że poeta niejednokrotnie mu się odwija, trafiając na odlew lub w próżnię. Zawsze jednak udaje mu się robić to we własnym, niepodrabialnym języku, który ładnie będzie wyglądał w galerii polskiej poezji. Do bólu własnym, drażliwym, na swój sposób delikatnym, składowo niezwykle muzycznym i z tym dziwnym powiewem autentyczności.

Trochę to trwało, zanim uświadomiłem sobie, że mam do czynienia z wyjątkowo estetycznie wyrafinowaną mistyfikacją. Nie dziwię się, że jego urokowi uległy pokolenia, które weszły do literatury już „po Świetlickim”. Nie mogło być inaczej, skoro zdarzały się temu językowi takie perły:

Nie stąd

Bo nie stąd jestem. I gdziekolwiek byłem, byłem nie stamtąd. Przyszedłem przebadać tę okolicę, jak najwięcej nabrać, zagarnąć i nakłamać. I zgubić świadectwo.

Bo jestem nie stąd. I tu nie zostanę. Piszę po ścianach. Obśmiewam mieszkańców w mieszkaniach zatwardziały, sprawiam im przyjemność chwilową, zaraz potem wyklinają mnie.

Pod asfaltem jest rzeka, najstarsze koryto, są głęboko pod domem odwieczne topielce, choć wzywają mnie we śnie wyciągnięte ręce, nawet stamtąd nie jestem.

Cóż dodać. Adam Mickiewicz byłby zadowolony ze swojego późnego wnuczka. ●

„Daleko wysunięta placówka liryczna«...: Nie stąd”.

Wiersze Marcina Świetlickiego w wyborze Tomasza Kunza ukazały się nakładem Universitas.



Adam Michnik poleca

MIŁOSZ

PROPONUJE



• Rok 1967, Czesław Miłosz z synem Tonym i bratową, dziennikarką i sybiraczką Grażyną Strumiłło-Miłosz, w Fontainebleau na placu imienia jego krewnego - związanego z Francją prozaika, poety metafizycznego, historyka i dyplomaty, propagatora litewskiej niepodległości Oskara Miłosza.

FOT. ANDRZEJ MIŁOSZ/
ARCHIWUM JOANNY MIŁOSZ-
PIEKARSKIEJ/FOTONOVA

Trochę więcej szacunku. Wobec jednostki, tajemnicy świata, człowieka i sztuki

Mindaugas Kvietkauskas*

Szukając rozwiązań dla obecnych sporów o pamięć historyczną i traumy połowy XX wieku, warto z nowej perspektywy spojrzeć na powieść Czesława Miłosza „Zdobycie władzy” (1953). Jest to próba stworzenia przekazu pamięci historycznej o niezwykle skomplikowanym czasie II wojny i okresie powojennym, którego tragiczne sprzeczności do dziś rodzą napięcie w społeczeństwach Europy Środkowej.

W Polsce i na Litwie w trzeciej dekadzie XXI wieku ponownie zaostrzył się konflikt historycznych narracji o II wojnie – debaty i spory polityczne o pomniki, ekspozycje muzealne, ocenę działaczy ruchu oporu czy pisarzy.

Antagonizm pamięci historycznej stymulują wspierające sprzeczne narracje radykalne grupy polityczne (z prawa i z lewa). Równocześnie podobne konflikty wybuchły w USA i Europie Zachodniej.

Aleida Assmann [literaturoznawczyni i kulturoznawczyni] postrzega to skupienie na narracji pamięci jako oznakę fundamentalnej zmiany kulturowej społeczeństw europejskich XXI wieku:

„Wydarzenia historyczne, o których przez długi czas myśleliśmy, że są już bezpieczną przeszłością, nagle wyrastają przed nami. Przyszłość stopniowo traci na atrakcyjności, a przeszłość ma na nas coraz większy wpływ, zwłaszcza w odniesieniu do okresów ekstremalnej przemocy. W szczególności ciężar brutalnych historii XX wieku ciąży na teraźniejszości, zmuszając nas do wypracowania nowych form pamięci i upamiętnienia”.

Miłosz w końcu XX wieku wywierał duży wpływ na zmianę środowiskowoeuropejskiego reżimu czasu po upadku reżimu narzuconego przez Sowietów. Jego teksty miały wielkie znaczenie: zarówno jako krytyka totalitarnego fałszowania historii, jak i tego, który ustanawia odmienną, kulturowo pluralistyczną, dialogiczną pamięć.

Po 1990 r. Miłosz stał się na Litwie kluczowym autorem; tłumaczenia jego książek i przemówienia wygłaszane przed litewską publicznością w dużej mierze zadecydowały o przywróceniu pamięci o wielokulturowości historycznej Litwy. Proces ten znacząco zmienił litewską tożsamość i własny wizerunek (do tej pory znacznie bardziej etnocentryczny).

Wypływające trzy dekady później konflikty pamięci skłaniają do ponownych poszukiwań krytycznego myślenia w tekstach tego kluczowego autora jako antidotum na groźby odradzających się nacjonalizmów i innych antagonizmów, sposobu łagodzenia historycznych traum zamienianych w ideologię.

Amerykański antropolog Lewis Hyde, który widzi w dzisiejszej zachodniej cywilizacji ryzykowną obsesję na punkcie traumatycznej pamięci, identyfikuje konkretne „wybrane traumy” – te, których kulturowe rozwiązanie jest pomijane, bo są one ideologicznie wykorzystywane do przeciwstawiania się zmianie społeczeństwa: „Rana po wybranej traumie zostaje oddana na przechowanie tożsamości w formie niekończącej się żaloby; takie atemporalne artefakty są jak skrzepy krwi zanurzone w strumieniu czasu, coś, czego lata nie mogą ani wywalić, ani rozpuścić”.

Jednym ze sposobów Miłosza, by przezwyciężyć traumy XX wieku, była refleksja nad własnym nietypowym, polskolitewskim doświadczeniem. Czy podobne metody dadzą się zastosować dzisiaj dla rozbicia nowych skrzepów pamięci historycznej?

Wraz ze zmianą kontekstu kulturowego idee lub dzieła kanonicznego pisarza mogą zyskać nowe znaczenie. Niemal symptomatyczne wydaje się to, że powieść „Zdobycie władzy” dotychczas nie była przełożona na język litewski – została pominięta podczas kilku intensywnych fal przekładów Miłosza pomiędzy rokiem 1990 i jubileuszowym 2011. Z jednej strony wynikało to z tradycji krytycznej oceny tej powieści – w kanonie Miłosza uznawana jest za dzieło „wtórne”, schematyczne, niedokończzone („»Zdobycie władzy« – załącznik do »Zniewolonego umysłu« – pozostaje dziś szkieletem na sprzedaż” – Jan Błoński).

Z drugiej strony przedstawienie powstania warszawskiego i polskiej inteligencji powojennej wyglądało na zbyt mało istotne dla litewskiej publiczności, więc wydawcy nie brali tej książki na warsztat. Jednak w aktualnej litewskiej debacie wielokrotnie zwrócono uwagę na brak tłumaczenia tej powieści i przekład „Zdobycia władzy” pojawił się w planach wydawniczych. O zmianie nastawienia decyduje aktualizacja konfliktów pamięci dziejów wojennych i powojennych, co umożliwia wyróżnienie w narracji tej powieści takich znaczeń, które dziś rezonują z mentalnością litewskich czytelników i aktualnymi dyskursami.

Szczególnie interesującą relacją jest powiązanie zagadnień powieści z toczącymi się na Litwie debatami na temat własnych powojennych postaci politycznych i pisarzy.

Czy ta powieść proponuje jakieś alternatywy dla obecnego konfliktu między traumatycznymi narracjami pamięci doby wojennej i powojennej?

Miłosz napisał „Zdobycie władzy” latem 1952 w Dordogne, w zaledwie dwa miesiące. Już podczas powstawania książka na bieżąco była tłumaczona na francuski przez bliską przyjaciółkę Miłosza, filozofkę Jeanne Hersch, by mogła zostać zgłoszona do konkursu Prix Littéraire Européen w Genewie. W marcu 1953 powieść wygrała konkurs i kilka miesięcy później ukazała się po francusku.

W tym samym roku pojawiły się dwa niemieckojęzyczne wydania, a w 1955 wersja anglojęzyczna. Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej „Kultury”, od początku krytycznie nastawiony, opublikował polską wersję dopiero w 1955 r.

Polska recepcja „Zdobycia władzy” od początku była skomplikowana, a recenzje skrajnie rozbieżne, nie tak jak w przypadku drugiej powieści Miłosza – „Doliny Issy”. Pomijając środowisko prawicowej emigracji, dla której książka była kolejnym dowodem, że Miłosz jest ukrytym marksistą, nawet opinie kolegów z redakcji „Kultury” były mocno podzielone.

Giedroyc krytykował powieść za polityczny schematyzm i brak wśród ukazanych postaci przeciwwagi dla sprawujących władzę komunistów. Jerzy Stempowski zaś na początku uznał książkę za rozpowszechniany przez komunistów propagandowy fałszyfikat.

Tymczasem Gombrowicz pisał w „Dzienniku”: „Miłosz to dla mnie przeżycie. Jedyny z pisarzy na emigracji, którego naprawdę zmoczyła ta burza. Innych – nie. Byli wprawdzie na deszczu, ale z parasolami. Miłosz został zmoczony do nitki, a w końcu huragan zdarł z niego ubranie – wrócił nagi. Cieszcie się, że przyzwitości stało się zadość! Przynajmniej jeden z was jest nagi”. W liście do autora z 1954 r. Gombrowicz stwierdził, iż książka pozwoliła mu zrozumieć, że Miłosz jest „jedynym pisarzem, w rękach którego rzeczywistość nasza (polska) staje się apokaliptyczna, i to bez blagi”.

Główny bohater powieści Piotr Kwinto nosi cechy i nawiązuje do biografii zarówno samego Miłosza, jak i jego przyjaciela, pisarza Pawła Hertza (Andrzej Franaszek, „Miłosz. Biografia”; „Podróżny świata”, rozmowy Renaty Gorchyńskiej z Miłoszem).

Po latach Miłosz podkreślał, że choć w książce można rozpoznać pierwowzory wielu postaci, to jej bohaterowie zostali skonstruowani jako synteza różnych osobowości wedle klasycznej zasady powieściowej. Mimo to losy i dylematy Kwinty można rozpatrywać jako fikcyjną wersję autobiografii samego Miłosza i interpretację jego wyborów.

Kwinto ma arystokratyczne pochodzenie, jego rodzina wywodzi się od włoskich architektów, którzy przybyli, by pracować w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wychował się we dworze, którego otoczenie, podobnie jak czytane w dzieciństwie książki ze starej biblioteki, dobrze pamięta.

W międzywojniu skończył gimnazjum, w którym objawił się jego konflikt z tradycyjnie pojmowanym katolicyzmem i fanatycznym prefektem szkoły (przypomnijmy konflikt Miłosza z prefektem wileńskiego Gimnazjum Zygmunta Augusta Leopoldem Chomskim, opisany m.in. w „Rodzinnej Europie”).

W latach 30. Kwinto studiuje w Paryżu; wraca do Warszawy i gdy wybucha wojna, znajduje się na terytorium okupowanym przez Sowietów. Bojąc się aresztowania, planuje uciec do okupowanej przez nazistów Polski – i tu rozpoczyna się opowieść o jego „nieprawidłowym” losie.

Przygotowujący się do ucieczki Kwinto – inaczej niż Miłosz – zostaje aresztowany przez NKWD za napisany przed wojną artykuł, w którym drwił z komunistycznych poetów. Zostaje zesłany na Sybir, gdzie doświadcza absolutnej

rozpaczy. W 1943 r. korzysta z amnestii i wstępuje do armii Berlinga, z którą jako oficer polityczny dociera na wschodni brzeg Wisły krótko przed wybuchem powstania warszawskiego.

Nie ma to nic wspólnego z biografią Hertza ani Miłosza, lecz stanowi jakby alternatywny los: co by było, gdyby Miłosz latem 1940 r. w Wilnie został aresztowany, zesłany na Sybir i gdyby ta historia zmiażdżyła jego indywidualizm i zmusiła, by stał się narzędziem w rękach sowieckich sił, aby przeżyć? Przecież alternatywa takiej duchowej śmierci jako całkiem realna projekcja własnego losu pojawia się w wierszu „Walc” z 1942 r. poświęconym matce: „Tam, w tym pochodzie, w milczącym szeregu,/ Patrz, to twój syn. Policzek przecięty/ Krwawi, on idzie, malpjo uśmiechnięty,/ Krzycz! W niewolnictwie szczęśliwy”.

Ryzykowną tezę, jakoby opowieść o oficerze oddziału propagandy w proradzieckiej armii była refleksją nad alternatywami własnego „ja”, potwierdzają ciągle związki bohatera powieści z powojenną biografią autora. Po zajęciu Polski przez armię radziecką Kwinto, podobnie jak Miłosz, zaczyna pracować w komunistycznej prasie, w redakcjach i wydawnictwach zakładanych przez Barugę – ideologicznego przywódcę polskich komunistów (pierwowzorem postaci był Jerzy Borejsza, o którym w „Abecadle” Miłosza czytamy: „Czytelnik i inne domy wydawnicze, gazety, tygodniki, wszystko od niego zależało – posady, przyjęcie książek do druku, honoraria. Byłem w jego stajni, wszyscyśmy byli”).

W powojennej scenie w nadmorskim mieście, byłym kurorcie w niemieckim stylu, w której matka Kwinty namawia syna, by wyjechał na Zachód, możemy rozpoznać Sopot (gdzie pochowany jest matka Miłosza) i jej udzielone mu przed śmiercią błogosławieństwo oraz pozwolenie na wyjazd do USA.

Kwinto, szukając sposobów wydobycia się z sowieckiego obozu, próbuje podjąć służbę dyplomatyczną i wylatuje do Paryża, kiedy bezpieczeństwa już depcze mu po piętach.

Wreszcie, jak pisze Franaszek, przedstawiony w powieści obse-

syjny sen Piotra Kwinty o Stalinie jako Bogu Ojcu jest autentycznym snem Miłosza opowiedzianym przez niego w 1952 r. w liście do Stanisława Vincenza.

A zatem dramat Kwinty ciągle oświeśla kluczowe wybory i dylematy samego Miłosza, za które pisarz był notorycznie atakowany na emigracji. W swojej interpretacji „Zniewolonego umysłu” Aleksander Fiut wyraził myśl, że w tej książce Miłosza oprócz Alfya, Bety, Gammy i Delty trzeba by dostrzec jeszcze piąty portret – Ety, reprezentujący autora w relacji z własnym doświadczeniem życia na progu zniewolenia świadomości:

„Miłosz wprawdzie nie dodał do galerii portretów Alfya, Bety, Gammy i Delty swojego autoportretu, który mógłby zatytułować Epsilon albo Eta, jednakże trudno się oprzeć wrażeniu, że przez całe niemal życie gromadził do niego materiały i próbował go na różne sposoby szkicować”.

Idąc za tą myślą, można by stwierdzić, że poszukiwany Eta to właśnie Kwinto – brakujący piąty portret „Zniewolonego umysłu”, zobrazowany w powieści powstałej zaraz po słynnym zbiorze esejów. W książce znajdujemy wzmiankę o szlacheckim pochodzeniu nazwiska tego bohatera: „Nazwisko włoskie. Quinto, powinno się pisać przez Q”. Znaczenie tego słowa w języku włoskim – właśnie „piąty”.

„Zdobycie władzy” jest powieścią niewygodną dla pamięci historycznej nie tylko Polaków, ale też wszystkich narodów obozu radzieckiego. Ta „kanciastość” opisywanej rzeczywistości i poczucie dyskomfortu są aktualne do dziś i to właśnie jest jedną z przyczyn ciszy dotychczas zalegającej wokół tego utworu.

Próbowałem wykazać, jak skomplikowany jest Kwinto, wywodzący się z arystokracji inteligent, który na zesłaniu daje się złamać i zostaje oficerem propagandowym produkującym na wschodnim brzegu Wisły retorycznie odezwy do ginących powstańców, zwiastujące nadejście wybawcy Stalina. I jeszcze jeden szczegół – ojciec Kwinty zginął w 1920 r. w bitwie warszawskiej, broniąc „antemurale christianita-

Gombrowicz: Miłosz to dla mnie przeżycie. Jedyny z pisarzy na emigracji, którego naprawdę zmoczyła ta burza. Innych – nie. Byli wprawdzie na deszczu, ale z parasolami

tis” [przedmurza chrześcijaństwa] przed bolszewikami, tymczasem syn przybywa z bolszewikami zdobyć Warszawę i z drugiego brzegu Wisły patrzy, jak naziści równają miasto z ziemią.

Powieść ukazuje, jak protagonista ulega przemianie i staje się wrogiem wielkich sił historii, nie mając nawet świadomej nadziei, że uda mu się uratować. Kwinto jest postacią, której instynktownie udaje się przechrzyć mechanizmy „zniewolenia umysłu”, ocalić indywidualność w ideologicznych kleszczach czasów powojennych.

Drugą wyrazistą postacią jest Stefan Cisowski pseud. Foka, którego losy splatają się z losem Kwinty; mógłby być jego antagonistą, jednak tożsamość Foki jest nie mniej zagmatwana – wywodzi się z proletariatu, z rodziny polskich socjalistów, ale nienawidzi Sowietów, nie darzy sentymentem międzywojennej Polski, ale też nie ma złudzeń co do pustego kapitalistycznego Zachodu.

Rozdzielony z żoną walczy w powstaniu warszawskim, gdzie nawiązuje romans z sanitariuszką Joanną. W szoku, po tym, jak Joanna zostaje zastrzelona na jego oczach, ranny, zostawia na pewną śmierć innego rannego powstańca. Schwytyany przez nazistów trafia do obozu, a po wyzwoleniu wraca odbudowywać zrujnowane miasto – tę pracę traktuje jako pokutę za wszystkie osobiste zdrady i zbiorowe powstańcze winy.

Gdy Foka trafia w ręce bezpieki, czuje się pogodzony z losem, jakby składał siebie w ofierze w wymiarze niemal religijnym. Pod koniec powieści ten „antyradziecki proletariusz” na krótko staje się przyjacielem „proradzieckiego arystokraty” Kwinty – aby każdy z nich, poprzez opowieść tego drugiego, pojął głębszy sens własnych mylnych wyborów.

Nie mniej poplątane są linie losów innych postaci – w powieści pokazany zostaje walczący dzielnie w powstaniu faszysta i antysemita, wielbiciel Mussoliniego, a zarazem zagorzały wróg nazistów Michał Kamieński, który po wojnie zaczyna kolaborować z Sowietami. Przesłuchiwany przez dowódcę bezpieki Wolina przyjmuje propozycję stworzenia organizacji katolickiej lojalnej wobec komunistów i przez nich sterowanej (to prawdziwa historia Bolesława Piaseckiego, faszysty, przywódcy antysemickiej Falangi, który po wojnie założył prokomunistyczny katolicki PAX).

Obok tego faszysty w powstaniu walczy i ginie liberał, racjonalista Bertrandt, wielbiciel myśli brytyjskiego filozofa Bertranda Russela, niemogący znieść tradycyjnego polskiego katolicyzmu, nacjonalizmu i antysemityzmu, ale zmuszony razem z innymi powstańcami ginąć po tej samej stronie barykady.

Uczestnicy powstania jawią się u Miłosza jako niesłuchanie różni i skonfliktowani ze sobą mieszkańcy podwodnego statku i nawet śmiertelne niebezpieczeństwo nie niweluje tych różnic.

W rozmowie Kamieńskiego i spowiednika powstańców, jezuitę Ignacego, wybrzmiewa bolesna myśl – że dla wielu młodych uczestników powstania warszawskiego zryw był tylko „formą samobójstwa”, z braku jakichkol-

wiek perspektyw na przyszłość. Poplątane życiorysy wyostrażają raniące pamięć historyczną kąty: Foka widzi, że ogarnięci przeobrażeniem mieszkańcy warszawskiej Starówki zaczynają burzyć barykadę, żeby móc się poddać Niemcom; w pewnym momencie uświadamia sobie, że strzela nie po to, by bronić mieszkańców, lecz by utorować sobie drogę ucieczki.

Obraz komplikują jeszcze bardziej portrety kilku żydowskich komunistów takich jak Winter czy Halpern, którzy walczą z AK i antyradziecką inteligencją nie tylko jako sowieccy działacze, ale też jako Żydzi mszczący się za antysemityzm, za obojętność wobec zagłady ich narodu.

W tym samym czasie w ruinach warszawskiego getta Żyd Bruno (aluzja do wiersza Miłosza „Campo di Fiori” i postaci Giordano Bruno), historyk o antyradzieckich poglądach, zwierza się Kwincie, że jego ojczyzną był i jest język polski i on nigdzie nie zamierza wyjeżdżać.

Równocześnie proponuje bohaterowi, by przez służbę dyplomatyczną uciekał na Zachód nie dlatego, żeby pokładał w nim jakieś nadzieje, ale by ratować swoją duszę, bo to jest teraz najważniejsze: „Kto może powiedzieć, czy bieg przyszłej historii nie byłby zmieniony, gdyby wolno było narodzić się jakimś ludziom, których już nigdy nie będzie”.

Zdaje się, że taka rada też miała prawzór autobiograficzny. „Antoni Slonimski, który odwiedził Waszyngton bodaj w 1948 roku, mówił: »Słuchaj starego, mądrego Żyda, siedź jak najdłużej za granicą«. Uznawałem słuszość tej rady” – pisał Miłosz w przedmowie do „Zaraz po wojnie”.

Zagmatwanych losów i niewygodnych pytań jest w tekście Miłosza tak dużo, że nie sposób ich rozwinąć w jednej wielkiej powieści. Ten traumatyczny stan powojennej świadomości Środkowoeuropejczyka określa Żyd Bruno podczas rozmowy z Kwintą w ruinach warszawskiego getta: „Tutaj, w tym kraju, każdy nosi w sobie jakąś odrazę do samego siebie”.

W „Zdobyciu władzy” mamy całe pokłady nieukładających się w jeden życiowy schemat szczegółów, osobistych przeżyć i tajnych ran, co stanowi największą wartość utworu. Taki pogląd wyrażony zostaje w samym tekście: „Nic nie można wyrazić inaczej niż poprzez szczegóły. Kiedy jest szczegół, trzeba odkryć szczegół szczegółu. Można nauczyć się tylko, jeżeli ludzie mają drobne sprzęty, obyczajne, nagromadzone stulecia, stare mury”.

To fragment zapisków znalezionych przy wraku samolotu pilota Hawkesa, pochodzącego z Tasmanii brytyjskiego oficera, który wyruszył z Bari z amunicją dla polskich powstańców i został zastrzelony nad Warszawą. Całkiem anonimowa śmierć w cyklonie historii, ale zarazem absolutnie jednostkowy, „niewłaściwy” los.

Być może podobna zasada miałaby zastosowanie w litewskiej powieści opowiadającej o losach komunistycznych dygnitarzy i pisarzy Justasa Paleckisa, Antanasa Venclovy i Petrasa Cvirkii, antysowieckich partyzantów Adolfa Ramanauskasa-Vanagasa i Jonasa Noreiki-Vėtry,

pisarza i profesora przedwojennego kroju Vincasa Mykolaitisa-Putinasa, pisarza i antysowieckiego socjalisty Kazysa Boruty, litewskiego faszysty Zenonasa Blynasa, na Litwie w latach 1944-46.

Takiej właśnie powieści brakuje w teraźniejszych konfliktach pamięci historycznej. Jeśliby ją napisał np. rówieśnik Miłosza Antanas Škema czy któryś z litewskich pisarzy, którzy pierwsze powojenne lata przeżyli na Litwie – gdyby jakimś cudem znalazł się później na Zachodzie – sądził, że reagowałibyśmy na nią nie bardziej przychylnie niż polscy krytycy. Mogę tylko przypuszczać, że Litwinowi czytać i analizować książkę Miłosza jest nieco łatwiej niż Polakowi.

■ Miłosz stał się na Litwie kluczowym autorem. Tłumaczenia jego książek i jego wykłady w dużej mierze zadecydowały o przywróceniu do dyskursu publicznego pamięci o wielokulturowości kraju

Jednak najważniejszym przekazem płynącym z tej powieści jest relacja z bezlitosną siłą historii – niszczącą ludzkie losy, przeklamującą doświadczenia – i z pozostawionymi przez nią niemymi traumami. Dla przedstawienia tej relacji Miłosz używa obrazu mrowiska.

Kwinto w lipcu 1944 r. spogląda na koryto rzeki, pełne wojska i równocześnie obserwuje czarno-czerwone owady wędrujące pomiędzy korzeniami drzew. Postrzega ten obraz jako świat relacji historyczno-społecznych zamieniony w mrowisko – świat bez metafizyki (podobne odczucia towarzyszą Tomaszowi w „Dolnie Issy”, gdy obserwuje rój w ulu i mrowisko). „Nie trzeba było niszczyć dawnego życia, samo rozsypywało się”.

W takim mrowisku króluje brak litości i obojętność na prawdę i doświadczenie pojedynczego człowieka. Prof. Gil, który w „Zdobyciu władzy” w powojennym ideologicznym piekle tłumaczy Tukidydesa, stwierdza: „nowy świat jest dlatego światem okrutnym, iż brak mu szacunku wobec złożoności człowieka, szacunku, który być może winien nazywać się pobożnością”.

Gil, rozmawiając w obskurnym komunalnym mieszkaniu z sąsiadką, młodą komunistką, i przypominając sobie swoją niezwykłe inteligentną, wrażliwą córkę, która zginęła w powstaniu, wyraża pogląd, że wartości, którymi kierowali się ludzie przed wojną, prędko nie wrócą.

Jednak elementem tej powieści, który daje nadzieję, jest to, że perypetie, jakich doświadczają Kwinto i Foka, przywracają im szacunek do samych siebie jako jednostek, dla własnej złożo-

ności i „nieprawidłowości”. I obaj, siedząc w politycznych siódlach, intuicyjnie wybierają zupełnie nietypowe wyjścia, kierują się na drogę spokoju i intuicji.

Dlatego w finale powieści pojawiają się słowa o szacunku dla własnego indywidualizmu, szacunku, który pozwala uwolnić się od obojętności i smutku wywołanego przez okrutną bezwzględność historii wobec pojedynczego człowieka:

„Gil porządkował na stole zapisanie kartki. Pomimo wszystko człowiekowi dane są środki uzyskania spokoju. Wyznacza sobie zadanie i wykonując je, rozumie, że jest ono nieznaczące, zagubione wśród mnóstwa ludzkich krzotań się i zabiegów. Ale kiedy pióro zawisa w powietrzu i jest do rozwiązania problem interpretacji czy syntaksy, wszyscy ci, którzy kiedyś dawno posługiwali się myślą i językiem, są przy nas, dotyka się misternych rzeźb ogrzanych ich oddechem. I wspólnota z nimi przynosi spokój”.

Jak określić proponowane przez Miłosza rozwiązanie narracji traumatycznej pamięci? Za Aleidą Assmann, we współczesnej polityce pamięci historycznej konkurują dwa kierunki: polityka samostanowienia i polityka pokuty. Pierwsza jest zapewnieniem swojego pozytywnego obrazu poprzez tłumienie narracji kulturowego „innego”, traum i własnej winy historycznej. Druga ma oblicze samokrytyki i nawet autonegacji, wyznania winy „innemu” i wad własnej narracji, lecz w celu moralnego oczyszczenia, odbudowy pozytywnego własnego wizerunku.

Polityka pamięci w „Zdobyciu władzy” nie przypomina pierwszego kierunku (jest naturalne, że Assmann utożsamia go z odradzającym się nacjonalizmem). Stanowczo bliższa jest drugiemu kierunkowi (który odpowiada liberalnym zachodnim postawom wobec Holocaustu i historii kolonialnej), lecz tylko częściowo.

Uświadamiający sobie swoje grzechy i traumy główni bohaterowie szukają nie tyle czystego ego, nienagannego moralnego oczyszczenia, ile odnowionego i pokojowego połączenia z „innym” i światem. Innymi słowy, nie uniewinnienia, lecz pojednania.

Można stwierdzić, że proponowaną przez Miłosza alternatywą wobec ideologizacji pamięci historycznej jest ZASADA SZACUNKU. To szacunek wobec doświadczeń osoby, jej odmienności i złożoności. Szacunek dla poprzedników, z którego wynika spersonalizowany (nie ideologiczny) związek z tradycją. Szacunek, który przywraca poczucie jedności wspólnoty, przeciwnieży mechaniczny stosunek

wobec rzeczywistości, indywidualistyczny nihilizm i alienację. Wreszcie, to szacunek wobec tajemnicy świata, człowieka i sztuki. Taki wgląd – zarazem instynktowny i metafizyczny – wyprowadza bohatera powieści z powojennej pułapki ideologicznej i pozwala mu na nowo odkryć harmonię ze światem i samym sobą.

Kwinto nie jest moralnie sprawiedliwy. Jest po prostu zbiegiem ukrywającym się przed służbą bezpieczeństwa. Jednak dzięki przywróceniu szacunku do siebie i innych jest w stanie przezwyciężyć traumę i poczucie winy, które paraliżuje jego własną świadomość środkowoeuropejskiej ofiary i kolaboranta, tę „odrazę każdego do samego siebie”.

Od tak destrukcyjnego konfliktu wewnętrznego, który sprzyja konfliktom pamięci historycznej, Miłosz proponuje uchodzić drogą przywrócenia szacunku. Być może obok nazwanych przez Assmann zasad samostanowienia lub pokuty może mieć miejsce trzeci nurt polityki pamięci, bliższy historycznym doświadczeniom Europy Środkowej i jej obecnej sytuacji. ●



FOT. AUGUSTAS DIDZGALVIS / DOMENA PUBLICNA

*Mindaugas Kvietkauskas

• ur. w 1976 r., litewski literaturoznawca, poeta i eseista, w latach 2018-20 minister kultury. Badacz wielojęzycznej historii i literatury Litwy, w tym polskich śladów i kontekstów. Po polsku ukazały się jego książki „Polifonia literatury w Wilnie okresu wczesnego modernizmu (1904-1915)” i „Litewskie konteksty Czesława Miłosza” (współautor). Tłumaczył na litewski m.in. Miłosza i Szymborską.

Tekst to rozdział książki zbiorowej „Czesław Miłosz i wiek XXI”, która ukazała się właśnie w nowej serii wydawniczej „Kontynenty” Ośrodka Badań nad Twórczością Czesława Miłosza UJ, red. Joanna Zach, Karina Jarzyńska. Wyd. UJ, Kraków 2023. Tytuł – „Wyborcza”.



wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieleński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błazejowska
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



JASPERS O „ZNIEWOLONYM UMYŚLE”

Spalona na żużel substancja człowieka

Czytelnik tej książki myśli o sobie. I traci pewność, że zawsze potrafiłby zachować swoją ludzką wolność.

Karl Jaspers, filozof



Szkice, które Czesław Miłosz zebrał w książce „Zniewolony umysł”, uważam zarazem za dokument i za interpretację najwyższego rzędu. Niewola ducha w państwach totalitarnych, której my, Niemcy, w okresie hitleryzmu doświadczyliśmy ze-wnętrznie we frazesach, gestach i postępkach ówczesnego codziennego życia, a wewnętrznie w obserwacji tego, co się działo w ludziach, pokazana tu jest na tle wydarzeń we wschodnich demokracjach ludowych, a zwłaszcza w Polsce, w sposób zaiste przejmujący – nas, Niemców, może bardziej niż narody Zachodu, bo znamy dobrze to, co tu oglądamy w polskiej odmianie.

Sytuacja, która przez tych, co używali alternatyw kłamstwa czy prawdy, zdrady czy opo-ru, bywa ujmowana tak prostacko, uchwycona tu została w swoim konkrecie. Co się dokonuje w ludziach, kiedy są pod naciskiem stałej groź- by zniszczenia, i zarazem kiedy działa na nich sugestia wiary w Dziejową Konieczność, tę ko-nieczność, co narzuca się wraz z triumfem rze-komo niezwykłej potęgi – to Miłosz poka- zuje w zdumiewającej różnorodności odmian.

Zapoznajemy się naocznie z formami skry- wania myśli, wewnętrznej przemiany, nagłych przełomów w chwili nawrócenia, rozbicia czło- wieka na dwie osoby. Widzimy zarazem po- tworną konsekwencję i potworną mętność tego świata ujmowanego jako całość, tej rzeczywi- stości, która człowiekowi Zachodu wydaje się czymś niemożliwym i którą z tego powodu tak trudno mu pojąć.

Widzimy, jak w całkowicie nowych wa- runkach człowiek się zmienia – gdy musi żyć w nieufności każdego do wszystkich i wszy- stkich do każdego, we wzajemnym śledzeniu się, w bezlitosnej walce ludzi zamaskowanych, w odgrywaniu roli, z którą wreszcie zrasta się nierozzerwalnie.

Czy to jest nowy człowiek? Nie, to czło- wiek, którym każdy z nas mógłby się stać w ta- kich warunkach. Co jest kłamstwem? Pytanie to otrzymuje inną odpowiedź, gdy nieuniknio- ne kłamstwo tkwi u samych podstaw egzysten- cji. To dziwne: czytelnik tej książki musi myśleć o sobie i wtedy jego pewność, że zawsze potra- fiłby być wierny swemu człowieczeństwu, staje pod znakiem zapytania.

Praca ta, opisując konkretne doświadczenia – choć bez wymieniania nazwisk – należy do rzędu książek, w których ci, co zerwali osta- tecznie z reżimem ich krajów, odsłaniają ukry- te jego aspekty. Kłopotliwość takiego demasko- wania łagodzona jest już przez fakt, że wiedzy użyć nam może tylko ktoś, kto brał w tym wszystkim udział i analizując własne impul- sy, zdolny jest pojąć, co się tam w gruncie rze- czy dzieje.

U Miłosza kłopotliwość ta maleje jeszcze bardziej dzięki postawie tego głęboko cierpią- cego człowieka, którą wyczuwamy poprzez dyskrecję, jasność i kunsztowność obiektywne- go opisu. Przemawia tu do nas człowiek, który, stawiając największy problem, znalazł dystans do świata i do samego siebie.

Miłosz nie pisze jak nawrócony komuni- sta, nie spotyka się u niego śladu tego agresyw-

nego fanatyzmu wolności, który w gestach, to- nie i zachowaniu działa jak odwrócony tota- lizm. Nie pisze też jako opozycyjny emigrant, który w gruncie rzeczy myśli o przewrocie i po- wrocie.

Przemawia jako człowiek wstrząśnięty, któ- rego troska o sprawiedliwość, o nieskrzywio- ną prawdę zmusza – poprzez analizę wydarzeń pod terrorem – do odsłaniania samego siebie. Dzięki niemu stajemy się ostrożniejsi w ocenie ludzi żyjących pod totalitarnym reżimem.

Jednakże odwieczne przeciwieństwa do- bra i zła, szlachetności i nikczemności, praw- dy i fałszu pozostają u Miłosza wyczuwalne na dnie wszystkiego, co pisze, jakkolwiek daleko im do wygodnych, zgrabnych formuł. W rze- czywistości tego świata terrorku nabierają na- wet te przeciwieństwa jakoby nowych barw. Jest to doznanie niesamowite.

Poznajemy Miłosza jako pisarza, dla które- go oderwanie się od świata mowy ojczystej jest źródłem nieukozonej męki, nieustannym po- dawaniem w wątpliwość jego własnej istoty. W rozprawach tych zdarza się nam być świad- kami rozmowy z samym sobą autora, który szuka gruntu pod nogami. Co się dzieje z czło- wiekiem, który został z tego gruntu wyrwany?

Miłosz nie pisze jak nawrócony komunista, nie spotyka się u niego śladu tego agresywnego fanatyzmu wolności, który w gestach, tonie i zachowaniu działa jak odwrócony totalizm

Ten los jest dziś losem milionów ludzi. U Miłosza jednak nie chodzi o rzeczy naj- prostsze: wiemy, że bepaństwowość ozna- cza dziś (w przeciwieństwie do czasów sprzed 1914 r.) wyjęcie spod prawa, że obywatel świa- ta bez paszportu państwowego staje się w ob- liczu tego, co mu grozi, mniej niż człowiekiem (pokazała to z brutalną oczywistością Han- nah Arendt w swojej wspaniałej książce o tota- lizmie).

U Miłosza chodzi o coś więcej. Nawet kto uzyska nowy paszport, jest jak podcięty u ko- rzeni. Czym się staje duchowo, moralnie, jako człowiek? Pytanie zostaje otwarte. Odpowie- dzią naszej epoki będzie rozwiązanie praktycz- ne, które stworzyć zdołają tacy ludzie jak Mi-łosz, ci reprezentanci powszechnego dzisiaj lo- su. Dzięki powadze swego doświadczenia uka- zanego w jego całej nagości pokażą oni, żeże- li zachowają jako obywatele świata swoją wo- lnność ludzką, to, co jest jeszcze możliwe.

Książka ta wreszcie godzi we współczesne- go człowieka, cierpiącego (o ile to prawda) na pustkę wewnętrzną i chwytającego się wiary, która pociąga za sobą taki terror bezprawnego zniszczenia i z niewoli ducha czyni swoje na- rzędzie. Obok innych poważnych dzieł książ- ka Miłosza jest solennym ostrzeżeniem przed tą wiarą, która w praktyce, jakże ironicznie, utwierdza się przez kłamstwo, prawdę przez kłamstwo sprawdzając, i przyjmuje postać dia- lektyki, na żużel spalającej substancję człowie- ka.

Potworne realia, które już tylekroć przedsta- wiano, Miłosz dziwnie nam przybliża. Docho- dzi tu do głosu serce, które drży na widok każ- dej rzeczywistości niszczącej ludzi, oko o wiel- kiej precyzji psychologicznej, poczucie spra- wiedliwości niezdolne do wybiegów. ●

Tekst za paryską „Kulturą” nr 6(68)/1953.
Tytuł – „Wyborcza”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Stanisław Barańczak

Obserwatorzy ptaków

*Z drżącej w upale szosy numer 8
z jej motelami, pędem i stacjami Esso
dość było skręcić ostro, szorując podwoziem
o piach, w ciągnącą się pół mili leśną
drogę, dotrzeć do kiosku z desek, gdzie sumienna
grubaska pobierała stosowną opłatę,
wydając w zamian uśmiech i broszurę,
zostawić wóz pod sosną, której czubek z szumem
mierzwiał obłoki, i tak już kudłate,
i bez większego zrozumienia*

*wpatrzeć się w planszę z mapką okolicy
i strzałką „JESTEŚ TUTAJ”. O sto metrów dalej
szła ścieżką para z dziećmi: równie pospolici
jak my, też „byli tutaj” i zwiedzali.
Nie tak wyobrażaliśmy sobie rezerwat
dzikiego ptactwa. Prawda, i tak był to czysty
wymysł, ta cała komedia z naturą,
która istnieje dzięki przewodnikom, którą
widzi się w ramach zatrudnień turysty.
Wiatr, który czujnie się poderwał,*

*był w każdym razie autentyczny: świeży,
nadmorski. Machinalnie sprawdzając w broszurce
szlak, ruszyliśmy, depcząc chrupiący żwir ścieżek,
trochę niepewni, czy nie jest oszustwem
ten cały show – szczególnie że główna atrakcja,
to znaczy ptaki, jakoś nie chciała się stawić
na scenie. Dróżka wychynęła z nagłą
z zarośli na zjeżzone trawą słone bagna,
kładki, w sitowie oprawiony stawek:
no, wreszcie są! Gromadki ptactwa,*

*zielonogłowych kaczek, burych gęsi
taplały się rodzinnie w wodzie. Ale najpierw
wpadła nam w oczy inna grupa, jeszcze gęściej
stłoczona obok, na piaszczystej skarpie:
obserwatorzy ptaków! Składane siedzenia,
lunety na trójnogach, lornetki polowe,
kurtki z mnogością fachowych kieszonek,
spłowiałe kapelusze i kamery Sony:
prawdziwi, tkwiący tu dobrą połowę
dnia, zjeżdżający co niedziela*

*obserwatorzy ptaków, ludzie, którzy
na pytanie „Kim jestem?” mówią sobie: „Jestem
obserwatorem ptaków”! Był ich prawie tuzin,
wpatrzonych w jedną stronę. Nigdy jeszcze
tak niezdefiniowany, tak z boku, wygnany...
nagle drgnąłem wraz z nimi. Jakby wszystkich przeszył
ten sam prąd: spoza trzciny mokro zaklapał
groteskowo sflaczały dźwięk – ogromna czapla
wzbila się, spójrz, jak blisko!, i poprzecznym
lotem poniosła nad wydmami,*

*tak, „Wielka Czapla Błękitna” z fotosu
w broszurce, „bardzo rzadko spotykana”! Tłumek
wydał wspólny, radosny pomruk, kilka osób
podniosło oczy znad wzierników lunet:
i wszystkich objął uśmiech – bezpieczny, bezsprzeczny.
Więc świat może jest po to, by przeszył, stworzył
nas czasem znak, jak strzałka: „JESTEŚ TUTAJ:
wśród ludzi, obcych, ale jesteście – zaufaj –
po jednej stronie, współobserwatorzy
ptaków, pogody, innych rzeczy”.*

Wiersz z tomu Stanisława Barańczaka „Widokówka z tego świata i inne rymy z lat 1986-1988” (Zeszyty Literackie, Paryż, 1988), tutaj za: Barańczak, „Wiersze zebrane”, Wydawnictwo a5, Kraków, 2006.

Z PROF. **MARIĄ POPRZĘCKĄ***
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Co panią profesor zachwyca?

– Obloki. Jakiś zielony pęd, który skądś wylazł. Coś zupełnie błahego. Zachwycają mnie zwierzęta, często ludzie, zarówno ich uroda, jak i intelekt. Irena Szymańska, legendarna redaktorka z Czytelnika, zatytułowała swoje wspomnienia: „Miałam dar zachwyty”. Ja też go mam. Sztuka mieści się w tym bardzo szerokim obszarze zachwyty. Ale nigdy nie wiem, co nagle zaiskrzy.

Można ten dar wytrenować?

– Nigdy nie zadawałam sobie tego pytania...To jednak dar.

Wdrażanie kogoś do zachwyty jest nieskuteczne i szkodliwe. Sprawa załatwiona przez Gombrowicza: „Dlaczego zachwyca, skoro nie zachwyca?”. To przestroga przed pokusą dydaktyzmu, która tkwi nie tylko w nauczycielach, ale też w każdym, kto ma jakąś potrzebę osiągania przewagi, pouczenia, formatowania ludzi. Wmawiać innym, co ma ich zachwycać – to kuszące. Ale niedobre dla obu stron.

Jednak przez lata wykladała pani profesor na uniwersytecie, i to także dla pierwszego roku. Tam coś trzeba powiedzieć. Jak to zrobić, by nie formatować?

– Nikogo nie zachęcałam do zachwyty, raczej do zwątpień. To był cykl wykładów „Przedmiot i metody historii sztuki”, na wstępie których przestrzegałam, że w nauczaniu akademickim poznajemy sztukę zmediatyzowaną, zapośredniczoną przez coraz doskonalsze, a zatem coraz bardziej ludzkie reprodukcje. Podstawowe narracje historycznoscztuczne powstawały jeszcze w XIX wieku na podstawie rosnących archiwów fotograficznych. Tymczasem na zdjęciach, slajdach czy na ekranie komputera broszka jest tej samej wielkości co katedra. Jedno i drugie jest tak samo niematerialne. Od naszego klikającego palca zależy, czy będzie istniało, czy zniknie.

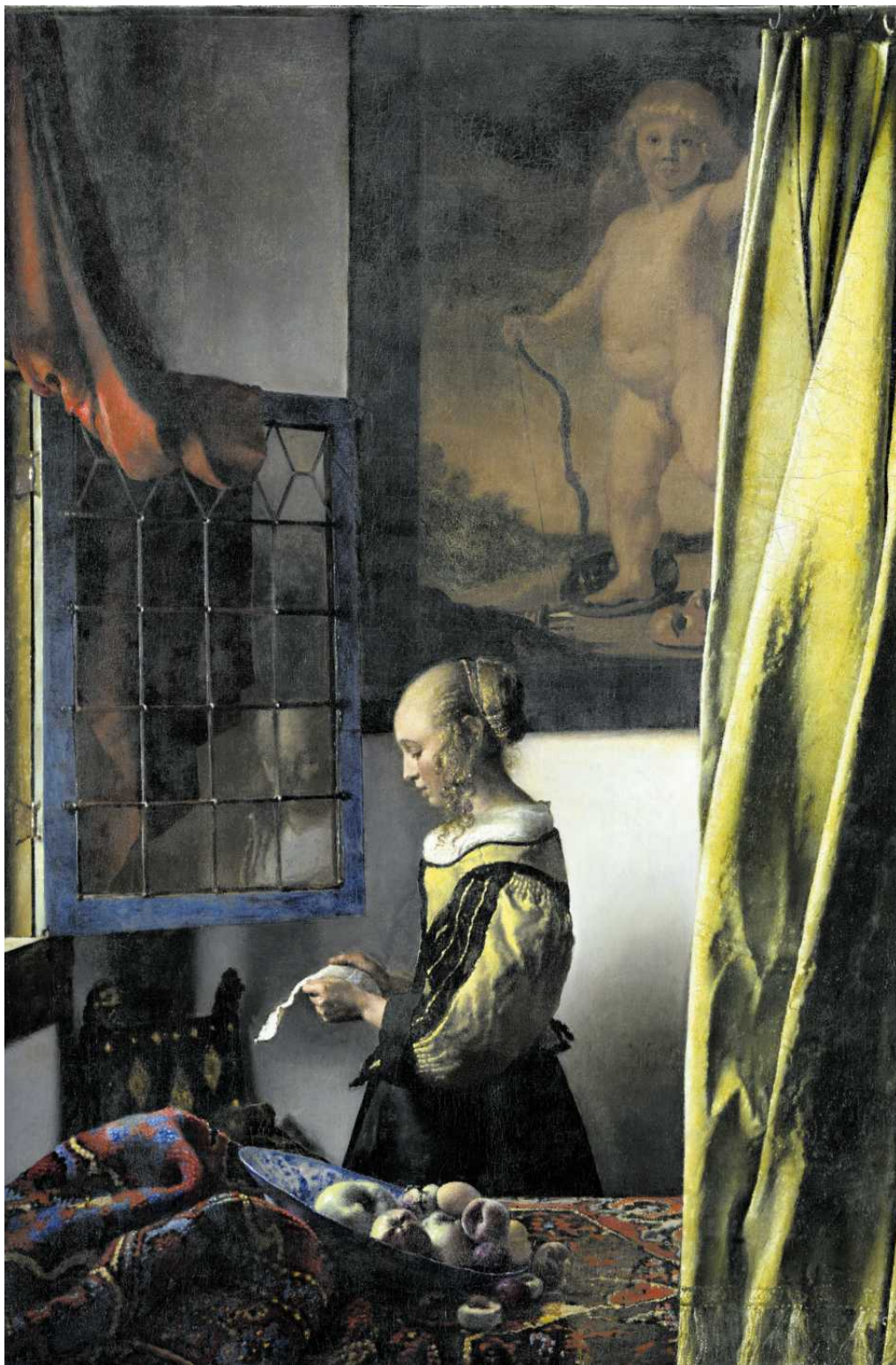
Natomiast kiedy stoimy przed katedrą, to ona jest. Nie sposób ogarnąć jej wzrokiem, ale można ją obejść, wejść do środka, wspiąć się na wieżę, zejść do krypty. Wielka przestrzeń, światła, kolory, dźwięki, zapachy, temperatura, nieustannie zmieniające się z każdym naszym ruchem i spojrzeniem – pobudzane są wszystkie zmysły. Architektury doświadczamy cieleśnie. Tego nie zastąpi żaden film w 3D, nawet z podłożonym gregoriańskim chorałem.

Dzisiaj częściej możemy – zamiast reprodukcji – obejrzeć oryginały. Świat stał się bardziej dostępny niż w XIX wieku.

– To właśnie jedno ze źródeł olbrzymiego sukcesu ogromnych wystaw, takich jak prezentacja dzieł Vermeera w amsterdamskim Rijkmuseum. Oferują nam oryginał. Do tego przywieziony specjalnie dla nas! Czasem wyselekcjonowany, a niekiedy – jak na tej wystawie – zebrany. Wciąż jesteśmy przekonani o wyjątkowości całego wydarzenia. Właśnie wydarzenia, eventu.

Udział w tym to dla wielu osób mniej lub bardziej uświadomione budowanie lub potwierdzanie statusu.

– Oczywiście. Moja decyzja, że na wystawę Vermeera nie jadę, może zabrzmieć wyższościowo. Więc się tłumaczę. Po pierwsze – widziałam już taką wystawę kilkanaście lat temu w Hadze. Po drugie – nie lubię tłumy, a przy mojej posturze oglądałabym raczej ekspozycję karków i fryzur. Ale chcę wierzyć, że wielu widzów potrafi prawdziwie coś przeżyć, a nie tylko satysfakcję „byłam na Vermeerze” i nabiłam kolejną pieczęć w mojej legitymacji kultury.



FOT. WOLFGANG KREISCHE

DZIEWCZYNA Z PERŁĄ OBRYWA WALIZKĄ

Beksiński i Lempicka nie stawiają widzom żadnych wymagań, ich obrazy są obliczone pod konkretne upodobania

Ale to nie jest jedyne wytłumaczenie sukcesu takiej wystawy. Wyjaśnianie tego fenomenu tylko snobizmem jest powierzchowne. Nie zapominajmy o marketingu muzealnym. I interesach tour-operatorów. O stymulowaniu popytu przez dramatyczne komunikaty o wyprzedanych biletach, o ich cenach na czarnym rynku. Na lotnisku w Amsterdamie nawet pasy do odbioru bagażu są w Vermeerze. „Dziewczyna z perłą” co chwila obrywa walizką.

Natomiast z perspektywy mojego wieku chcę zwrócić uwagę na coś jeszcze. Wie pan, 40 lat temu rozważania

„jadę czy nie jadę” byłyby w Polsce abstrakcyjne. Nie miałabym wtedy ani paszportu, ani pieniędzy. Więc to, że rozmawiamy o swobodnych wyjazdach na amsterdamską wystawę, jest owocem naszej przynależności do Unii, do otwartego świata. O czym teraz zbyt łatwo zapominamy. I stać nas – nawet jako nauczycieli akademickich, zarabiających fatalnie – by sobie pozwolić na taką wyprawę. Zresztą wydaje mi się, że krótki wypadek na Vermeerze nie jest droższy niż tydzień w Zakopanem.

Patrząc z innej strony, wielkie wystawy to proceder uprawiany od kilkadzie-

sięciu lat przez wielkie muzea. Zatem trzeba przyrzeć się temu, czym dzisiaj jest ta instytucja.

Miejszem na kawę i sklepem z pamiątkami, któremu towarzyszy sztuka?

– Oczywiście, że jak w filmie Banksy’ego musi być „wyjście przez sklep z pamiątkami”. Proszę zauważyć, że historia sztuki (dość młoda jako samodzielna dyscyplina nauki) odniosła sukces, bo stworzyła sieć silnych instytucji. Nie tylko katedry uniwersyteckie czy instytuty badawcze, ale przede wszystkim muzea. W XX wieku zdawać by się mogło, że sztuka, artyści i krytycy robili wiele, by je zniszczyć, a – paradoksalnie – im pomogli. Antymuzealne ekscesy czy awangardowe skandale skończyły się powstaniem muzeów sztuki nowoczesnej, które dały tym instytucjom nowe życie.

Na przełomie XX i XXI wieku byliśmy świadkami boomu muzealnego. Sam budynek muzealny stał się prestiżowym tematem architektonicznym. Początek tym zmianom dał „rafineryjny” budynek Centre Pompidou i piramida w Luwrze zaprojektowana przez Leoh Ming Peia. W końcówce lat 80. zaczął się wyścig na efektowne, ikoniczne budynki muzealne. Zachwianiu uległa proporcja między budynkiem a jego zawartością. To szaleństwo połączone było ze zjawiskiem tzw. starchitects – gwiazdorów architektury. Najsłynniejszym przykładem jest Muzeum Guggenheima w Bilbao zaprojektowane przez Franka Gehry’ego. Czy słyszał pan, by ktokolwiek mówił, co widział w tym muzeum, poza budynkiem?

Nigdy. Nie mam pojęcia, co jest w tych zbiorach.

– Za to Gehry’ego od tego czasu „wszyscy” znają. Jeszcze bardziej niezwykły jest jego projekt muzeum Fundacji Louis Vuitton w Paryżu. Bohdan Paczowski, architekt i eseista, który był przewodniczącym jury konkursu na budynek Muzeum Polin, mówił, że są dwa typy budynku muzealnego – pudełko albo ciastko. Udało się nam, że Polin to pudełko, w którym jest ciastko. To najlepszy warszawski budynek ostatnich dziesięcioleci. Ale proszę zwrócić uwagę, że ekspozycja w nim prezentowana jest pod ziemią, nie wiąże się wizualnie z budynkiem na powierzchni.

Jeśli odwiedzamy muzea nie tylko okazjonalnie, to widzimy, że są dziś czymś zupełnie innym niż kiedyś. To wielofunkcyjne, otwarte dla publiczności miejsca mające dawać gwarancję ciekawego spędzenia wolnego czasu. Ponadto muzea stały się instytucjami, które mają zarabiać, by przypomnieć tylko komercyjne podziemia Luwru. Ta zmiana miała nielicznych krytyków. Jean Clair, słynny kurator, twórca paryskiego Muzeum Picassa, pisał, że „muzeum otwarte” staje się jak otwarta rana, której grozi infekcja. To stanowisko wydawało się bardzo konserwatywne. Ale dzisiaj widzimy w muzeach oznaki infekcji.

Tłumy odwiedzające muzea chyba trudno nazwać infekcją?

– Oczywiście nie, ale fetyszyzacja wysokiej frekwencji jest groźna dla muzealnego zdrowia. Nie chodzi tylko o tłok, który jest także zagrożeniem dla ekspozatów. Muzea, wyrosłe z idei oświeceniowych, tracą funkcje poznawcze. Zamieniają się w przedsiębiorstwa oferujące sztukę jako towar luksusowy, w parki rozrywki, które mają zaspokoić potrzeby coraz szerszej widowni. Widowni nieprzygotowanej do odbioru sztuki innej niż popularna, obojętnej: dawna czy nowoczesna.

Jak to rozumieć? Przecież ludzie narzekają, że nie rozumieją właśnie

sztuki nowoczesnej, a nie martwej natury czy weduty.

– To polska specyfika. Do Centre Pompidou czy Tate Modern wałą tłumy. Sztuka dawna jest o wiele trudniejsza. Może się podobać, ale żeby coś zrozumieć, potrzebna jest znajomość podstawowych tekstów kultury – Pisma Świętego, mitologii, Dantego... Choćby elementarnie – umięśniony facet to Herkules, a naga piękna kobieta to Wenus...

Ale przynajmniej „coś” widać!

– No tak, na goliźnę zawsze miło popatrzeć. Sztuka w dawnych czasach nie była tworzona na potrzeby szerokiej publiczności, ale dla wąskich, wykształconych i zamożnych elit. Muzea, demokratyzując dostęp do sztuki, upubliczniły to, co było prywatne, czasem intymne. Na erotyczne obrazy zamawiane do sypialni patrzą teraz miliony oczu. Sztuka nowoczesna, tworzona dla galerii i muzeów, uwzględniła to, że jest dla publiczności. I dlatego stawia o wiele mniejszy opór. W Polsce, ponieważ muzea sztuki nowoczesnej dopiero powstają, nieobcy z nią widzowie mogą sądzić, że łatwiej zrozumieć obraz sprzed 500 lat niż sztukę dzisiejszą. Ale to się zmienia.

Muzea konkurowały na budynki, teraz na wystawy. Wyścig zbrojeń?

– Mordercza konkurencja z użyciem narzędzi marketingowych, finansowych. I politycznych oczywiście też.

Mamy wielką wystawę Caravaggia, były wielkie wystawy Leonarda, Rembrandta, Rubensa, a w polskiej skali – Witkacego. Czy to będzie jak z superbohaterami? W 2022 roku Batman dołączył do Avengersów. To teraz czas na Vermeera spotykającego Leonarda?

– Na wielkie wystawy też mówimy „blockbustery”, bo muzea stają się instytucjami podobnie funkcjonującymi jak wielkie studia filmowe. Jakiś czas temu Międzynarodowa Rada Muzeów zmieniła definicję tej instytucji. Do tej pory najważniejszą jej funkcją było zbierać, konserwować, badać i dopiero na czwartym miejscu udostępniać. Dzisiaj na pierwszym miejscu jest udostępnianie.

Muzea rządzące się rachunkiem zysków i strat nie będą miały interesu w kreowaniu trendów.

– Od tego na szczęście mamy muzea sztuki nowoczesnej. One uratowały tę instytucję. Konkurują właśnie w kreowanie trendów i artystycznych wielkości. To dyrektorzy muzeów sztuki nowoczesnej i kuratorzy międzynarodowych imprez, jak wenecka Biennale czy dokumenta w Kassel, przesądzają o jej kształcie, hierarchiach i kanonach.

Ale znowu mamy do czynienia z wielkimi wystawami-wydarzeniami przyciągającymi tłumy, wobec których pani profesor jest krytyczna.

– Ja naprawdę doceniam to, że ludziom się chce pojechać na Vermeera. I że wychodzą z niej usatysfakcjonowani, przeżywają zachwyty. Nie odbieram nikomu tego, że może się wzruszyć w tłumie. Zauważyłam, że wiele osób jest zdziwionych rozmiarem obrazów Vermeera. Takie małutkie! Bo one powstawały do holenderskich wnętrz, które – nawet bogate – były niewielkie. I na ich ścianach widzimy obrazy. W połowie XVII wieku w Holandii skala obrotu obrazami była niezwykła, ale – co jeszcze bardziej niezwykle – ilość przeszła w jakość, a nie w bylejakosć.

Zatem o jakości porozmawiajmy. Powiedziała pani profesor w TOK FM, że jako krytycy sztuki się nie sprawdziliście, bo żyjemy w kraju, w którym za największego malarza uznaje się Beksińskiego, a za największą malarkę

– Tamarę Łempicką. Zacytował słowa pani profesor Mariusz Szczygiel i...

– ...i wybuchła typowa fejsbookowa awantura. Jakaś pani nawet podważyła mój tytuł profesorski.

To proszę wyjaśnić: dlaczego to nie są wielcy malarze?

– To są zupełnie różne osoby, odmienne malarstwo. Lubię określenie, którego wobec Beksińskiego używał Janusz Bogucki, nieżyjący już wybitny kurator – „strachy w oleju”. Ludzie lubią horror – w kinie, literaturze, malarstwie. Popularność Beksińskiego to efekt owego zapotrzebowania na bezpieczny strach. To był malarz o znakomitym warsztacie, mimetyzmie posuniętym do granic, ale mimetyzmie na użytek horroru. To nie jest żaden surrealizm, ale perfekcyjnie malowane strachy. Makabra i horror – tego zawsze szukano w sztuce, ale to nie sprawia, że dzieło Beksińskiego jest nowatorskie czy niezwykle. Jest za to bardzo popularne. Rozumiem to zjawisko. Natomiast osobiście nie lubię pozorów głębi, do której pretenduje.

Z Łempicką jest podobnie i niepodobnie. Barwna osobowość, awantur-nica, mitomanka, z talentem kreująca własną postać. Wie pan, o Vermeerze nic nie wiemy, a o Łempickiej aż za dużo. Narcystyczna mistrzyni autopromocji. Świadoma oczekiwań elegancjkiej publiczności, pielegnowała wizerunek artystki, ale zarazem pięknej kobiety o bujnym życiorysie. Wszystko wprost stworzone dla tabloidu. Jej malarstwo jest sprawne, do podobania się. Erotyzm z perwersyjnym dreszczykiem, ale w dopuszczalnych granicach. Łempicka miała warsztat malarski, nie aspirowała też zbyt wysoko, była świadoma swoich ograniczeń. Dzisiaj zapominamy, że jej sukces był sukcesem jednej dekady. Próbuje się nam wmówić, że jest to malarka zapomniana, którą „odkrywamy”. Filiżanki z Łempicką można było kupić w paryskich sklepach muzealnych 20 lat temu. Chętnie też byśmy ją spolonizowali.

Myślę, że dla wielu widzów to jest opowieść o „sukcesie Polki za granicą”.

– Urodzona w Rosji, pochodzenie rosyjsko-żydowskie, poza dzieciństwem i wczesną młodością w Warszawie całe długie życie kosmopolityczna. Wiele życiorysowych niejasności, szlacheckie nazwisko po polskim mężu, pożądana nuta rosyjska – ile mamy takich kobiecych postaci w ówczesnej literaturze! Tu Łempicka wpasowywała się znakomicie. Fantastycznie też wstrzelili się w zapotrzebowanie na stylizację art déco, taki obłaskawiony kubizm.

I Beksiński, i Łempicka nie stawiają widzom wymagań, ich obrazy są obliczone pod konkretne upodobania. Udują przekroczenia – ona granic obyczajowej dopuszczalności w mieszczańskim świecie, on – akceptowalnego horroru.

Może mi się nie podobać Łempicka, ale zrobiły na mnie wrażenie jej prace późniejsze, powstające w Stanach Zjednoczonych. Minał już jej czas, uroda, zainteresowanie mediów. A ona wciąż próbowała wpasować się w to, czego potrzebował rynek. Zmieniała swoje malarstwo, sięgnęła nawet po abstrakcję. W tym jest coś bardzo poruszającego – starzejąca się kobieta, która nie odpuszcza. Można byłoby powiedzieć, że wyrzekła się swojej sztuki. Ale to nieprawda. Jej sztuka zawsze wpisywała się w oczekiwania, zapotrzebowanie towarzystwa, do którego aktualnie aspirowała.

Koniunkturalizm jako sens sztuki?

– Większość artystów robi to, co znajduje oddźwięk. Panie Wojtku, czy odpowiedziałam wystarczająco?

Chyba.

– To jest mój zawód, żeby ludziom tłumaczyć, ale nie narzucać. Chociaż chętnie bym odwróciła pytanie Mariusza Szczygła: dlaczego jemu podobają się Beksiński i Łempicka?

Kiedyś napisała pani, że „arcydzieła są zmęczone”. Wciąż?

– Śmiertelnie zmęczone. Niemal wszystkie zostały skonsumowane. Może tego słowa zabrakło w naszej rozmowie – sztuka jest dzisiaj przedmiotem masowej konsumpcji. Muzea prześcigają się w podawaniu rekordów frekwencji. Wciąż są jednak ludzie, którzy uważają, że ich kontakt ze sztuką ma charakter nie tylko poznawczy, ale też kontemplacyjny. Oni potrzebują ciszy i spokoju. Już 100 lat temu różni subtelni esteci wybrzydzały na muzea, pisząc, że chcą oglądać dzieła w samotności. Tak jak często oglądał je ten, kto je zamówił.

Na erotyczne obrazy zamawiane do sypialni patrzą teraz miliony oczu

Dzisiaj prawo do kontemplacji i spokoju zdaje się luksusem.

– I nie dotyczy to tylko kontaktu ze sztuką. Każda wygodna samotność z wyboru jest kosztowna. Trzeba mieć przynajmniej własny pokój. Albo chatkę na brzegu jeziora.

Albo własny obraz. Barbarze N. Łopieńskiej powiedziała pani, że w muzeach najbardziej lubi widok z okna.

– To bardzo dawno było. Ale się przykleiło.

Wisława Szymborska, notabene wielka miłośniczka Vermeera, lubiła wejść do muzeum i zobaczyć jeden obraz. Nie porównując się, ale po wzięciu w kolejny „wielkim” muzeum mam wrażenie, że wszędzie jest to samo, jakby wszystkie były identyczne.

– Jako profesjonalistka jestem między młotem a kowadłem. Czuję presję zawodową, która mi każe przejść wielkie muzealne galerie. Pokonać morderczy maraton Biennale w Wenecji. Ale utożsamiam się z chęcią popatrzenia na jedno lub kilka dzieł i wyjścia, przysiadnięcia w kafejce i popatrzenia na ludzi na ulicy.

Ja tak muszę, ale tych, którzy nie muszą, namawiałabym, aby pozbyli się wszelkich presji – kulturowych, snobistycznych, turystycznych, które są bardzo poważnym naciskiem – i szli drogą Szymborskiej.

Nie dajmy się tym gmachom przegnić, zakrzyczyć eksponatom. One do nas wołają: Patrz na mnie! Jestem tutaj po to, byś mnie podziwił!

Muzeum pozbawiło je pierwotnych funkcji, dla których zostały stworzone. Tryptyk w muzeum to przecież zupełnie coś innego niż tryptyk na kościelnym ołtarzu. Jest tylko obiektem do oglądania, otoczonym przez setki podobnych, którym też odebrano inne niż ekspozycyjne wartości. Więc natarczywie żądają naszego spojrzenia.



Może potrzebujemy instrukcji obsługi muzeów?

– Mam ryzykowne porównanie. Gdy pojawiły się u nas pierwsze galerie handlowe, a myśmy uczyli się kapitalizmu, nasze zakupy były kompulsywne i bezsensowne. Teraz już częściej wiemy, jak kupować, gdzie iść po buty, jak nie dać się nabrać promocjom. Muzea robią to samo – ich oferta jest olbrzymia, ale też fachowo nam wciskana. Wszystko jest arcydziełem, każda galeria czy skrzydło muzealne czymś kusi. Nie chcę sugerować, że na kształt listy zakupów trzeba robić karteczkę z tym, co chce się zobaczyć, ale mniej więcej powinniśmy z góry wiedzieć, po co tam idziemy. Albo bądźmy jak nastolatki w centrum handlowym – idźmy na randkę do muzeum.

Lubię obserwować ludzi w muzeach i w centrach handlowych. W obydwu miejscach moją uwagę przykuwa ich żelazna publika – dwie emerytki. Jedna idzie wolno, druga jest sprawniejsza. I tak się prowadzą. One przychodzą, gdy jest taniej, za darmo, jest wyprzedaż. Przychodzą na kawę, pooglądać ludzi. Albo suną powoli od obrazu do obrazu, coś sobie opowiadając. Jest kolorowo, ciepło, wokół ludzie.

Jedną z funkcji sztuki jest konsolacja, pocieszenie. Często powstawała zresztą w celu pocieszenia – wdowca czy wdowa albo kobiety, która straciła dziecko. Teraz my, oglądający, też szukamy w niej pocieszenia. Dzięki przedmiotom w muzeum możemy się pogodzić z losem, z upływem czasu. Umrę, ale wokół są wiecznotrwale arcydzieła. Trwanie muzeów i dzieł sztuki zaprzecza entropii. Niepoddające się upływowi czasu eksponaty to triumf nad entropią.

Co warto zobaczyć, jak nie tylko Vermeera?

– Mam dwie propozycje. Może warto pojechać do Delft i znaleźć miejsce, z którego Vermeer namalował widok miasta? Proust we „W poszukiwaniu straconego czasu” opisuje śmierć pisarza Bergotte’a, który umiera w muzeum, patrząc na obraz niderlandzkiego mistrza, powtarzając słowa: „kawałek złotej ściany, kawałek złotej ściany”. Może uda się komuś dostrzec ów kawałek złotej ściany w realu? A musi być coś ze sztuki?

„Zobaczyć” – to daje sporo wolności.

– Jednak niebo. Jednym z najwybitniejszych żyjących artystów jest dla mnie James Turrell. Człowiek, który w muzeach otwiera sufit, wprowadzając do nich niebo, to rzeczywiste. Jeden z takich projektów, za czasów gdy CSW było CSW, przygotował dla Polski.

Niebo jest czymś, co możemy oglądać w nieskończoność, nie udając się do żadnego muzeum. W ostatnich dniach, przy zmiennych pogodach, było niesamowite. Fakt, że tak łatwo dzisiaj zrobić zdjęcie, jakoś ludzi pobudza. Wszyscy namiętnie fotografują zachody słońca. To niby taki wyjątek kicz, ale nie można się oprzeć. Więc patrzmy w niebo. ●



FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Maria Poprzęcka

• historyczka sztuki, profesor na wydziale Artes Liberales UW, popularyzatorka sztuki. Laureatka nagrody Gdynia za książkę „Inne obrazy”



6 maja 1889 roku pierwszy odwiedzający postawił stopę na stalowych stopniach prowadzących w górę wieży Eiffla – monumentalnej budowli, która wzniosła się nad stolicą Francji. Wieża powstała specjalnie z okazji wystawy światowej, której gospodarzem w tym roku był właśnie Paryż. Oprócz świadectwa potęgi gospodarczej Francji oraz zaawansowania technologicznego tamtejszej inżynierii miała upamiętnić 100-lecie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Dość powiedzieć, że jej ciężar gatunkowy zdecydowanie przekraczał 100 tys. ton, ile ostatecznie ważyła konstrukcja.

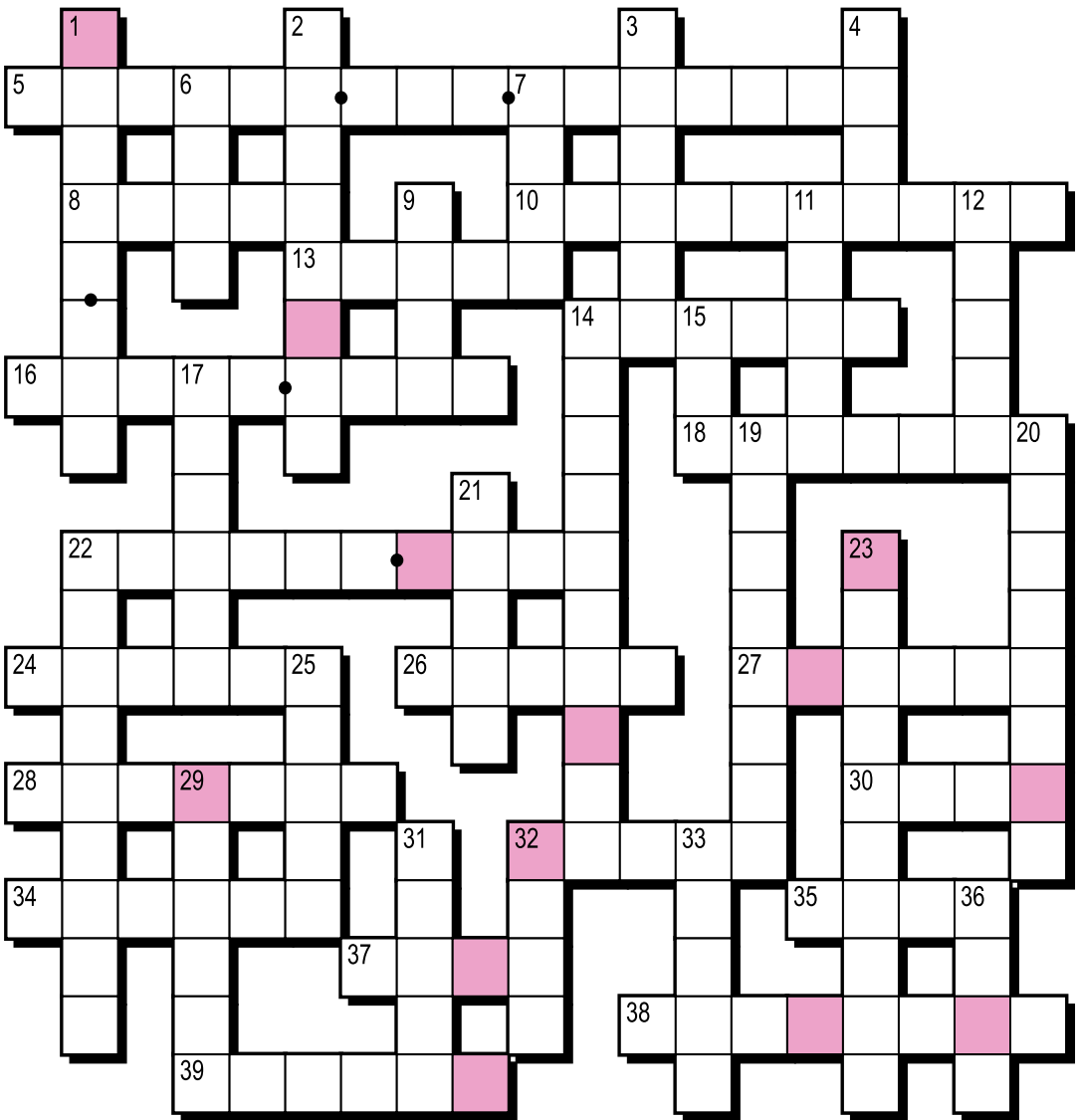
Wieżę Eiffla tak naprawdę wymyślili Maurice Koechlin i Émile Nouguier, zatrudnieni w pracowni Gustave’a Eiffela – zresztą ich pracodawca pierwotnego projektu nawet nie zaakceptował. Nasz pomysłowy duet zwrócił się więc do innego architekta, Stépheana Sauvestre’a, którego po prawki ostatecznie przekonali Eiffela – panowie złożyli patent na konstrukcję, a Eiffel potem odkupił prawa autorskie od pomysłodawców.

W 1886 minister handlu Édouard Lockroy zdecydował, że to projekt Eiffela uświetni wystawę światową. Kompletnie inne zdanie mieli człowi francuscy pisarze, architekci i artyści. „Komitet 300” (jeden członek komitetu na każdy metr wysokości wieży), zawiązany przez znanego architekta Charlesa Garniera, do którego należeli m.in. Guy de Maupassant czy Alexandre Dumas (syn), protestował przeciwko oszpecaniu miasta stalowym kolosem, przyrównując go do wielkiego komina rzucającego cień na miasto i jego piękne zabytki.

Ale planów nie zarzucono. Budowa, rozpoczęta w styczniu 1887 roku, zakończyła się 15 marca trzy lata później – podczas budowy, w sporej mierze dzięki podjętym przez Eiffela środkom ostrożności, zginęła tylko jedna osoba. Budowa pochłonęła 7,8 mln franków (początkowy budżet zakładał 3 mln). 31 marca Eiffel wywiesił na szczycie wieży francuską flagę – windy jeszcze nie działały, wspinaczka po schodach zajmowała około godziny (z przystankami).

Wieżę, jako się rzekło, udostępniono zwiedzającym 6 maja, dziewięć dni po uroczystym otwarciu wystawy, blisko trzy tygodnie przed uruchomieniem wind. Do końca wystawy, czyli do 31 października 1889, odwiedziło ją 1 896 987 osób (bilety kosztowały 2, 3 i 5 franków). Szacuje się, że wieża Eiffla jest najchętniej odwiedzanym płatnym obiektem na świecie.

Dlatego my, z okazji otwarcia „La dame de fer”, czyli „Żelaznej damy”, dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy sławnym budowlom. A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy warszawskiego architekta Marcina Szubskiego, który współpracował i współpracuje z wiodącymi pracownikami architektonicznymi w kraju. ● **Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl**



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 50 z 29.04:

Poziomo:

- 3) quickstep 7) paso doble
9) krakowiak 11) salsa 12) tango
13) style 14) Jennifer 16) ruch
17) Anawa 18) intro 21) lansjer
23) mazur 24) oceny 25) Lombard
27) tany 28) dramat 29) partner
31) sarabanda 33) koncert
36) muzyka 37) odbijany
38) karmaniola 39) erotyka

Pionowo:

- 1) habanera 2) bossa nova
4) Isadora Duncan 5) krok 6) twist
8) lustra 9) kankan 10) Kilar
13) shimmy 15) fokstrot
19) trzymanie 20) obroty
21) lambada 22) rock and roll
25) Loda 26) karioka 30) para 31)
samba 32) rozum 34) rumba 35) jive.

HASŁO: **BREAKDANCE**

BUDOWLE

Hasła Marcina Szubskiego oznaczono inicjałami (M.S.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5) największa budowla wzniesiona kiedykolwiek przez człowieka, jej długość przekracza dwa tys. km (M.S.)
8) monaster (klasztor) w Kościele prawosławnym (M.S.)
10) miasto w Uzbekistanie nazywane perłą jedwabnego szlaku
13) ...Guggenheima, budynki w Nowym Jorku i Bilbao zaprojektowane przez Franka Lloyda Wrighta oraz Franka O. Gehry’ego (M.S.)

- 14) miasto w Australii, z unikatowym budynkiem opery
16) katedra Quasimoda
18) kraj, w którym można podziwiać Petronas Towers w Kuala Lumpur
22) most wiszący nad cieśniną w San Francisco
24) Hoovera (na rzece Kolorado) lub w Solinie (najwyższa w Polsce)
26) Książ, Czocho albo Krzyżtopór
27) Hagia Sophia w Stambule
28) ...Wasyla Błogosławionego, na placu Czerwonym w Moskwie
30) ...Kleopatry, starożytny obelisk w Londynie i nowojorskim Central Parku
32) najśłynniejsze ruiny Jordanii

- 34) Złote..., warszawska galeria handlowa
35) miasto w Indiach, z mauzoleum Tadž Mahal
37) stolica kraju z Doliną Królów
38) pięciokąt, siedziba Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych (M.S.)
39) pałac królewski na przedmieściach Paryża

Pionowo:

- 1) adres: 1600 Pennsylvania Avenue, Washington D.C.
2) ...Cheopsa
3) państwo z budynkiem Reichstagu (M.S.)
4) miasto w Toskanii, z Krzywą Wieżą
6) muzeum ze stalowo-szklaną piramidą na dziedzińcu

- 7) hiszpański dom (M.S.)
9) położony na siedmiu wzniesieniach: Eskwilinie, Pałatynie, Awentynie, Kapitolu, Kwirynale, Wiminale oraz Caelianie (M.S.)
11) moskiewska warownia z największym dzwonem świata
12) miasto z najwyższym budynkiem świata Burdż Chalifa (828 m) (M.S.)
14) megalityczna budowla w południowej Anglii, w pobliżu Salisbury
15) ...nad wodospadem, zaprojektowany przez Franka Lloyda Wrighta (M.S.)
17) najstarszy most Wenecji
19) warowny zespół pałacowy w Grenadzie (Hiszpania)
20) więzienie na wyspie na Zatoce San Francisco

- 21) Kultury i Nauki, Westminsteri lub Elizejski
22) państwo, w którym można podziwiać Tikal
23) ruiny miasta Majów
29) dumny z kościoła Mariackiego, Sukiennic, Wawelu
31) Brandenburska – w Berlinie
32) kraj z Machu Picchu
33) centralny plac miejscowości (M.S.)
36) ... żelaza, na pomniku w Brukseli

Leszek Rydz

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play